



Piotr Lisiewicz
„POZNAŃSKA PIĄTKA”, CZYLI
BŁOGOSŁAWIENI Z DZIELNICY



Agnieszka Kowalczyk
Z UBOGIEJ SZOPY
PO NAGRODĘ NOBLA

#132

2/2017

NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)

www.panstwo.net

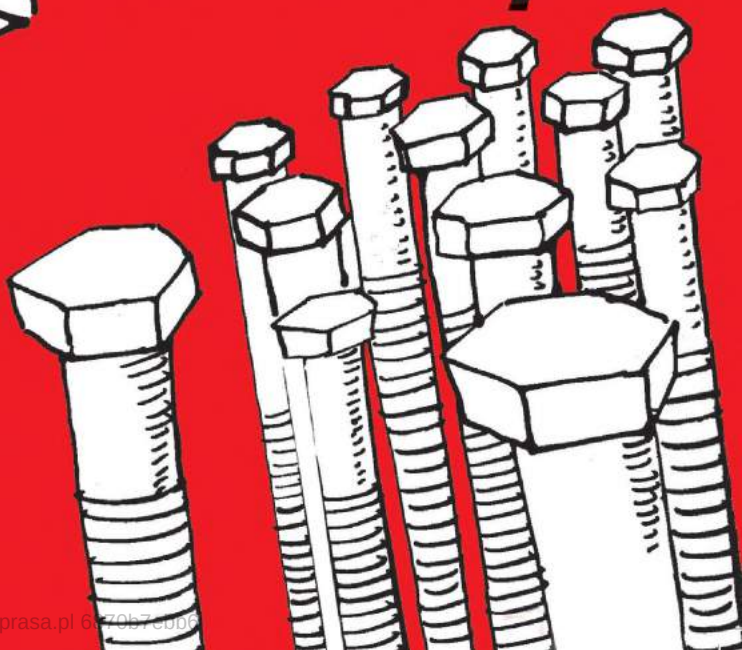
nakład 16 420

indeks 211060

#132 2/2017

ANATOMIA PUCZU

Dlaczego lawina nie ruszyła





Dlaczego lawina nie ruszyła / 4



Karnawał i Komintern / 18



Jak Jan Paweł II beatyfikował narodowców z dzielnicy / 36



Zatrute jabłko Martina Scorsese / 62



Powietrzna apokalipsa w Chinach / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz

Dlaczego lawina nie ruszyła / 4

Michał Rachon

Wolność, pokój i pucz, który przegrał z mediami / 8

Rafał Brzeski

Ciamajdany wszelkiej maści, łączyć się / 11

Jacek Liziniewicz

Pucz vs ciamajdan / 14

IDEE

Bohdan Urbankowski

Karnawał i Komintern / 18

Małgorzata Matuszak

O tempora, o mores! / 24

Tomasz Terlikowski

Maltańczycy na wojnie z papieżem / 28

Jerzy Mostowski

Polska bezpieczna w NATO / 32

HISTORIA

Piotr Lisiewicz

Jak Jan Paweł II beatyfikował narodowców z dzielnicy / 36

Magdalena Złotnicka

Okaryna, polityka i wózek od Felliniego / 42

Dariusz Jarosiński

Kto się boi Wyklętych / 48

Agnieszka Kowalczyk

Z ubogiej szopy po Nobla / 54

Korespondencja

„Ilustrowanego Kuryera Codziennego”

Krajem terroru jest przede wszystkim... Polska / 60

KULTURA

Sylvia Krasnodębska Polskie Radio

Zatrute jabłko Martina Scorsese / 62

Krzysztof Karnkowski

Pokazać historię i nie usnąć widza / 65

ŚWIAT

Hanna Shen

Powietrzna apokalipsa w Chinach / 68

Z prof. Bassamem Tibim rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk

Merkel będzie walczyć dożywotnio / 72

Ryszard Czarnecki

Chrześcijaństwo na Oceanie Indyjskim / 75

Antoni Rybczyński

Czekiści. Krótki kurs historii / 76

Stefan Czerniecki

Kiedy On wreszcie się narodzi? / 82

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji / 92

tłum. Antoni Rybczyński

Krym w mroku. Uciszenie dysydentów / 94

Stale rubryki

Katarzyna Gójska-Hejke
Postkomuna w defensywie

NA POZĄTEK

3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... wartość

KATECHIZM INTELIGENTA

23

Ryszard Czarnecki
Polska jest posażną panną. Jednak...

CZARNECKO TO WIDZĘ

27

Olga Doleśniak-Harczuk
Styczniowe obrazy z Berlina

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90

Marcin Wolski
Rokosz

PAPKULTURA

98

Tomasz Sakiewicz
Jak reformować media

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzbowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Rączkarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Postkomuna w defensywie

W najnowszym numerze naszego miesięcznika analizujemy wydarzenia z połowy grudnia minionego roku. Czy sejmowa akcja opozycji była rzeczywistą próbą niedemokratycznego przejścia władzy? Dlaczego skończyła jako żenująca operacja, z której do dziś drwi Internet?

Od wygranych przez PiS wyborów mamy do czynienia z nieustannym kwestionowaniem prawa większości sejmowej do sprawowania władzy. W ciąg tych działań włączane są kolejne grupy bądź instytucje beneficjentów III RP. Uruchomiono już środowisko sędziowskie z Trybunałem Konstytucyjnym na czele, różnej maści organizacje lewackie, tzw. celebrytów. Rządowi PiS nie zaszkodziły także dość liczne na początku manifestacje KOD. Siegnięto zatem po mocniejsze środki. Architekci obalania wybranej ponad rok temu władzy zapewne doszli do wniosku, iż konieczna jest eskalacja sytuacji w Polsce. Od 16 grudnia byliśmy świadkami wcielania w życie tego planu. Na operację „pucz” złożyły się trzy główne elementy: doprowadzenie do wydarzeń skrajnych, które pobudzą i uaktywnią wszystkich potencjalnych zwolenników obalenia rządu, narzucenie narracji zakłamującej prawdziwy obraz wydarzeń i uruchomienie presji zewnętrznej na Polskę. Idę o zakład, że jeszcze na początku XXI wieku tak rozpisany plan przyniósłby oczekiwane efekty. W latach 90. uchodziłby za genialny i zabójczo skuteczny. Dlatego zatem kilka tygodni temu skutkował masowymi żartami o ciamajdanie? Zamyśl poległ przez klęskę propagandy. Puczystom nie udało się narzucić swojej narracji, choć wykorzystali cały manipulacyjny potencjał. Niekontrolowany przez nich strumień przekazu informacji okazał się zbyt szeroki. Ogromna część opinii publicznej zobaczyła prawdziwy obraz wydarzeń: groteskowego posła Szczerbę, a nie posła męczennika, patologicznie pobudzonego posła Nitrasa, a nie nieustraszonego obrońcę wolności, zgraję wrzeszczących bab, a nie dzielne posłanki atakowane przez siły rządowe, nie tłum spontanicznych obywateli, którzy ruszyli pod Sejm bronić demokracji, a odrażającą hołotę budzącą co najmniej niesmak. Strefa wolności przekazu – przede wszystkim dzięki niezwyklej aktywności internautów – okazała się za duża, by można ją było zneutralizować znanymi od lat tubami propagandowymi. Prawda wygrała z manipulacją. A skoro wyretuszowany na potrzeby puczu przekaz nie zdominował debaty publicznej, to niemożliwe okazało się także zmobilizowanie

potencjalnych zwolenników pozawyborczego przejścia władzy. No cóż, kilka mendli typów pokroju bijącego kulturą Mazguły w towarzystwie równie licznych pań, przedstawiających się jako resortowe, nie przysporzyło tłumy zwolenników. Można nawet zaryzykować twierdzenie, iż poza demonstrantami – nazwijmy ich –

OGROMNA CZĘŚĆ OPINII PUBLICZNEJ
ZOBACZYŁA PRAWDZIWY OBRAZ WYDARZEŃ:
GROTESKOWEGO POSŁA SZCZERBĘ, A NIE
POSŁA MĘCZENNIKA, PATOLOGICZNIE
POBUDZONEGO POSŁA NITRASZA, A NIE
NIEUSTRASZONEGO OBROŃCĘ WOLNOŚCI,
ZGRAJĘ WRZESZCZĄCYCH BAB, A NIE DZIELNE
POŚLANKI ATAKOWANE PRZEZ SIŁY RZĄDOWE,

słuszbowo zmobilizowanymi, zbiegło się nieco ludzi lubujących się w pokazach prostactwa. Ale tylko takich. Siłą rzeczy na panewce musiał spalić również trzeci element planu. Presji zewnętrznej nie udało się rozhulać przez pokazywanie na Zachodzie zdjęć „krwawych” zająć w Warszawie, które wedle słów eurodeputowanego Lewandowskiego przerażają bardziej niż te dokonujące się na ulicach syryjskiego Aleppo. W taki oto sposób zamyśl, który 10 czy 15 lat temu pewnie okazałby się sukcesem, teraz skończył się „ciamajdanem”. Architekci akcji pucz przeszacowali swe siły. I przegrali. Przynajmniej tym razem. To świetna wiadomość. Nie tylko dlatego, że demokratyczna decyzja wyborcza obywateli nie została gwałtem zmieniona, lecz przede wszystkim dlatego, iż postkomuna jest w defensywie. Jest z nią gorzej, niż sama oceniała.



fot. Marcin Obara/PAP

Michał Rachoń

Wolność, pokój i pucz, który przegrał z mediami

Rządzące niepodzielną Polską w czasie dominacji nad nią komunistów i postkomunistów elity podniosły krzyk, kiedy wspólne działania Komitetu Obrony Demokracji, ruchu Obywatele RP, a także partii politycznych Nowoczesna i Platforma Obywatelska oraz kilku mniejszych organizacji nazwane zostały przez Jarosława Kaczyńskiego „próbą puczu”.

Pucz – pojęcie z języka nauk politycznych to synonim zamachu stanu. Ile źródeł, tyle definicji tego zjawiska. Wymienić warto kilka. Według słownika Webstera, „pucz” to podejmowana w sekrecie i wykonywana niespodziewanie próba obalenia rządu. Inne definicje mówią o nielegalnych działaniach mających na celu przejęcie kontroli nad państwem, o udziale w takich działaniach elit wojskowych lub innych, funkcjonujących w aparacie państwa lub na jego obrzeżach. Wspomniane pojęcie „zamachu stanu” odnosi się z kolei do francuskiego pojęcia „coup d’etat”, które w momencie użycia po raz pierwszy oznaczało „nokautujące uderzenie w istniejącą administrację państwową”. W innych definicjach czytamy o „militarnej, paramilitarnej lub opozycyjnej frakcji, która odbiera władzę obecnemu rządowi”, a jeszcze inne wskazują na specyficzny rodzaj zamachu stanu, w efekcie którego

symbolicznego mandatu społecznego do działania dla beneficjentów puczu. W tym sensie konieczny był wehikuł społeczny, który stałby się katalizatorem masowych protestów. Funkcję tę pełniła w pierwszych dniach grudnia 2016 r. enigmatyczna organizacja o nazwie Obywatele RP, która jasno zapowiedziała, a potem przeprowadziła prowokacje w trakcie obchodów smoleńskiej miesięcznicy, czyli kilka dni przed grudniową blokadą Sejmu. Jej liderzy to ludzie związani z ruchem Wolność i Pokój. Tym samym, z którego rekrutowali się twórcy tzw. pierwszego UOP-u, czyli pierwszej powołanej już w postkomunizmie służby specjalnej. Bezpośredniego prawnego, strukturalnego i kadrowego następcy komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. Służby, która przyjmując pozory działalności wywiadowczej i kontrwywiadowczej w realiach demokratycznych, w istocie opierała się niemal wyłącznie na metodach

KLUCZOWYM ELEMENTEM KONIECZNYM DO SKUTECZNEGO PRZEPROWADZENIA NOWOCZESNEGO PRZEWROTU, MAJĄCEGO POZORY LEGALIZMU, JEST UZYSKANIE CHOĆBY SYMBOLICZNEGO MANDATU SPOŁECZNEGO DO DZIAŁANIA DLA BENEFICJENTÓW PUCZU. W TYM SENSIE KONIECZNY BYŁ WEHIKUŁ SPOŁECZNY, KTÓRY STAŁBY SIĘ KATALIZATOREM MASOWYCH PROTESTÓW. FUNKCJĘ TĘ PEŁNIŁA W PIERWSZYCH DNIACH GRUDNIA 2016 R. ENIGMATYCZNA ORGANIZACJA O NAZWIE OBYWATELE RP.

grupa polityczna, która nie przeprowadza samego puczu, przejmując władzę z nadania samych puczystów.

W mniejszym lub większym stopniu w działaniach, jakie obserwowaliśmy w grudniu 2016 r., obecne były wszystkie lub prawie wszystkie elementy opisywane w politologicznych definicjach. Protesty emerytowanych lub aktywnych funkcjonariuszy postkomunistycznej i komunistycznej bezpieki oraz skierowana m.in. do żołnierzy, kadry oficerskiej Wojska Polskiego oraz innych służb państwowych odezwa z apelem o wypowiedzenie posłuszeństwa demokratycznie wybranemu rządowi, wypełnia elementy powyższych definicji, w których mowa o udziale struktur siłowych państwa. Podpisy pod tą samą odezwą złożone przez liderów najważniejszych parlamentarnych partii opozycyjnych wypełniają te elementy definicji puczu, które mówią o udziale w tego typu działaniach części elit politycznych działających w kraju.

i kadrach komunistycznej bezpieki. To z ruchu WiP wywodzą się takie gwiazdy postkomunistycznego pantonu bezpieczeństwa, jak pułkownik Bartłomiej Sienkiewicz (były szef MSW w rządzie PO, wcześniej funkcjonariusz UOP), nieżyjący pułkownik Konstanty Miodowicz (były szef kontrwywiadu UOP, poseł Platformy Obywatelskiej), Piotr Niemczyk, (były dyrektor Biura Analiz i Informacji UOP znany jako autor notatki „0015/92”, która dała początek operacji tzw. inwigilacji prawicy w początkach lat 90.). Wykorzystanie ludzi z tego środowiska do organizacji przepychanek zarówno pod Sejmem (Obywatele RP mieli tam swój namiot), jaki i dziesiątego dnia każdego kolejnego miesiąca na Krakowskim Przedmieściu, samo w sobie jest znamienne i każe zadać pytanie, czy ten fakt nie wypełnia innego elementu definicji „puczu”. Elementu, mówiącego o działaniach przygotowywanych „w sekrecie”.

► **Wolność i pokój obywateli**

Kluczowym jednak elementem koniecznym do skutecznego przeprowadzenia nowoczesnego przewrotu, mającego pozory legalizmu, jest uzyskanie choćby

► **Wymarzone represje, których nie było**

Prowokacje Obywateli RP w założeniu spowodować miały interwencję służb mundurowych na Krakowskim Przedmieściu 10 grudnia 2016 r. Trzy dni później, 13 grudnia, Komitet Obrony Demokracji zorganizował

w centrum Warszawy masową manifestację, która stać się miała w założeniu początkiem masowych protestów, na których organizatorzy zamierzali politycznie eksploatować krzywdę osób poturbowanych lub zatrzymanych przez policję trzy dni wcześniej. Tyle tylko że żadnych zatrzymań nie było, prowokacje się nie udały, a 10 kwietnia manifestującym Obywatelom RP nie spadł ani jeden płatek z trzymanyh przez nich wysoko nad głowami kwiatów.

W tych okolicznościach zaplanowana na 16 grudnia blokada Sejmu potrzebowała nowego, nośnego paliwa. W obiektywach i mikrofonach mediów głównego nurtu mediów III RP stała się nim blokada mównicy sejmowej, zaplanowana i zrealizowana przez partie Nowoczesna i Platforma Obywatelska. Pretekstem do blokady stała się zwołana na 15 grudnia pod Sejmem pikieta

machach stanu” Brett Casper i Scott Tyson piszą o relacji pomiędzy masowością protestów a postawą elit względem zamachu stanu. Elity zdaniem badaczy obserwując naturę protestów, decydują się na włączenie w ewentualny zamach lub tego nie robią. W tym sensie zorganizowane na odpowiednią skalę protesty stanowić mogą dla elit narzędzie, za pomocą którego możliwe jest koordynowanie procesu przejmowania władzy.

► Albo media, albo pucz

Zgodnie jednak z wnioskami z pracy amerykańskich uczonych, wpływ protestów na powodzenie zamachów stanu jest zdecydowanie mniejszy w państwach, w których istnieje system wolnych mediów. Zdaniem autorów bowiem, wolność dostępu do infor-

PROWOKACJE OBYWATELI RP W ZAŁOŻENIU SPOWODOWAĆ MIAŁY INTERWENCJĘ SŁUŻB MUNDUROWYCH NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU 10 GRUDNIA 2016 R.

13 GRUDNIA KOD ORGANIZOWAŁ W CENTRUM WARSZAWY MASOWĄ MANIFESTACJĘ, KTÓRA STAĆ SIĘ MIAŁA W ZAŁOŻENIU POCZĄTKIEM MASOWYCH PROTESTÓW, NA KTÓRYCH ORGANIZATORZY ZAMIERZALI POLITYCZNIE EKSPLOATOWAĆ KRZYWDĘ OSÓB POTURBOWANYCH LUB ZATRZYMANYCH PRZEZ POLICJĘ TRZY DNI WCZEŚNIEJ. TYLE TYLKO ŻE ŻADNYCH ZATRZYMAŃ NIE BYŁO.

dziennikarzy, którą na swoich kontach twitterowych zapowiadali m.in. Tomasz Lis („Newsweek”) oraz Dominika Wielowieyska („Gazeta Wyborcza”). Dzień później w tym samym miejscu Komitet Obrony Demokracji zorganizował manifestację, która przerodziła się w okupację Sejmu. W założeniu po 16 grudnia miał rozpocząć się masowy protest, którego celem było zablokowanie prac Sejmu, uniemożliwienie przyjęcie budżetu i doprowadzenie do nowych wyborów. Tak się jednak nie stało, postulowany przez naczelnego tygodnika „Forbes” majdan przerodził się w ciamajdan, a zostawieni na lodzie posłowie PO i Nowoczesnej rozpoczęli śpiewanie z mównicy sejmowej piosenek i myszkowanie w ławach poselskich koleżanek w poszukiwaniu interesujących książek.

Wszystkie te elementy zostały już wielokrotnie i szczegółowo opisane. Z politologicznego punktu widzenia warto jednak zwrócić uwagę na aspekt, o którym w poważnych badaniach naukowych nad zjawiskiem „zamachu stanu” pisali amerykańscy badacze z uniwersytetu w Nowym Jorku.

W opublikowanym w 2014 r. na Uniwersytecie Virginii tekście „Masowe protesty i koordynacja elit w za-

macji na temat natury rządu w danym państwie zmniejsza, a nie zwiększa ewentualny rozdźwięk pomiędzy wyobrażeniem na temat działającego rządu a jego realną naturą. Innymi słowy, w systemie politycznym, w którym obywatele otrzymują stały i różnorodny dostęp do informacji o sytuacji politycznej, są bardziej skłonni do wpływania na zmiany polityczne poprzez wybory i naturalne procesy polityczne niż zamachy stanu.

Być może ta właśnie obserwacja jest kluczowa dla zrozumienia kuriozalnej próby puczu, z jaką mieliśmy do czynienia w Polsce na przełomie 2016 i 2017 r. Przecież, jaki zaplanowany był w mediach sprzyjających organizatorom manifestacji i blokady Sejmu, stał w jaskrawej sprzeczności zarówno z obrazem zdarzeń, jaki prezentowały media z nimi konkurujące, jak i może przede wszystkim z obrazem, jaki prezentował świat nowych mediów. Tych znajdujących się w telefonach komórkowych zaciekawionych obywateli, którzy filmując przedziwną scenę kładącego się na ulicy działacza „Krytyki Politycznej” Diduski, zadawali podawane dalej tysiące razy pytanie: dlaczego ten człowiek udaje rannego, chociaż nikt do niego nie strzela? ■



fol. PAP/Abaca

Rafał Brzeski

Ciamajdany wszelkiej maści, łączcie się

Model luźnego ruchu KOD powstałego po wyborczej przegranej jest zbliżony do ruchu „Jęczydeł”, który podniósł hałaśliwy sprzeciw po ogłoszeniu wyniku brytyjskiego referendum, oraz do tworzącego się w USA wrzaskliwego ruchu feministycznego protestu, który też zrodził się po wygranej Donalda Trumpa. Każdy z nich jednoczy niezadowolonych z faktu, że tym razem nie poszło tak, jak się spodziewali, bo przecież zawsze szło zgodnie z przewidywaniami. Tworzą go drugorzędni politycy, celebryci, lokalni działacze oraz biurokraci, czyli ludzie zagrożeni oderwaniem od koryta napelnianego z pieniędzy podatników.

Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku na spotkaniu Grupy Bilderberg w hotelu Taschenbergpalais w Dreźnie wielcy, wpływowi i oświeceni tego świata debatowali o klasie średniej i prekariacie. Dyskutowali o strategii transformacji klasy średniej zakorzenionej w lokalnych środowiskach, niezależnej ekonomicznie, wierniej rodzinie i tradycyjnym wartościom w prekariat, czyli w warstwę ludzi podążających

z miejsca na miejsce za pracą, przeprowadzających się stale z jednego do drugiego mieszkania na wynajem, ciągle wypełniających CV i ankiety personalne, starających się o zdolność kredytową, wiecznie zatroskanych i niepewnych o swój los. Zwracano przy tym dyskretnie uwagę, że chociaż obie są wykształcone, to pierwsza grupa jest oporna na sterowanie, natomiast druga – podatna.

Siedem miesięcy później w szwajcarskim uzdrowisku Davos wielu, wpływowi i oświeceni mówili z niepokojem o niebezpieczeństwie tak zwanych populistów i zastanawiali się, co zrobić, „żeby było tak, jak było”. Marzenie Agnieszki Holland zaskoczonych zwycięstwem PiS w wyborach do Sejmu zrobiło globalną karierę. Po wiktorii wyborczej i zaprzysiężeniu Donalda Trumpa jak mantrę powtarzają jej słowa zarówno nieprzyzwoicie bogaci, jak i pseudo-intelektualiści uznawani za najwyższe autorytety przez sprzedajne media oraz celebryci. W opinii wielu z nich budowany przez ponad pół wieku porządek świata stanął na głowie. Płyty tektoniczne globalnej polityki przesuwały się i ten budzący niepokój proces może, o zgrozo, doprowadzić do powrotu rządów ludzi kierujących się wolą wyborców oraz interesem narodowym, a nie uległych kreatur skorumpowanych protekcyjnym dopuszczeniem „na salony”.

► Kto się boi populistycznej rewolty

Małe Węgry po zwycięstwie Viktora Orbána można było uznać za aberrację i zlekceważyć. Polskę po wyborczych sukcesach Andrzeja Dudy i PiS można było zostawić Berlinowi, aby ustawił, kogo trzeba, do pionu przy pomocy swoich polskojęzycznych mediów i agentury wpływu. Ale Brexit, referendum we Włoszech, rosnąca popularność francuskiego Frontu Narodowego i hollenderskiej Partii Wolności, a w końcu zwycięstwo Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych to już zwiastuny trendu o narastającej dynamice. Wysoki przedstawiciel Unii Europejskiej do spraw międzynarodowych Federica Mogherini jęczała w Davos, że tworzy się „nowy paradygmat polityki zagranicznej”.

Co bardziej energiczni nie poprzestają na lamentach i starają się zawrócić czas świadomi, że z miesiąca na miesiąc coraz mniej ludzi daje się omamić sloganami o postępie, tolerancji, nowych horyzontach, swobodach liberalnego rynku itp. Obszary politycznego oddziaływania dla wyhamowania populistycznej rewolty zarysował miliarder George Soros, który w wywiadzie dla telewizji gospodarczej Bloomberg przepowiadał, iż „oszust” Donald Trump nie sprawdzi się jako prezydent, jego administracja przerozdi się w kłębowski zmij, a on sam w dyktatora. Premier Theresa May nie porządzi – według Sorosa – długo, ponieważ Brytyjczycy odwrócą się od Brexitu, jak tylko poczują, ile on ich kosztuje. Unia Europejska wprawdzie się rozpadła, ale można i trzeba ją uratować. Soros pochwalił się, że wie, jak przywrócić świetność UE, ale nie ujawnił swoich sposobów, ograniczając się do zapewnienia, że podzielane są przez wielu ludzi w unijnym establishmentie.

Uwagi Sorosa pokrywają się z ocenami brukselskiego „trustu mózgów” VoteWatch Europe, który podał ogólne wytyczne antypopulistycznej kampanii w skali Unii Europejskiej. W ocenie jego ekspertów można jeszcze zahamować „wirówkę”, która już „odepchnęła” od Brukseli Wielką Brytanię, Grecję, Polskę i Węgry, a teraz coraz sil-

niej odpycha Francję i Holandię. Warunkiem jest pełna mobilizacja wszystkich tych, którym Unia Europejska przynosi korzyści. Od studentów uczestniczących w programie Erasmus po wielki biznes. Jedni bowiem mają „ślusne koncepcje, drudzy energię, a inni fundusze”. Trzeba tylko działać szybko, bowiem wkrótce „nie zostanie nic, z czego można będzie skorzystać”. Innymi słowy mówiąc, należy tworzyć totalną opozycję wobec populistów, gdyż inaczej koryto wyschnie.

Ponieważ według VoteWatch Europe klasyczne partie polityczne strukturalnie skostniały i nie sprawdzają się w dobie Internetu, mediów społecznościowych i nowych technologii, to należy je zastąpić frontem totalnej opozycji na bazie organizacji pozarządowych i grup obywatelskich wspieranych przez prywatny biznes. Członkowie takich grup mają energię i motywację, ich formacje nie są biurokratyzowane, a więc adaptują się szybciej do zmiennych warunków politycznych i potrzeb społecznych. Problem tylko w tym, że takie grupy obywatelskie powstają szybko i spontanicznie oraz mobilizują się najłatwiej tylko wówczas, kiedy pragną się sprzeciwić inicjatywom podejmowanym przez Unię Europejską. W kampaniach wspierania UE o entuzjazm trudno, ale dyskretny zastrzyk finansowy może pobudzić zapał oraz inwencję twórczą. Warunkiem powodzenia jest jednak zmiana sposobu myślenia unijnego establishmentu, który zgzuśniał i winę za niepowodzenia zwała na „ignorancję wyborców”.

► „Przesunięcie władzy” poza państwa narodowe

Odwolanie się brukselskiego think tanku do wspólnego frontu organizacji pozarządowych ma swoje uzasadnienie. Mniej więcej od czasu prezydentury Billa Clintona międzynarodowe organizacje pozarządowe w coraz większym stopniu przejmują kontrolę nad społeczeństwami, spychając na margines tradycyjne instytucje suwerennego państwa. W swoistym manifestie organizacji pozarządowych Jessica Mathews oceniła, że rządy narodowe trapi erozja autorytetu i stały się instytucjami przestarzałymi, a przyszłość należy do globalnych sieci biznesu powiązanego z organizacjami pozarządowymi. Państwa narodowe stopniowo przestaną być postrzegane jako „naturalne twory rozwiązywania problemów”, a konglomerat ponadnarodowych korporacji i organizacji pozarządowych przejmie kontrolę nad polityką, bezpieczeństwem oraz rozwojem społecznym i będzie to „przesunięcie władzy” poza państwa narodowe, ku liberalnym instytucjom międzynarodowym¹. Bill Clinton twierdził nawet, że „era wielkich rządów się skończyła”² i możliwości rozwoju zapewniać będzie sek-

¹ Jessica T. Mathews, „Power Shift”, „Foreign Affairs”, styczeń/luty 1997, s. 53.

² Cyt. za: Laurence Jarvik, „NGOs: A »New Class« in International Relations”, „Orbis”, wiosna 2007, s. 219.

tor prywatny przy zachowaniu klasowych przywilejów elity politycznej i administracyjnej. W tym kontekście kandydatura Hillary Clinton jako wyborczej przeciwniczki Donalda Trumpa i poparcie udzielane jej przez establishment waszyngtoński, amerykańską klasę administracyjną oraz wielkie szczytnie medialne Wschodniego Wybrzeża jawią się jako dobrze przemyślana operacja polityczna.

Analitycy międzynarodowych działań organizacji pozarządowych zwracają uwagę, że nie mają one tradycyjnej legitymacji obywateli, jaką dysponują państwa narodowe oparte na demokratycznym systemie wyborczym. Dlatego też starają się narzucić wolę swoją i swoich sponsorów drogą zastraszania lub wymuszeń. Pomijają przy tym wypróbowane i uznawane w cywilizowanym rozwiązywaniu konfliktów środki dyplomatyczne, prawne, a nawet militarne. Działają przy tym najczęściej pośrednio, wykorzystując jako narzędzia cieszące się szacunkiem organizacje międzynarodowe, które na różne sposoby skłaniają do nałożenia na opornych „sankcji” lub do ogłoszenia „interwencji humanitarnych”³. Składane w Brukseli i w europejskich mediach donosy polityków polskiej „totalnej opozycji” oraz aktywistów Komitetu Obrony Demokracji wpisują się idealnie w ten schemat.

► Niczym organizacje terrorystyczne

Bezceremonialne „ustawianie” przeciwników przez organizacje pozarządowe przy maksymalnym wykorzystaniu mediów sprawia, że porównywane są przez krytyków do ugrupowań terrorystycznych. Z perspektywy schematu organizacyjnego porównanie jest trafne. Jedne i drugie stanowią „luźną sieć indywidualnych osób powiązanych jedną wspólną sprawą”. Wykorzystując współczesne możliwości komunikowania i przemieszczania się, jedne i drugie mogą oddziaływać globalnie. Na ich fundusze składają się drobne datki sympatyków oraz potężne sumy bogatych sponsorów. Skuteczność działania jednych i drugich zależna jest od poświęcenia idealistycznie nastawionych aktywistów⁴.

Trudno powiedzieć, czy zbieżność zaleceń VoteWatch Europe i Sorosa, dysponującego sponsorowaną przez siebie stacją organizacji pozarządowych, to przypadek, czy efekt ustaleń, ale tak się jakoś dzieje, że model i hasła polskiego Komitetu Obrony Demokracji powtarzają się w Wielkiej Brytanii, w USA, a nawet na antypodach.

Model luźnego ruchu KOD powstałego po wyborczej przegranej jest zbliżony do ruchu „Jęczydeł”⁵, który podniósł hałaśliwy sprzeciw po ogłoszeniu wyniku

brytyjskiego referendum, oraz do tworzącego się w USA wrzaskliwego ruchu feministycznego protestu, który też zrodził się po wygranej Donalda Trumpa. Ruch ten jeszcze nie ma nazwy, ale ma już symbol, czyli dziergane na drutach różowe czapeczki zwane „cipeczkami” (pussyhat).

Każdy z tych ruchów jednoczą niezadowolonych z faktu, że tym razem nie poszło tak, jak się spodziewali, bo przecież zawsze szło zgodnie z przewidywaniami. Tworzą go drugorzędni politycy, celebryci, lokalni działacze oraz burokraci, czyli ludzie zagrożeni oderwaniem od koryta napelnianego z pieniędzy podatników. W Polsce i Wielkiej Brytanii ruchy te potrafiły początkowo zmobilizować mniejsze lub większe demonstrujące tłumy, ale potem protestacyjny ferwor wygasł. W USA pierwszego dnia po inauguracji Donalda Trumpa w proteście wzięło udział ponad milion osób, ale co będzie dalej, jeszcze nie wiadomo. Charakterystyczna jest internacjonalizacja działań każdego ruchu. KOD i brytyjskie „Jęczydła” zabiegają o wsparcie Unii Europejskiej, feministki amerykańskie poprosiły o „manifestacje siostrzane”, które odbyły się w setkach miast, głównie krajów anglosaskich, jednocząc od kilkudziesięciu do kilku tysięcy demonstrantów.

Hasła też są identyczne lub zbliżone. Przede wszystkim rezultatem woli wyborców jest „nielegalny”, w związku z czym podejmowane są próby kwestionowania go na drodze prawnej. Ponadto doszło do „zamachu na demokrację” i dlatego świadomi obywatele powinni stanąć w jej obronie. Zwycięzcy procesu wyborczego to „faszyści”, którzy spychają społeczeństwo ku „dyktaturze” i dlatego należy tych „nazistów” powstrzymać, zanim „zrujną kraj”. Do tego dochodzą wariacje głównych tematów albo hasła typu „miłość nienawidzi Trumpa”, pełne rozpacz „nie potrafię żyć bez UE” czy powiewanie nagim biustem w charakterze deklaracji politycznej.

Swoista międzynarodówka niezadowolonych z odzyskiwania podmiotowości przez obywateli, zagrożenie, jakie proces ten stanowi dla interesów ponadnarodowych establishmentów i korporacji, w powiązaniu z wpływami, jakimi dysponują organizacje pozarządowe oraz medialne „agencje towarzyskie” pełne żurnalistów lekkich obyczajów, sprawiają, że nie można spodziewać się rychłego powrotu do cywilizowanych reguł wewnątrzpaństwowej gry politycznej. Wręcz odwrotnie, należy się liczyć z jednej strony z eskalacją wrzaskliwych akcji pozaprawnych, a z drugiej – z nasileniem utajionych działań korupcyjnych. ■

DR RAFAŁ BRZESKI

Dziennikarz, pisarz, tłumacz, publicysta, specjalista w dziedzinie wojny informacyjnej, służb specjalnych i terroryzmu, były szkoleniowiec oficerów brytyjskiej policji; działacz niepodległościowy – z bl. ks. Jerzym Popiełuską współorganizował tajne szkolenia.

³ Ibid., s. 217.

⁴ Moses Naim, „Al Qaeda: The NGO”, „Foreign Policy”, marzec/wiecień, 2002.

⁵ Remoaners, Moaners lub Bemoaners – prasa brytyjska używa wyimennie tych trzech terminów.



Straszno i śmieszno – tak można trzema słowami podsumować to, co działo się w Sejmie w dniach 16 grudnia–12 stycznia. Mimo uderzeń w najwyższe tony polityków opozycji i wspierających ich dziennikarzy oraz celebrytów Polacy nie dali się zmanipulować. Z właściwą sobie ironią wyciągnęli wnioski z kryzysu parlamentarnego.

- A CO, MOŻE MIAŁEM LECIEĆ

Z LUBNAUER ?

ciamajdan

KIEDY FACETKA OTWORZY DZIENNIK I POWIE

ŻE MOŻECIE ZOBACZYĆ OCENY ZE WSZYSTKICH
PRZEDMIOTÓW

JEŻELI PIS SIĘ NIE COFNIĘ
OPOZYCJA ROZPOCZNIE GŁÓDÓWKĘ

BĘDZIEMY GŁÓDOWAĆ
MIĘDZY POŚILKAMI

ZOSTAJEMY TU
DO 11 STYCZNIA

MY TEŻ TYLKO
DO WIGILII

MY TEŻ CHCEMY
JECHAĆ
Z RYŚKIEM
DO PORTUGALII

„To niezwykle symboliczne. 22 lipca uchwalili ustawę o Trybunale Konstytucyjnym, 13 grudnia o zgromadzeniach, a w rocznicę tragedii w Kopalni „Wujek” ograniczają dostęp obywateli do informacji. Hańba takiej władzy. Hańba władzy, która się wstydzi tego, co robi, wstydzi się tak, że się chowa przed kamerami, co wy tam takiego robicie?”

Mateusz Kijowski.

16 grudnia 2016 r.

„Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając też w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, o respekt i szacunek wobec ludzi, zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów”

Donald Tusk

17 grudnia 2016 r.

„Jesteśmy przeciwko dyktaturze. Tej pełzającej i tej faktycznej. Tej, którą chce przyprowadzić Jarosław Kaczyński do Parlamentu. Nie będzie na to zgody”

Grzegorz Schetyna

16 grudnia 2016 r.

„Kaczyński mówi, że się nie podda. My też się nie poddamy. Zabierają głos mediom. Jutro zabiorą głos nam. Dlatego tak mocno protestujemy. (...) Jeżeli nie pozwalają nam mówić to, co chcemy, to jutro każdy z nas będzie się musiał bać, bo za to, co powie, będzie mógł trafić do więzienia. (...) Dziś jest 16 grudnia. To bardzo smutna data w historii Polski. Niestety PiS dopisuje do tej smutnej daty swoją bezczelną historię. (...) Jak będziemy razem, ponad podziałami, to spokojnie z Jarosławem Kaczyńskim wygramy”

Ryszard Petru

16 grudnia 2016 r.

„Niszczą fundamenty państwa. Mówimy im za to: hańba wam! Dziś my jesteśmy tu. W Sejmie jest PiS i zachowuje się tak, jakby stał tam, gdzie stało ZOMO. Ale skończy tak jak kończyły wszystkie niegodne formacje i skończy tam, gdzie zawsze kończą dyktatorzy. PiS-ie, Beato Szydło, Jarosławie Kaczyński, Andrzej Dudo, wasz koniec się zbliża”

Barbara Nowacka

16 grudnia 2016 r., pod Sejmem



I JA MU WTEDY MÓWIĘ:



RYSZARD TRADYCYJNY **RYSZARD NOWOCZESNY**



„Oczywiście mają znaczenie wydarzenia w parlamencie, należy sprzeciwiać się złu i kłamstwu, gdzie to możliwe, ale wszystko prowadzi raczej do przewlekłej fali protestów, strajków, manifestacji. Raczej nie polski Majdan, a polski Iran (z okresu obalenia Szacha) lub Birma, chociaż okoliczności i realia są inne i podobieństwo bardzo ogólne”

Stefan Niesiołowski

„Pomimo klęski wyborczej, poczucie słabości mija. Mamy za sobą trudny, ale w wielu przypadkach zwycięski rok, bo przecież powstał wielki front obrony polskiej demokracji obejmujący i partie parlamentarnej opozycji demokratycznej, i także opozycję pozaparlamentarną, i wielki ruch obywateli – Komitet Obrony Demokracji”

Bronisław Komorowski

18 grudnia 2016 r.

„Miałem przedwczoraj satysfakcję, oglądając jedną ze znanych pań posłanek partii rządzącej, gdy czmychała z polskiego Sejmu pod eskortą Policji”

Bronisław Komorowski

18 grudnia 2016 r.

„Pan Naczelnik kazał nam wybrać Naczelnika Opozycji. Zapomniał, że Marek Kuchciński stworzył #ZjednoczonaOpozycja”

napisał na Twitterze poseł PO

Michał Szczerba

21 grudnia 2016 r.

„Ja stoję i w tej czarnej przestrzeni widzę jeden telefon, drugi telefon, trzeci telefon. Mówię: kurczę, coś się dzieje w Polsce. Widzę, że oni włączają, czytają i wyłączają. I coraz więcej telefonów. I mówię: cholera, coś się dzieje w kraju, a ja tu gram. Ja po tych telefonach zobaczyłam, co to się dzieje? Pierwszy akt gram godzinę i dwadzieścia minut. I już po godzinie ósmej jak było pierwsze wezwanie pod Sejm. To ja mówię: Matko! Świecą się telefony, coś się stało! Wpadłam szybko do garderoby po pierwszym akcie i zobaczyłam sama, co się stało. I myślę sobie: Jak ja teraz wyjdę do drugiego aktu. Ale wychodzę. Cała sala wróciła, ale mieli bez przerwy włączone telefony. Ja już ich nie mordowałam tylko skracałam. I teraz robicie, co chcecie: albo w prawo, albo w lewo”

Krystyna Janda,

TVN24

„Życzę wam wszystkim i posłom z opozycji, którzy dzielnie bronią demokracji, by najbliższy rok był rokiem nie dobrej zmiany, ale bardzo dobrej zmiany”

Adam Michnik

31 grudnia 2016 r.

„Nie rozumiem tej decyzji i tego apelu. Nie wiem, dlaczego przewodniczący Petru chce rozpocząć współpracę z senatorami PiS. Nie zgadzam się i nie chcę, żeby (senаторowie PiS) przedstawiali poprawki Platformy Obywatelskiej. Natomiast jeżeli Ryszard Petru chce podjąć jakąś współpracę strategiczną, to jest jego decyzja. Chcę powiedzieć i przypomnieć mu – bo jestem zdumiony tą deklaracją – że znalazł się w innej strefie klimatycznej i powinien ważyć słowa w takich sprawach, bo sytuacja jest obiektywnie trudna”

Grzegorz Schetyna

4 stycznia 2017 r.

„Mówiłem Grzegorzowi Schetynie, żeby nie wchodził kolejny raz na mównicę. Nie posłuchał. Wszedł na mównicę, zszedł z niej. Nie wiem, po co to było”

Ryszard Petru

12 stycznia 2017 r.



Bohdan Urbankowski



Spod tegorocznego karnawału wystaje konstrukcja sprawdzona już w polityce. To konstrukcja „frontów ludowych”, które przeciw „zgniłym demokracjom” jednoczyły lewicę różnych maści. Były one wynalazkiem VII Zjazdu Kominternu (1935 r.), a konkretnie – Stalina.

NIE MA
OBYWATELSTWA
PRZYCZYN.
NARÓD
NIE GŁODUJE.

WE
DON'T
NEED
NO
PIS EDUCATION

DO
TWARZY
NAM
Z OJCZYZNY

Karnawał i



**STRAŻ
OBYWATELE**

**...PŁOT
...EŻ NAM
...ABRALIŚCE!**

ŁACHETNA PACZKA

Komintern

fot. Tomasz Gali/PAP

Chorągiewki, bębenki, wuwuzele, pochody błaznów. Karnawał. Na czele – Zchłopakról, kabacik czerwony, okularniki intelektualne, ale w głupawym kolorze. Kolczyk w uchu, siwe kłaczki związane w koński ogon. Karnawał. (Zchłopakról nie tak całkiem z chłopa, raczej z lędzwi działacza ZSL-u, dziad Kijowski chłop nie byle jaki, nawet stan wojenny uchwalał, przez lata sztandarem towarzystwa polsko-radzieckiego niczym kłonicą potrząsał.) Za Zchłopakrólem – Mazguła w zielonym bereciku – taki zombi stanu wojennego. A dalej aktywistki wiekowe, przechodzone przez partyjne pochody, ale tu są młode, pyskate i aby tę młodość podkreślić, bluzgają wyrazami uchodzącymi powszechnie za młodzieżowe. Tu kiepska reżyserka jest wielka, głupawy polityk mądry, wieloletni donosiciel szlachetny – karnawał przecież.

► Parodia strajku i wypad dla relaksu

Organizowane pochody karnawałowe na tyle były halaśliwe i barwne, że nie tylko przesłoniły pamięć komunistycznych zbrodni popełnionych w grudniu w 1970 r. na Wybrzeżu i w 1981 r. na Śląsku, lecz także popsuły święta Bożego Narodzenia. To nazywa się oświńnianie świętości. Pobity został nawet rekord „Gazety Wyborczej”, która w 50. rocznicę powstania warszawskiego rozpętała medialną nagonkę na powstańców, którzy rzekomo mordowali Żydów zamiast Niemców. Tegoroczne pomysły były równie cyniczne. Grupa zachodniopomorskich „koderastów” zamieściła fotkę obrazującą panujący w kraju terror: rządęk wieźniów ubranych w lagrowe kostiumiki. Prócz „koderastów” fotkę po świecie rozესłali też aktywiści z Platformy i Nowoczesnej, nie rozumiejąc, że zdjęcie działa w obu kierunkach: jeżeli mówi, że jest tak, jak było w obozach, to mówi też, że w obozach było tak, jak jest teraz (Niemcy nie byli tacy źli, w Auschwitz bywało hecnie).

Zabawą karnawału staje się także śmierć. Pod Sejmem wyrósł cmentarz-parodia [instalacja pt. „Cmentarz PiS – wartości, które pogrzebał lub usiłuje pogrzebać obecny rząd” ustawiona 21 grudnia ub.r. – red.]. Trudno powiedzieć, dlaczego jest to parodia cmentarza żydowskiego. A na macewach dane o „ofiarach” polskich władz – w grobach legły: i wolność mediów, i wyższa kwota wolna od podatku, i antykoncepcja awaryjna. Oczywiście swoje macewy mają: prywatność, sprawiedliwość, a także... karty telefoniczne.

Karnawałowy charakter miały także obrady w Sejmie – a to dzięki wygłupom opozycji. Gdy władza próbowała być poważna i usunęła nawet

jednego z błaznujących, bodaj posła Szczerbkę czy Dziurkę, opozycja poszła na całość i ogłosiła strajk. Oczywiście karnawałowy. Zamiast siedzieć, cierpieć, głodować, wpadała na chwilę coś zjeść (szlazierem kulinarnym był wigilijny pasztet!), pstryknąć sweet-fotkę, zaśpiewać baraním głosem równie baranią piosenkę... Rotacyjny strajk okupacyjny połączony był z rotacyjną głodówką i zasłużonym odpoczynkiem. Bogatsi, ci z Nowoczesnej, jeździli z wystrzałowymi ciałami do ciepłych krajów. Scheptyń średniego sortu – tylko z własnymi brzuchami na narty, najbiedniejsi – dyrdali kilka ulic dalej na ruskie pierogi i setę. Po drodze rozdawali autografy, brzydsze posłanki – zdjęcia. Z młodości.

Coraz bardziej bojowe bębny, coraz głośniejsze wuwuzele, karne szeregi lemingów z fundacji dożywianych przez Sorosa, ekolodzy nadymający żabki za pomocą ekologicznych słomek, uczeni z niewidzialnego kolegium – słowem: mieszkańcy równie niewidzialnej, lecz dobrze płatnej otwartej Rzeczypospolitej (małymi literami!) – wszystko szło w marszach KOD-u. Trudno powiedzieć: karnawał to jeszcze czy coś więcej?

Może skutek odwilży spod sztucznych karnawałowych kwiatów zaczęło wylać coś brudnego i cuchnącego? Przede wszystkim starzy ubecy. Przyznajmy sprawiedliwie: kilku zrobiło coś naprawdę dobrego dla Polski i zdechło – wielu jednak zdecydowało się pomimo wszystko wziąć udział w karnawale. Najgroźniejszą z karnawałowych imprez nie był marsz paru tysięcy lemingów dowiezionych z prowincji (kiedyś tak dowożono na święto „Trybuny Ludu” z serdelkami), najgroźniejszy był więc ubeków i innych „mundurowych” pod pomnikiem AK.

Protestowali przeciw pozbawieniu ich części przywilejów (stąd druga nazwa: Komitet Obrony Dochodów), ale protestowali po chamsku – jakby znów prowadzili przesłuchania. Był nawet taki, który groził, że nie wszyscy oni zdali broń... Dzięki karnawałowi robionemu przez głupią opozycję mogli się zleźć pod pomnik, policzyć, wymienić adresy prywatne i firmowe. A firmy wcale nie karnawałowe, tylko gangsterskie, banksterskie, z zagranicznymi kontaktami. Błazenkowie strajkujący rotacyjnie w Sejmie oczywiście znaleźli czas, by się do byłych służb powdzięczyć. Bo może oni wrócą... Spod karnawałowych kwiatuszków wypłynęły kałuże strachu.

► Propagandowa maszyna ruszyła

Również wygłupy opozycji na sali sejmowej to nie tylko karnawał. Protestujący mieli za zadanie

zablokować uchwalenie budżetu, a także obronić przywileje emerytalne dawnych ubeków – stąd właśnie była ta złowieszcza manifestacja „mundurowych” i groźenie niezdaną bronią. Młodszy, głupszy, o intelekcie myszek i innych gryzoni czy insektów, mogli tego nie kumać, ale starzy wyjadacze wiedzieli, czemu wdzięczą się do esbeków.

Bożonarodzeniowy karnawał był lepiej zorganizowany od poprzednich – dlatego trwał tak długo. Nie przypadkiem posłowie zaczęli domagać się zwołania „alternatywnej”, na pozór karnawałowej sesji Sejmu (nie przypadkiem tego dnia do Wrocławia przyleciał z Brukseli były premier Tusk; nie przypadkiem też wysiadł przekaz telewizyjny – w czasie, gdy urzędująca premier Rzeczypospolitej wygłaszała przemówienie do Polaków).

Zaczynał się przewrót, którego widzieliśmy tylko karnawałowy czubek. Akcja była przygotowana medialnie – jak przed laty, gdy zaszczuwano prezydenta Kaczyńskiego i podszuczowano Cybę. Gazetowo-telewizyjno-internetowy przemysł pogardy pracował pełną parą. Już w styczniu 2016 r. Wojciech Czuchoński (z „GW”) pisał: „sprzeciw wobec rozkazów wydawanych przez Macierewicza i jego ludzi jest obowiązkiem przyzwoitego Polaka i żołnierza. Namawiam do tego. Mam nadzieję, że w wojsku znajdą się ludzie z charakterem”.

To jedno z pierwszych wezwań. W następnych dniach i w „Wyborczej”, i w innych opozycyjnych mediach pojawiały się teksty, jeśli nie wzywające do buntu, to podważające autorytet rządu RP. Wbijano społeczeństwu przekonania, iż rząd nie jest polski, tylko „pisowski”, że PiS sprawuje władzę nielegalnie, bo głosowała na niego mniejszość Polaków – zapominając, że na PO głosowała znacznie mniejsza mniejszość. Jako przeciwrząd próbowano wylansować Trybunał Konstytucyjny (twór wymysłony jeszcze przez Jaruzelskiego w stanie wojennym), w którym nominaci PO mieli 14 stanowisk na 15. Niezadowolony przez prezydenta dodatkowo i „na zapas” wybranych trzech kandydatów PO przedstawiano w Polsce i w Unii jako zamach na swobody demokratyczne, ba, jako łamanie konstytucji. Polscy targowiczanie domagali się kar dla Polski, może nawet wyrzucenia jej z Unii.

W tej sytuacji KOD zdobywał coraz większe wpływy. Nikt nie pytał, skąd ta powstała z niebytu organizacja ma środki na budowanie struktur i na dowożenie ludzi z terenu na manifestacje. Zanim zaczął się karnawał w Sejmie – KOD opanował sferę wirtualną i sterroryzował psychikę zbiorową Polaków. Dokonano kradzieży tradycji: KOD zaczął się posługiwać patriotycznymi symbolami, odwoływać do „Solidarności”, a także do KOR-u. Wspomagały ten nastrój media – filmując i fotografując

– a o to głównie chodzi uczestnikom takich imprez. KOD to był dobry „lans”, przez KOD pchali się na telewizyjne szkło różni przegrani politycy – uczciwi jak Wałęsa, trzeźwi jak Kwaśniewski, śliczni jak Kalisz z Michnikiem do kupy. Kijowski był nadmuchiwany jak wspomniana już żabka. Uchodzące za Michnikową „czerezwycajkę” Towarzystwo Dziennikarskie (Blumsztajn, Żakowski, Ordyński) wymyśliło Nagrodę Wolności, a pierwszym laureatem obwołało właśnie Kijowskiego z siwym ogonem za: „godną najwyższego uznania obywatelską aktywność, a w szczególności za zorganizowanie w niebywale krótkim czasie [...] pokojowych protestów setek tysięcy Polaków w obronie wolności i demokracji”. Kijowski został takim Złhopakrółem na pokaz.

► Wezwanie do buntu w imię materializmu

Mniej widowiskowy, ale może nawet ważniejszy, był ów zombi w zielonym berecie. 29 listopada 2016 r. pułkownik Mazguła zamieścił na Facebooku list otwarty: „Ja, zwykły żołnierz rezerwista, w Dniu Podchorążego, wzywam Was, [...] do przeciwstawienia się łamaniu Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, w tym do ochrony Trybunału Konstytucyjnego, jako gwaranta jej przestrzegania. Wzywam Was do interwencji w sprawie obrażenia munduru, do poszanowania naszej historii i umacniania wojska. Wzywam Was do odrzucenia ideologii wiary smoleńskiej i zachowania świeckości armii”. Jest to ni mniej, ni więcej tylko wezwanie do buntu i to w imię materializmu. Tak odczytali ów apel Mazguły internauci: „Tylko kiedy i gdzie mamy się stawić jesteście gotowi” (Zbych), „Rozkazuj Pułkowniku! Ojczyzna w potrzebie! Krwi nie poskąpi nikt” (konrad). Był także głos krytyczny jakiegoś Anonimowego: „Zdegradować Mazgułę do stopnia szeregowy”, ale szybko dano mu odpór w kilkunastu odpowiedziach w stylu: „Jesteś kanałią i bucem PIS-dzielskim!” (Ludwik, rocznik 1943), „Oczywiście twoim bohaterem jest ten zdrajca kukliński” (krzysulek12), „Chętnie bym ci wyrwał tchawicę, za te gówna co ci z pyska lecą... nawet byś nie zdążył pierdnąć ze strachu...” (żołnierz). W ciągu kilku pierwszych dni na portalu „polityczek” pojawiło się 6736 głosów gardlujących za Mazgułą, a tylko 293 przeciw. Ci pierwsi (na razie nie wszyscy) poszli potem pod pomnik AK.

3 grudnia 2016 r. Mateusz Kijowski opublikował apel: „Stop dewastacji Polski”. Odcedzone z bełkotu wezwanie brzmiało prosto: „wzywamy

wszystkich – obywatelki i obywatele, nauczycieli, rodziców, pracowników służby zdrowia, górników, rolników, przedsiębiorców, twórców i dziennikarzy, sędziów, prokuratorów, policjantów i wojskowych, a także organizacje pozarządowe, partie polityczne i samorządy, organizacje związkowe, samorządy zawodowe – by się temu [tj. działaniom rządu – przyp. B.U.] wspólnie przeciwstawili. Dziś nadeszła chwila, by wypowiedzieć posłuszeństwo tej władzy. 13 grudnia wyjdźmy na ulice wszystkich polskich miast i miasteczek i pokażmy, że nie zgadzamy się na niszczenie Polski. Zaprotestujmy przeciwko aroganckiej wszechwładzy PiS”.

Podpisali m.in.: aktywista (od 1981 r.) ZNP Sławomir Broniarz, były działacz „Solidarności” Władysław Frasyński, była piękność Krystyna Janda, niedoszła piękność Marta Lempart (inicjatorka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet), oczywiście Kijowski z Mazgłą i Petru ze Schetyną, a także zawodowy antyklerykał Krzysztof Pieczyński, także szef Fundacji Batorego Aleksander Smolar, a jako pomidor na tortie – sam Lech Wałęsa. Zabrakło tylko byłego działacza PO Cyby. Trudno dostępny. Na razie.

► Jednoczenie marginesu

Jeśli to miał być karnawał, to wymknął się spod kontroli. Sejm był niby-karnawałowy, zdobiony kretyńskimi śpiewkami posłanki-owad, ale już pod budynkiem było mniej zabawnie. Tłum warczący i porykujący jak zwierzę, dyszący pragnieniem linczu. Z gmachu wychodzi posłanka, twarzę wykrzywiając się w nienawiść, ręce drapieżnie wyciągnięte... Inna posłanka zostaje napadnięta w swoim okręgu, inny poseł otrzymuje telefon: „Zgwałcimy twoją córkę”...

Fotografia blazenka wylegującego się pod Sejmem była przeznaczona na Zachód jako dowód, iż w Polsce przemocą rozprawia się z opozycją. Przypadkiem ktoś nakręcił film z całej inscenizacji... Jakaś dłoń rzuca świecę dymną, mężczyzna się kładzie, dym zaczyna się rozwiewać, do leżącego podbiegają rozhisteryzowane osoby, blazenek wstaje i gdzieś dzwoni... Sekwencja po sekwencji – propagandowa intryga wzięła w łeb.

Spod tegorocznego karnawału wystaje jednak konstrukcja sprawdzona już w polityce. To konstrukcja „frontów ludowych”, które przeciw „zgniłym demokratom” jednoczyły lewicę różnych maści. Były one wynalazkiem VII Zjazdu Kominternu (1935 r.), a konkretnie – Stalina. Wcześniej europejscy komuniści mieli nakaz zwalczania konkurencyjnych ruchów lewicowych jako „socjalfaszystowskich”. Teraz dostali nakaz łączenia się z nimi w so-

jusz – w celu zdobycia władzy. Mordowanie sojuszników następowało potem. Tak było na przykład w Hiszpanii. Najpierw Front Ludowy zdobył władzę, potem komuniści zaczęli wyrzynać różnych socjalistów, anarchistów i republikanów, potem była krwawa wojna domowa, w której obie strony straciły dziesiątki tysięcy ludzi. Wygrała Rosja, która ukradła skarb Hiszpanii.

W Polsce najgłośniejszą akcją Kominternu był zorganizowany we Lwowie w 1936 r. II Antyfaszystowski Kongres Kultury Polskiej. Do organizatorów należeli: Aleksander Dan (Wentraub), Marian Naszkowski i Jarosław Gałań (Hałań – późniejszy autor głośnego pamfletu „Pluję na papieża”). Na plan pierwszy wypchnięto jednak takich luminary, jak filozof Kotarbiński, poeta Broniewski, malarz Jonasz Stern i inni pożyteczni idioci, a nastroj podgrzewały feministyczne krzykaczki Wasilewska i Bristigerowa.

Zjazd występował w obronie kultury i demokracji zagrożonej przez sanacyjne i demokratycznie wybrane władze i wzywał „do walki przeciw sanacyjnemu ciemieniu ludu, zdradcom narodu, podżegaczom wojennym”. Coś nam to przypomina.

Świat ludzki to w gruncie rzeczy dzieło pracy zbiorowej – począwszy od gospodarki aż po najwyższe wartości kulturowe i sakralne, od kopalń po świątynie i modlitwy. Takiego świata nie da się stworzyć siłami jednostki, muszą go tworzyć zbiorowości, narody – i tworzą – oczywiście nie całe. Zawsze się znajdzie grupa pasożytów, konsumentów kultury, nienawistników albo po prostu zwolenników innych projektów. Bywa jednak, że chęć złupienia albo zniszczenia kultury są jedynymi motorami działania jakiejś grupy. Inaczej mówiąc: każda kultura wytwarza swój margines, a tworzą go zaniedbani, odrzuceni i buntownicy. Zwycięstwo marginesu nad kulturą widziała Rosja w 1917 r., wcześniej – Francja. Obecnie w Polsce mamy wiele grup marginesu, żadna z nich nie ma programu pozytywnego, ba, nie chce mieć – bojąc się, że utrudni jednoczenie. Siłą jednoczącą jest nienawiść. Na razie margines nie ma swojego Lenina.

Tymczasem nasi politycy nie potrafią wyznaczyć jednoczących zadań, czyniących z tłumu wspólnotę, włączających margines do kultury. Polaków kiedyś zjednoczyła zbiorowa praca – humanizacja obszarów między Karpatami a Bałtykiem. Potem konstruowano Rzeczpospolitą Obojga Narodów – była nie tylko domem Polaków, lecz także Przedmurzem Europy. Piłsudski próbował stworzyć Federację Międzymorza – może było za wcześnie, może warto do tej idei powrócić. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... wartość

Słowo „wartość” stało się terminem filozoficznym stosunkowo niedawno. Pierwsze teorie aksjologiczne powstały dopiero w drugiej połowie XIX wieku, aksjologia zaś, jako osobny dział filozofii zajmujący się wartościami i wartościowaniem, wyodrębniła się na przełomie XIX i XX wieku. Dlaczego dopiero filozofia współczesna zaczęła pytać o to, czym jest wartość w ogóle? I dlaczego wciąż, pomimo ogromu prób, mamy tak duże trudności ze zdefiniowaniem pojęcia wartości, a w myślenie o nich wkrada się tak wiele rozbieżności?

Pytania o to, czym jest wartość, pojawiły się wraz z kantowskim odróżnieniem „sollen” od „sein”, porządku powinności od porządku bytu,

– czy istnieją one obiektywnie czy subiektywnie, to znaczy niezależnie od sposobów ludzkiego postrzegania czy też są pochodną indywidualnych potrzeb i wyobrażeń człowieka. Jest to najważniejsza dychotomia nie tylko samych wartości, lecz także w ogóle naszego życia. Inne dotyczą tego, czy wartości mają charakter absolutny czy relatywny, w jaki sposób je poznajemy, jaki jest ich stosunek do bytu czy też sposobów i kryteriów, według których można je sklasyfikować i zhierarchizować. Ta ostatnia kwestia zajmuje sporo miejsca w rozważaniach aksjologicznych i podejmowana jest przez specjalistów z wielu dziedzin.

Termin „aksjologia” pochodzi od greckiego słowa *aksia*, oznaczającego „wartość, cenę, równoważ-

WARTOŚCI MAJĄ PEWNĄ SIŁĘ DO TEGO, BY NAS POCIĄGNĄĆ KU SOBIE, A ŻYJĄC WEDŁUG NICH, CZYNIMY SWE ŻYCIE GODNYM, DOBRYM I SENSOWNYM.

nietzscheańskim hasłem „przewartościowania wszystkich wartości” czy analizami z zakresu psychologii opisowej. Nie oznacza to bynajmniej, że problematyka wartości nie była znana wcześniej. Wartościami etycznymi zajmowano się od starożytności, namysł nad nimi wpisywał się jednak w szerszy kontekst ontologiczny i etyczny. Mówiono i pisano więc raczej o dobru, nie widząc potrzeby wyróżniania teorii wartości jako odrębnej dyscypliny filozoficznej. Trudność ze zdefiniowaniem pojęcia „wartość” wynika także z tego, iż jej desygnatami są niezwykle różnorodne wartości, a zakres rozumienia tego pojęcia jest niezwykle szeroki. Nie oznacza to jednak, że nie mamy podejmować prób zrozumienia tego, czym jest wartość. Wręcz przeciwnie. Żyjemy w trudnych dla wartości czasach, wymagających dowartościowywania od wartości(wy)wanych wartości, przede wszystkim tych najważniejszych.

Istnieje wiele sporów aksjologicznych. Najważniejszy z nich dotyczy sposobu istnienia wartości

ność: godność, zasługę”, którego łacińskim odpowiednikiem jest *valor*, związany z *valere* – „mam moc”, „mam siłę do czegoś”. Wartości mają pewną siłę do tego, by nas pociągnąć ku sobie, a żyjąc według nich, czynimy swe życie godnym, dobrym i sensownym. Powiedzieć można, że Władysławem Stróżewskim, że człowiek „jest” wartościowo, że kwestia wartości wiąże się z właściwym człowiekowi sposobem istnienia. Wartości nie narzucają się nam, ale wzywają nas, jako istoty wolne, do podjęcia wyboru, byśmy nie tylko byli, lecz byli wartościowo. Pięknie pisał Roman Ingarden w „Książeczce o człowieku”: „Jestem siłą, co chce być wolna. I nawet trwanie swoje wolności poświęci. Ale zewsząd pod naporem sił innych żyjąca, niewoli zaródź sama w sobie znajduje, jeśli się odpręży, jeżeli wysiłku zaniedba. I wolność swoją utraci, jeżeli się sama do siebie przywiąże. Trwać i być wolna może tylko wtedy, jeżeli siebie samą dobrowolnie odda na wytwarzanie dobra, piękna, prawdy. Wówczas dopiero istnieje”.



O tempora, o mores!

Dzisiejsza opozycja nie widzi w sobie zła. Zdaje się nie dostrzegać tego, jak sama niszczy Polskę i to, co dla Polski najważniejsze. Powiedzieć, że działa w sposób nieprzychylny, to rzec mało.

Małgorzata Matuszak

Istnieją w polszczyźnie słowa, które powoli znikają z użycia. I nie tylko one, lecz także fenomeny przez nie nazywane. Jednym z takich słów zdaje się być „przyzwoitość”. Pojęcie, które ostatnimi czasy straciło na swej wartości i sile, stało się deficytowe w szczególności w szeroko pojętym „życiu politycznym”. A przecież „przyzwoitość” to cecha, która w życiu społecznym właśnie winna się objawiać. Tymczasem zachowania pewnych polityków i niektórych „społeczników” stają się raczej przyczynkiem do postępującej degradacji pojęcia przyzwoitości. Do tego stopnia, że nieprzyzwoitość wokół nas osiąga niekiedy wymiar bezwstydu. Czy to dlatego, że po prostu żyjemy w nieprzyzwoitych czasach?

► Przyzwoicie, czyli jak?

Antoni Słonimski głosił swój słynny bon mot, który brzmi tak: „Gdy nie wiadomo, jak się zachować, na wszelki wypadek trzeba zachować się przyzwoicie”. Przyzwoicie, czyli jak? Co to właściwie znaczy? Być może przyzwoitość jest pojęciem tylko w pierwszym odruchu łatwym do zdefiniowania i wcale nie istnieje jeden jej wzór, lecz jest ich wiele, bo dla każdego znaczy coś innego?

Marcin Wolski określa, czym jest przyzwoitość, w następujący sposób: „[...] to nieodzowny składnik kindersztuby, a zarazem harmonii w stosunku do świata i do siebie”. Kiedy myślimy o człowieku przyzwoitym, wyobrażamy sobie kogoś rzetelnego, sprawiedliwego, komu można ufać, kogoś niekierującego się tylko własnym dobrem. Człowieka, który potrafi dokonywać trudnych, ale słusznych wyborów, który posiada taką wrażliwość aksjologiczną, jaka do takich wyborów go uzdalnia, umie rozsądzić i zdecydować, co jest dobre względem danej osoby we właściwym czasie i miejscu. Kogoś, kto przestrzega norm etycznych i posiada wewnętrzny nakaz kierowania się nimi, kto po prostu, kolokwialnie mówiąc, nie robi świństw. Czy na takie zachowania jest jeszcze miejsce w dzisiejszym świecie polityki? Panuje powszechne przekonanie, że władza odrealnia i deprawuje, spotkać się można nawet z takim poglądem, że w polityce nie można być przyzwoitym, że wyrażenie „przyzwoity polityk” to wręcz oksymoron. Wykonawca tego zawodu zaufania publicznego winien jednak sobą coś reprezentować. Można nie lubić polityki i polityków, ale nie wolno zapominać, że to ona i oni wpływają na większość sfer naszego życia.

► Od-KOD-owana aksjologia

To, co wydarzyło się w Sejmie w grudniu, przekroczyło wszelkie granice przyzwoitości. Dobitnie pokazało, ilu

w sejmowych ławach zasiada zadufanych w sobie, interesownych ludzi. Wszystko oczywiście w imię „demokracji” i walki o „normalność”. Grzegorz Schetyna 17 grudnia przekonywał, że jego partia jest „gwarancją normalności”, mówiąc: „Chcemy zachowywać się przyzwoicie, a jednocześnie dać gwarancję tym wszystkim, którzy byli wczoraj pod Sejmem, że jesteście i będziemy trwać”. PO, Nowoczesna i w ich imieniu KOD pragną, jak to określają, przywrócić ład w Polsce. Robią to w przewrotny sposób – destabilizując. Pytania nasuwają się więc same: o jaki ład im chodzi, o czyj ład? O ten, który utracili, który był kiedyś? Słyszemy od nich, że Polska może się stać państwem autorytarnym i totalitarnym, że PiS dzieli i skłóca ze sobą Polaków, niszczy parlamentaryzm. Przekonani są, że to oni i tylko oni znajdują się po stronie światłości i dobra, demokracji i nowoczesności. To dlatego walczą o demokrację, jednocześnie ją łamiąc? Mówią o normalności i przyzwoitości, nie wiedząc, co tak naprawdę się pod tymi pojęciami kryje?

Po tym jak lider Nowoczesnej Ryszard Petru szumnie ogłosił bój o demokrację, mówiąc, że politycy nie powinni opuszczać Sejmu, w towarzystwie Joanny Schmidt poleciał na urlop do Portugalii. Katarzyna Lubnauer początkowo informowała, że był to wyjazd partyjny, potem jednak okazało się, że „absolutnie prywatny”. Mateusz Kijowski z kolei, lider KOD-u, w swym mniemaniu stał się ofiarą ataków, na które nie zasłużył. 19 stycznia, odnosząc się do wezwania do ustąpienia z funkcji przewodniczącego zarządu, napisał na swoim profilu na Twitterze: „KOD jest w kryzysie. Podlega zmasowanemu atakowi. Nic dziwnego – w ostatnich miesiącach pokazaliśmy naszą siłę, co potwierdza właśnie te zmasowane ataki. W czasach słusznie minionych komunistyczna władza najchętniej sięgała po kompromitację, kiedy walczyła z przeciwnikami. A skompromitować w Polsce najłatwiej za pomocą skandalu obyczajowego albo finansowego. Już obu tych metod spróbowano wobec mnie, aby osłabić KOD”. Zapomniał najwyraźniej, że sam się skompromitował. Najpierw tym, że nie płaci alimentów, teraz wystawianiem KOD-owi faktur. Nikt w tym mu nie pomagał. 11 stycznia zaś przy artykule na temat strajku KOD-u pod Sejmem umieścił na Facebooku wpis: „Tak było wczoraj. Bo walczyliśmy o Polskę a nie o stołki, zaszczyty czy władzę”. Po co te wpisy, skoro sam sobie wystawił świadectwo?

► „Wielkie granie w pomaganie”

Jerzy Owsiak urosł do rangi bohatera narodowego. To zrozumiałe, przecież pomaga – chorym dzieciom, a od jakiegoś czasu również ludziom starszym. Suma pieniędzy zebranych przez Orkiestrę rzeczywiście robi wrażenie

nie. W szpitalach można zobaczyć wiele aparatury z naklejonym serduszkiem. Ludzie wrzucający pieniądze do puszek, biorący udział w aukcjach, nie chcą podawać uczciwości Owsiaka w wątpliwość. Chcą wierzyć w to, że jest przyzwoitym człowiekiem. Pod artykułem przedstawiającym „drugą stronę” działalności WOŚP można przeczytać wpis o takiej wymowie: „Owsiak i sprzęty zakupione przez zebrane pieniądze w jego akcji, pomogły już tysiącom albo i dziesiątkom tysięcy, jeśli nie setkom... mojemu dziecku też. Z synem odwiedziłam kilka różnych szpitali i klinik, w każdej był jakiś sprzęt od orkiestry, nie byle jaki... Mój syn był w śpiączce i fundacja, która rzekomo zajmuje się takimi przypadkami, odmówiła nam pomocy, a sprzęt od Owsiaka używaliśmy wielokrotnie. Córka koleżanki z ciężką wadą serca, również została uratowana dzięki zakupionemu przez Owsiaka sprzętowi... Syn kolejnej, po poparzeniu ciała i konieczności wielokrotnych przeszczepów, również skorzystał kilka razy z tego sprzętu. 3 różne przypadki, każdy spo-

chodzące z Orkiestry. Czy nie uczciwiej byłoby powiedzieć o tym wprost darczyńcom fundacji?

► Eskalacja „antykalaczyzmu”

Profesor Ryszard Legutko tak pisał kilka lat temu: „Poza Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi nie było w historii III RP polityków, na których posypałoby się tyle obelg, inwektyw i obraźliwych insynuacji, a cała ta Niagara niewyobraźalnego grubiaństwa nabrała charakteru normy, stając się trwałym elementem politycznego folkloru dzisiejszej Polski. Politycy, dziennikarze, celebryci, elity oraz zwykli obywatele pobili w atakach na braci Kaczyńskich, a szczególnie na Jarosława po śmierci Lecha, światowy rekord brutalności, często noszącej znamiona okrucieństwa. Nie szczędzono razów rodzinie, nie szanowano najbardziej zasługujących na szacunek odczuć, drwiono ze śmierci, życzono jej, przeklinano, licytowano się w łączących wy-

TO, CO WYDARZYŁO SIĘ W SEJMIE W GRUDNIU, PRZEKROCZYŁO WSZELKIE GRANICE PRYZWOITOŚCI. DOBITNIE POKAZAŁO, ILU W SEJMOVYCH ŁAWACH ZASIADA ZADUFANYCH W SOBIE, INTERESOWNYCH LUDZI. WSZYSTKO OCZYWIŚCIE W IMIĘ „DEMOKRACJI” I WALKI O „NORMALNOŚĆ”.

tkał się z pomocą od Owsiaka i nas samych... A mogłabym jeszcze kilka innych dodać. Linczujmy Jurka za wieloletnią pomoc, bo jakiś pismak popisuje się umiejętnością dodawania, ja jednak liczę konkrety... takie które sama spotkałam i które mogę potwierdzić... życząc każdemu by nie musiał korzystać z żadnego sprzętu ratującego życie, ale też proszę o wyrozumiałość”.

„Jedyną słuszną” opinią wobec „ogromu dobra”, które staje się za sprawą Jerzego Owsiaka, wydaje się więc podobna tej: „Dobro jest bezcielesne, jednak rezultat jego istnienia, działania – widoczny dla każdego. Dwudziesty piąty raz WOŚP zjednoczyła nasze społeczeństwo. W dzisiejszych czasach to bezcenna wartość dodana tej pięknej, pożytecznej akcji. Siema!”. W szczególnie sposób owo „jednoczenie” postanowiła uczcić Joanna Schmidt, zgłaszając niedawno Jerzego Owsiaka do Pokojowej Nagrody Nobla. „WOŚP to nasze wspólne dobro, nie tylko narodowe” – napisała posłanka Nowoczesnej, dodając, że „idea WOŚP łączy ludzi ponad podziałami, a Polakom takiego zrywu bardzo teraz potrzeba”. Szkoda tylko, że w atmosferze entuzjazmu, poczucia, że uczestniczy się w czymś wielkim, nie dostrzega się cienia, jaki rzuca WOŚP i działalność Jerzego Owsiaka, na co także (z naciśkiem na to ostatnie słowo) przeznaczają się pieniądze po-

zwiskach. Antykalaczyzm odsłonił nieznane dotychczas społeczne pokłady moralnej brzydoty”.

Przez te kilka lat nic się nie zmieniło, a ostatnio nawet „antykalaczyzm”, wydaje się, uległ nasileniu, przekraczając wszelkie ramy przyzwoitości. Jarosław Kaczyński i „kalaczyzm” stali się uosobieniem wszystkiego co złe. Dzisiejsza opozycja nie widzi jednak zła w sobie. Zdaje się nie dostrzegać tego, jak sama niszczy Polskę i to, co dla Polski najważniejsze. Owszem, zawsze były w Sejmie pewne „przepychaniki”, rzadko kiedy wszyscy byli w jakiejś sprawie jednomyślni, dochodziło do różnic zdań, często wyrażanych ostro i bezpardonowo, nigdy jednak nie dochodziło do takich sytuacji, z którymi mamy do czynienia obecnie. Powiedzieć, że opozycja działa w sposób nieprzyzwoity, to rzec mało.

„O tempora, o mores!” – napisał Ciceron w pierwszej mowie przeciw Katylinie, wyrażając swe ubolewanie nad korupcją i upadkiem obyczajów w Rzymie, w I wieku przed Chrystusem. Minęły ponad 2 tysiące lat i tak samo można powiedzieć na temat sytuacji w dzisiejszej Polsce. Czy istnieje szansa, by obyczaje w niej panujące uległy zmianie? Czy możliwe jest, by przyzwoitość w odniesieniu do życia publicznego nie stała się zupełnie pustym słowem? ■



Ryszard Czarnecki

Polska jest posażną panną. Jednak...

Gdy śp. Władysław Bartoszewski, minister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska, a wcześniej z nominacji Kazimierza Marcinkiewicza przewodniczący rady nadzorczej PLL „LOT” (sic!), mówił, że Polska na arenie międzynarodowej nie jest posażną panną, nie powinniśmy w związku z tym grymasić (czytaj: twardo negocjować) – pewnie nie wiedział, jak bardzo się myli.

W latach 2005–2010 śp. prezydent RP prof. Lech Kaczyński przyjął jako podstawę funkcjonowania Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej coś, co należałoby określić jako „licytowanie ponad to, co się ma w kartach”. W tłumaczeniu: Polska prowadzi politykę zagraniczną na wyższym poziomie i z większymi ambicjami, niż to wynika z prostego iloczynu naszego potencjału demograficznego, pozycji ekonomicznej oraz położenia geopolitycznego. Polityka ta, umiejętnie prowadzona, przynosiła nam korzyści nieporównywalne ze „smutną” rządów PO-PSL w latach 2007–2015.

Pomyślałem o tym skrajnie minimalistycznym, a więc po prostu nieprawdziwym i nieadekwatnym do sytuacji naszego kraju na arenie międzynarodowej – stwierdzeniu Bartoszewskiego, ale też o pryncypiach polityki zagranicznej prezydenta Kaczyńskiego, gdy niemiecki opiniotwórca „Die Welt” napisał, po 14 miesiącach rządów PiS i 20 miesiącach prezydentury polityka PiS-u, że należy zacząć dogadywać się z Jarosławem Kaczyńskim i nie traktować władzy PiS jako czegoś chwilowego. Od satysfakcji i uznania, iż „przyszła koza do wozu”, ważniejsza jest fotografia rzeczywistości, a ta jest jednoznaczna: w ciągu kilkunastu miesięcy, mimo niełatwych bojów wewnętrznych, Polska stała się ponownie realnym liderem w Europie Środkowo-Wschodniej i szerzej: w „nowej Unii”, punktem odniesienia dla wielu państw obszaru postsowieckiego i europejskim „playmakerem”, z którym liczyć się trzeba, bo liczenie się z nim to przejaw realizmu, a nie dyplomatyczna grzeczność.

Oczywiście w polityce międzynarodowej nic nie jest dane raz na zawsze. O pozycję własnego państwa trzeba nieustająco zabiegać, wiedząc, że nasze miejsce w Unii Europejskiej, w Europie i na świecie jest wypadkową sprawności naszych rządów na zewnątrz kraju, siły państwa lub jej braku – w wymiarze właśnie wewnętrznym, pozycji gospodarczej i rozwoju ekonomicznego, sytuacji demograficznej oraz w pewnej mierze kultury. Wszystko to tworzy swoistą polityczną siłę, choć także „atrakcyjność” poszczególnych państw i bezpośrednio rzutuje na ich pozycję. Na to, czy się z danym krajem liczą, czy też nie. Uwaga: nie należy tego mylić z tzw. dobrą prasą. Można mieć świetny PR w zachodnich mediach, na ręce przywódcy danego państwa może spływać grad nagród i uznania, a jednocześnie na arenie międzynarodowej zajmować pozycję realnie słabą. To przykład czasu końca pierwszej do połowy drugiej dekady tego tysiąclecia.

Mówienie przez opozycję o izolacji międzynarodowej Polski jest intelektualnie żenujące i kupy się nie trzyma, zwłaszcza w kontekście informacji podanej nawet przez nieprzychylnie PiS-owi media, że w lutym do Polski wybiera się kanclerz Merkel, nie tylko po to, żeby porozmawiać ze swym oficjalnym partnerem w Polsce – Beata Szydło, lecz także aby mniej oficjalnie spotkać się z Jarosławem Kaczyńskim. Skądinąd dobrze to świadczy o rozeznaniu spraw polskich przez niemiecką kanclerz.

O tym, że Polska nie jest izolowana na arenie międzynarodowej, świadczą też wyniki głosowania w wyborach na wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego. W styczniu 2012 r. kandydat PO Jacek Protasiewicz otrzymał w tych wyborach 204 głosy. Niżej podpisany w takich samych wyborach na szefa PE w lipcu 2014 r. – 282 (było to wtedy, gdy PiS był jeszcze w opozycji). A teraz, w styczniu 2017 r. uzyskałem 328 głosów i szósty wynik. To jak to jest? Kandydat hołubionej wówczas rządzącej Platformy uzyskuje o 124 głosy mniej niż kandydat rzekomo izolowanego – ale też rządzącego PiS-u? Logiki w tym nie ma. ■

Maltańczycy na wojnie z papieżem

Tomasz P. Terlikowski

O zakonach rycerskich od dawna można było poczytać głównie w podręcznikach historii. Teraz to się jednak zmieniło. Zakon maltański znajduje się na czołówkach katolickich serwisów informacyjnych na całym świecie. A wszystko za sprawą sporu z papieżem Franciszkiem.

Jeszcze kilka tygodni temu o joannitach (zwanych także kawalerami maltańskimi) słyszano tylko przy okazji wielkich akcji charytatywnych czy w kontekście pomocy społecznej – 10 tys. członków tego starożytnego zakonu rycerskiego i ponad 100 tys. związanych z nimi wolontariuszy i pracowników pojawiało się przy okazji każdej niemal większej akcji pomocy medycznej czy pracy charytatywnej. I tak było zarówno w Niemczech (gdzie funkcjonuje jedna z największych organizacji narodowych), jak i w USA (tu również kawalerów i dam wciąż przybywa) czy nawet w Polsce, gdzie zakon zaczął się odradzać po wielu latach nieobecności. Mniej liczni wiedzieli, że zakon wydaje także własne znaczki pocztowe, dysponuje własnymi paszportami, a także utrzymuje stosunki dyplomatyczne z ponad 60 krajami. Teraz jednak każdy, kto interesuje się nieco bardziej sytuacją wewnątrz Kościoła, wie, że zakon zajmuje wśród organizacji religijnych specyficzną pozycję.

► Spór o wielkiego kanclerza

Wszystko zaczęło się jakiś czas temu, gdy wielki mistrz zakonu (czyli jego – by posłużyć się tytułaturą z innych zakonów – generał czy przełożony generalny) fra Matthew Festing odwołał ze stanowiska wielkiego kanclerza zakonu Albrechta von Boeselagera. Powodem było to, że von Boeselager dopuścił do dystrybuowania przez wolontariuszy zakonu w Afryce (a także wśród uchodźców przebywających w Niemczech) prezerwatyw i środków antykoncepcyjnych. Wszystko to działo się wiele lat temu, gdy wielki kanclerz był jeszcze wielkim szpitalnikiem i nadzorował pracę charytatywną joannitów. Sprawa wyszła na jaw wiele lat później, a gdy dowiedział się o niej wielki mistrz, poprosił von Boeselagera o ustąpienie. Ten odmówił. Wielki mistrz wszczął więc procedurę jego odwołania, ale nawet formalne odwołanie w niczym nie zmieniło postawy wielkiego kanclerza, który ostatecznie zwrócił się do swoich bliskich przyjaciół w Kurii Rzymskiej, którzy zaalarmowali papieża.

Zdaniem Edwarda Pentina, watykanisty amerykańskiego tygodnika „National Catholic Register”, na spór o środki antykoncepcyjne i o to, czy katolicki zakon (nawet tak specyficzny jak kawalerowie maltańscy) może je dystrybuować, nakłada się tu jeszcze narastający od lat konflikt z niemieckim stowarzyszeniem narodowym, które nie tylko jest o wiele bardziej liberalne niż obecne władze joannitów, lecz także... chętnie przekształciłoby zakon w jakiś rodzaj organizacji pozarządowej, bez istotnego komponentu religijnego. Albrecht von Boeselager od dawna uchodzi za zwolennika takiego rozwiązania, a wydaje się, że jest ono mile widziane także wśród części kurialistów.

Smutnym potwierdzeniem tej opinii może być fakt, że gdy tylko niemiecki wielki kanclerz odwołał się do Watykanu, papież Franciszek natychmiast rozpoczął działania i wysłał do zakonu pięcioosobową komisję, w której większość stanowili bliscy przyjaciele odwołanego kanclerza. I pewnie nie byłoby w tym nic skandalicznego, gdyby nie to, że już samo wysłanie tej komisji jest... złamaniem prawa międzynarodowego i zakonnego. Dlaczego? Otóż w dekrete papieskim zakon jest traktowany jak zwykłe stowarzyszenie religijne, którym – wedle prawa – nie jest. W istocie bowiem zakon maltański jest suwerennym państwem i choć wielki mistrz, tak jak wszyscy joannici, podlega władzy papieskiej, to musi ona być sprawowana wobec nich w odmienny sposób, respektujący zasady zarówno samego zakonu, jak i prawa międzynarodowego. I właśnie z tego powodu wielki mistrz nie tylko jasno podkreślił, że decyzje Kurii Rzymskiej są bezprawne, lecz także wezwał wszystkich członków zakonu, by ci – jeśli nawet rozmawiają z członkami komisji – nie podważali decyzji wielkiego mistrza o usunięciu wielkiego kanclerza Albrechta von Boeselagera. Prawnicy zakonu przypomnieli także, że Watykan i Stolica Apostolska nie mają prawa interweniować w ten sposób w życie obcego, suwerennego państwa, jakim jest – według prawa międzynarodowego – Suwerenny Zakon Kawalerów Maltańskich. W istocie oznacza to, że zapowiedzi Watykanu, iż zamierza on prowadzić dochodzenie w sprawie konfliktu wokół byłego wielkiego kanclerza na podstawie założenia, że zakon kawalerów maltańskich jest „świeckim zakonem religijnym”, są wątpliwe prawnie, bowiem w istocie zakon ten ma charakter państwa, a to oznacza, że nie można poddać go takiej procedurze.

Spór o to, czy papież może rzeczywiście wkroczyć w tej sytuacji, czy nie, choć dotyczy niewielkiego zakonu i wąskiej grupy arystokracji, ma wbrew pozorom ogromne znaczenie. W istocie jest on bowiem debatą na temat tego, czy papież może wszystko, czy też jego władza jest jakoś ograniczona. Zarówno kawalerowie maltańscy, jak i autorzy Dubia przypominają, że papież jest ograniczony nie tylko prawem kanonicznym i świeckim (o ile jest ono zgodne z prawem naturalnym), lecz także doktryną Kościoła. Zwolennicy Ojca Świętego są odmiennego zdania i podkreślają, że może on zrobić wszystko, a wierni są mu w każdej sytuacji winni posłuszeństwo.

► Odrodzeni z popiołów

Niezależnie od tego, kto wygra ten spór i jak on się zakończy, nie ulega wątpliwości, że oznacza on kolejne ważne wydarzenie w wielkiej historii mal-

tańczyków. Jeszcze nieco ponad 100 lat temu jego wielkim mistrzem był austriacki szlachcic, jako niezależnego księcia traktowali go jedynie papież i cesarz Austro-Węgier, a wszystkich członków zakonu było niespełna tysiąc. Teraz jest inaczej. Zakon ma, o czym była już mowa, ponad 10 tys. rycerzy, prowadzi działalność na całym świecie i nic nie wskazuje na to, by przyjęte przez niego zasady miały przestać obowiązywać. I choć nadal trwa dyskusja nad jego przyszłością, stawia się pytania o jego arystokratyczny charakter, a także religijne cechy, to nie ulega wątpliwości, że joannici mają się świetnie.

Początków zakonu trzeba jednak szukać o wiele wcześniej. Około roku 1048 kilku kupców z dawnej Morskiej Republiki Amalfi zaczęło budować kościół, klasztor (benedyktynski) i szpital w Jerozolimie. Głównym celem miała być pomoc pątnikom przybywającym do świętego miasta. W szpitalu posługiwali wówczas ludzie świeccy, którzy dość szybko zaczęli żyć życiem zakonnym, przy-

drogą morską i w tym celu założył kilka hospicjów, skąd wierni mogli podróżować do najświętszych miejsc chrześcijaństwa.

Błyskawiczny rozwój szpitala (i wspólnoty) sprawił, że niezbędne stało się uregulowanie jego spraw. W 1013 r. Paschalis II specjalną bullą zezwolił na ustanowienie szpitala i podlegających mu filialnych hospicjów i poddał je opiece Stolicy Apostolskiej, nadając mu prawo wolnego wyboru własnych władz, bez ingerencji innych władz kościelnych czy świeckich. Decyzje te oznaczały w istocie, że szpital stał się zakonem niepodlegającym hierarchii kościelnej. Wszyscy kawalerowie byli duchownymi, składającymi trzy zakonne śluby – ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Był to zresztą pierwszy silnie scentralizowany zakon średniowieczny, który początkowo realizował głównie zadania opieki nad pielgrzymami i prowadzenia dla nich miejsc noclegowych. Jednak gdy do zakonu zaczęli masowo wstępować rycerze, którzy brali udział w krucjatach, do zadań członków Rycerzy Szpitala Jerozolimskiego św. Jana Chrzciciela

ZAPOWIEDZI WATYKANU, IŻ ZAMIERZA ON PROWADZIĆ DOCHODZENIE W SPRAWIE KONFLIKTU WOKÓŁ BYŁEGO WIELKIEGO KANCLERZA NA PODSTAWIE ZAŁOŻENIA, ŻE ZAKON KAWALERÓW MALTAŃSKICH JEST „ŚWIECKIM ZAKONEM RELIGIJNYM”, SĄ WĄTPLIWE PRAWNIE, BOWIEM W ISTOCIE ZAKON TEN MA CHARAKTER PAŃSTWA, A TO OZNACZA, ŻE NIE MOŻNA PODDAĆ GO TAKIEJ PROCEDURZE.

mując regułę św. Augustyna. Zgodnie z najstarszą tradycją założycielem zarówno szpitala (który przyjął wezwanie św. Jana Chrzciciela, bowiem znajdował się w miejscu, w którym zgodnie z tradycją anioł zwiastował poczęcie tego wielkiego świętego), jak i związanej z nim wspólnoty był brat Gerard. Niewiele o nim wiadomo, część historyków sugeruje, że pochodził z Prowansji, inni, że z Włoch, jedno nie ulega wątpliwości – był człowiekiem o ogromnej charyzmie, który potrafił gromadzić wokół siebie braci, choć także sprawnie zarządzać majątkiem i pomocą pielgrzymom.

Szpital stał się sławny, gdy do Jerozolimy przybyli uczestnicy pierwszej krucjaty, których tak zachwycił pokorny bł. Gerard, że opowiadali o nim w całej Europie. W wielu krajach szpital św. Jana stał się jednym z najważniejszych, obok Grobu Pańskiego, symboli Ziemi Świętej. Posypały się więc donacje, szpital i funkcjonująca w nim wspólnota szybko stały się ekonomiczną potęgą. Gerard zainicjował też pielgrzymowanie do Jerozolimy

szybko dołączono jeszcze jedno: obronę z bronią w rękach pątników wędrujących przez ziemie islamskie, a z czasem – to już wyraźnie za kadencji drugiego z przełożonych Rajmunda z Puy – także obronę Ziemi Świętej i innych ziem przed poganami i muzułmanami.

Początkowo wszystko to robili bracia szpitalnicy, a także konfratry, czyli rycerze, którzy wprawdzie nie składali ślubów zakonnych, ale uczestniczyli w działaniach zakonu, a także korzystali z jego duchowych darów. Różnica między zakonnikami a konfratrami nie była ściśle określona, ale wiele wskazuje, że w pierwszym okresie to właśnie ci drudzy stanowili sporą część siły bojowej szpitalników. Militaryzacja zakonu oznaczała także, że stopniowo władzę przejmowali w nim rycerze (którzy musieli wykazać się szlachetnym pochodzeniem), a nie kapłani, a do tego zaczęto dziełić członków na dwie grupy: rycerzy i służebnych, którzy nie mieli wszystkich praw (choć nosili te same habity czy zakonne, rycerskie stroje).

► Potęga morska, upadek i odrodzenie

Upadek królestwa krzyżowców wcale nie przerwał dynamicznego rozwoju zakonu, który najpierw przeniósł się na Cypr, a później osiadł na Rodos. To tam zbudowano gigantyczną flotę, która stała się istotnym graczem podczas wielu bitew z muzułmanami. Niestety, i stamtąd rycerze zostali wyparci przez Sulejmana Wspaniałego i przez siedem lat (od 1523 r. do 1530 r.) nie posiadali własnego terytorium. Udało się to zmienić dzięki cesarzowi Karolowi V, który obdarował zakon Maltą. Tam odbudowano potęgę zakonną i to stamtąd zakonnicy ruszali choćby na słynną bitwę pod Lepanto.

W okresie maltańskim zakon składał się z trzech kategorii zakonników: rycerzy, kapelanów i braci służebnych, którzy składali śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Większość zakonnych funkcji rezerwowana była dla rycerzy, którzy legitymować się musieli szlacheckim pochodzeniem ze strony ojca i matki, do czterech pokoleń wstecz.

otworzył nowicjat, zaczął budować szpitale i rozwijać sieć komandorii zakonnych. Jego następcy (wciąż z tytułem namiestnika, bo niemożliwie było powołanie wielkiego mistrza aż do lat 70. XIX wieku) zaczęli wprowadzać do zakonu coraz więcej osób składających nie trzy, a tylko jeden ślub (posłuszeństwa), a także koncentrować się na służbie chorym, a nie na walce zbrojnej. Ten zwrot był już doskonale widoczny w trakcie I wojny światowej, gdy joannici dysponowali w różnych krajach szpitalami polowymi, pociągami sanitarnymi i innymi placówkami dla walczących żołnierzy.

Niestety, wcale nie oznaczało to końca problemów maltańczyków, którzy w latach 30. weszli w ostry konflikt ze Stolicą Apostolską. Część stronnictwa kurialnego chciała głębokiej reformy zakonu (co się zresztą do pewnego stopnia udało), ale naruszano przy tym jego suwerenność. Spór trwał przez wiele lat, a zakończyła go dopiero śmierć Piusa XII i powołanie na urząd papieski Jana XXIII. Efektem wielu lat próby sił było jednak, o paradoksie, wzmocnienie życia religijnego rycerzy maltańskich.

ZARÓWNO KAWALEROWIE MALTAŃSCY, JAK I AUTORZY DUBIA PRZYPOMINAJĄ, ŻE PAPIEŻ JEST OGRANICZONY NIE TYLKO PRAWEM KANONICZNYM I ŚWIECKIM (O ILE JEST ONO ZGODNE Z PRAWEM NATURALNYM), LECZ TAKŻE DOKTRYNĄ KOŚCIOŁA. ZWOLENNICY OJCA ŚWIĘTEGO SĄ ODMIENNEGO ZDANIA I PODKREŚLAJĄ, ŻE MOŻE ON ZROBIĆ WSZYSTKO, A WIERNI SĄ MU W KAŻDEJ SYTUACJI WINNI POSŁUSZEŃSTWO.

Z Malty rycerze zostali wypędzeni przez Napoleona w 1798 r. Cesarz Francuzów – o czym warto przypominać – wcale nie pokonał ich w otwartej wojnie. W istocie wziął on wyspę bez walki, bowiem rycerze zobowiązali się, przejmując władanie nad Maltą, że nigdy nie staną przeciwko państwom i narodom chrześcijańskim. Jakby tego było mało, część rycerzy francuskich zdecydowała się pójść z Napoleonem do Egiptu; inni woleli wybrać żebranię niż służenie państwu, które zamordowało ich króla. Zakon pogrążył się w chaosie. Na jakiś czas rosyjski przeorat wybrał na wielkiego mistrza zakonu cara Pawła. Na to wszystko nakładał się jeszcze chaos wywołany w Europie przez Napoleona. W efekcie w ciągu kilkunastu lat potężny zakon doświadczył dotkliwego upadku.

Odrodzenie przyszło dzięki papieżowi Grzegorzowi XVI, który obdarował zakon nową siedzibą w Rzymie, a także wyznaczył nowego namiestnika zakonu Carla Candide (złożył on śluby zakonne jeszcze na Malcie i był tam nawet admirałem). To właśnie ten zakonnik zreformował ponownie życie rycerzy maltańskich,

► Rycerze dziś

Obecnie zakon składa się z kilku grup zakonników i członków. Pierwszą z nich są rycerze „po sprawiedliwości”, czyli celibatariusze składający trzy śluby (choć ślub ubóstwa jest rozumiany dość specyficznie, nie oznacza bowiem konieczności wyrzeczenia się całego majątku, a nawet przypomina o potrzebie zachowania środków na utrzymanie). Drugą są rycerze „po obediencji”, czyli mężczyźni, którzy mogą wstępować i wstępują w związki małżeńskie i którzy składają jedynie ślub posłuszeństwa. Trzecia grupa zobowiązuje się jedynie do posłuszeństwa naukom Kościoła i wspierania zakonu finansowo. Sercem zakonu pozostaje obecnie pałac wielkiego mistrza w Rzymie, gdzie mieszka siedmiu rycerzy po sprawiedliwości. Inni celibatariusze (rycerzy po sprawiedliwości jest kilkudziesięciu), którzy mieszkają w Rzymie, jedynie tam pracują. To stąd zarządza się ogromną organizacją, która wciąż boryka się z różnymi problemami, choćby z brakiem spójnej, klasztornej formacji czy jednolitej duchowości. ■



W grudniu ub.r. w Stalowej Woli został podpisany największy kontrakt w historii polskiego przemysłu obronnego

Jerzy Mostowski

Polska bezpieczna w NATO

W styczniu przybyli do Polski żołnierze US Army z 3 Pancерnej Brygadowej Grupy Bojowej. To efekt ustaleń, jakie zapadły podczas ubiegłorocznego szczytu NATO w Warszawie. Obecność wojsk USA w Polsce istotnie podnosi bezpieczeństwo kraju, ale Ministerstwo Obrony Narodowej dąży też do wzmocnienia i modernizacji technicznej Sił Zbrojnych RP.

Szczyt Sojuszu Północnoatlantyckiego, który w lipcu ubiegłego roku odbył się w Warszawie, przez licznych komentatorów i publicystów został określony mianem jednego z najważniejszych wydarzeń politycznych w Polsce po 1989 r. W wielu publikacjach prasowych pojawiało się słowo o dosadnym znaczeniu: „przełom”.

► **„Każda polska rodzina musi czuć się bezpiecznie”**

Wydaje się jednak, że przełom ten dopiero na początku 2017 roku zaczął się realizować. I to na naszych oczach, ponieważ faktyczna obecność żołnierzy USA na terytorium Polski jest rzeczywistym wzmocnieniem wschodniej flanki NATO. 14 stycznia br. w Żaganiu odbyło się oficjalne powitanie żołnierzy US Army z 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej. W uroczystości uczestniczyli premier Beata Szydło oraz Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz. Obecni byli również ambasador USA w Polsce Paul Jones i zastępca dowódcy Wojsk Lądowych Armii USA w Europie gen. Timothy P. McGuire.

– To wielkie święto. Rząd dopełnił zobowiązania, które podjął w trosce o bezpieczeństwo Polaków. To wielki dzień, gdy możemy przywitać żołnierzy amerykańskich, reprezentantów najwspanialszej armii świata – powiedziała premier Beata Szydło podczas uroczystego powitania żołnierzy US Army w Żaganiu. – Obecność wojsk amerykańskich w Polsce to kolejny krok strategii wzmacniania bezpieczeństwa Polski i naszego regionu. Właśnie bezpieczeństwo

jest tym podstawowym elementem, podstawowym pragnieniem, które każdy z nas nosi w sercu. Każda polska rodzina musi czuć się bezpiecznie. Obowiązkiem polskiego państwa, władz, rządu jest to bezpieczeństwo zapewnić. Dziś uczyniliśmy w tym kierunku ogromny krok. Dla rządu Prawa i Sprawiedliwości bezpieczeństwo ojczyzny i Polaków jest kwestią nadrzędną, by wszyscy obywatele mogli czuć się bezpiecznie – dodała premier Beata Szydło.

► **Antoni Macierewicz: „razem bronimy wolności”**

W uroczystym powitaniu żołnierzy amerykańskich na polskiej ziemi wziął również udział Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz.

– Jesteście tutaj, żeby bronić wolności, niepodległości, żeby bronić pokoju w całej Europie i na świecie. Jesteśmy wam za to wdzięczni – Antoni Macierewicz zwrócił się do żołnierzy US Army. – Gdy wy jesteście tutaj, wojska polskie są w Afganistanie, wtedy, gdy wy jesteście tutaj, wojska polskie są w Kuwejcie i w Iraku. Wtedy, gdy wy jesteście tutaj, polskie okręty płyną tam, na Morze Śródziemne, żeby bronić także południowej flanki NATO przed wszelką agresją, jakąkolwiek agresją, bo razem bronimy wolności, razem bronimy niepodległości wschodniej flanki NATO i razem bronimy niepodległości Europy – powiedział Antoni Macierewicz.

– Czekaliśmy na was długo, dziesiątki lat, często mając poczucie osamotnienia. Często mając poczucie, że być może się już nigdy nie doczekamy. Często



Szczyt NATO w Warszawie okazał się wielkim sukcesem Polaków. Widzimy to już na własne oczy



Premier Beata Szydło i Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz powitali w Polsce żołnierzy US Army

mając poczucie, że jesteście jedynymi, którzy bronią cywilizacji od zagrożeń ze Wschodu. To jest dzień, w którym nadzieje się ziszcili, ale trzeba pamiętać, że były okupione ogromną pracą i wielkim wysiłkiem – dodał szef resortu obrony narodowej.

Obecność wojsk amerykańskich w Polsce będzie miała charakter trwały i rotacyjny. Oznacza to, że żołnierze USA zostaną na stałe: ludzie będą co jakiś czas się zmieniać, zaś sprzęt zostanie. A tego ostatniego US Army przywiozła do Polski dużo. W ramach operacji Atlantic Resolve Amerykanie przemieszczają na teren naszego kraju w sumie 87 czołgów „Abrams”, 18 samobieżnych haubic „Paladin”, 419 pojazdów HMMWV oraz 144 bojowe wozy piechoty „Bradley”. Wszystko na użytek 3,5 tysiąca żołnierzy US Army, którzy zostaną dyslokowani w Żaganiu, Świątoszowie, Skwierzynie oraz Bolesławcu. Żołnierzy amerykańskich z 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej wspierać będą piloci z zespołu zadaniowego Brygady Lotnictwa Bojowego, a także pododdziały zabezpieczenia logistycznego.

► **Ambasador USA do amerykańskich żołnierzy: „pokochacie to miejsce”**

Przybycie wojsk amerykańskich do Polski spotkało się z entuzjazmem mieszkańców Żagania, którzy tłumnie przybyli na zorganizowaną z tej okazji imprezę plenarową. Serdeczność mieszkańców, którzy wykazali się tradycyjną polską gościnnością, zauważyli sami Amerykanie, a ich echa znalazły wyraz w przemówieniu ambasadora USA w Polsce Paula Jonesa.

– Chciałbym podziękować mieszkańcom Żagania i Polski za ciepłe powitanie naszych żołnierzy w państwie społeczności. Będą tu na służbie, z dala od domu. To wspaniały dzień, bo witamy w Polsce amerykańskich żołnierzy – powiedział Paul Jones podczas uroczystości w Żaganiu. – Polska to ważny sojusznik Ameryki. Ameryka będzie wspólnie z Polską broniła wolności – podkreślił ambasador USA w Polsce.

– Jesteśmy dumni, że możemy służyć w Polsce, żołnierzom z „żelaznej brygady” mogę powiedzieć: pokochacie to miejsce, bo sam miałem okazję doświadczyć polskiej gościnności wobec Amerykanów, a zwłaszcza wobec żołnierzy – dodał Paul Jones.

Z kolei zastępca dowódcy Wojsk Lądowych Armii USA w Europie gen. Timothy P. McGuire w trakcie uroczystego powitania w Żaganiu podkreślił, że obecność wojsk amerykańskich na terytorium Polski jest

dowodem trwałego zobowiązania ze strony USA do obrony Polski oraz Sojuszu Północnoatlantyckiego.

– Nasza wspólna historia, wartości i poświęcenie są dowodem naszej trwałej przyjaźni. Wojskowe przy mierze między Polską i Stanami Zjednoczonymi ma 238 lat i nigdy nie było silniejsze – powiedział amerykański dowódca, nawiązując do udziału Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych w latach 1775–1783.

► #bezpiecznaPL

Z okazji powitania wojsk amerykańskich w Polsce Ministerstwo Obrony Narodowej zorganizowało ogólnokrajową akcję „Bezpieczna Polska”. 14 stycznia w kilkunastu miastach Polski odbyły się imprezy plenerowe i pikniki wojskowe. Można było podczas nich zobaczyć z bliska nowoczesny sprzęt wojskowy, porozmawiać z żołnierzami, a także posłuchać muzyki i zjeść ciepłą wojskową grochówkę.

Do organizacji imprez włączyła się także Polska Grupa Zbrojeniowa, narodowy koncern obronny i główny partner Ministerstwa Obrony Narodowej w procesie modernizacji technicznej Sił Zbrojnych. Podczas pikników w wielu miastach Polacy mogli zobaczyć najnowocześniejsze wyroby polskich zakładów przemysłu obronnego, np. armatohaubicę samobieżną „Krab”, moździerz samobieżny „Rak”, kołowy transporter opancerzony „Rosomak”. Nie brakowało też różnego rodzaju broni strzeleckiej produkowanej w legendarnej Fabryce Broni „Łucznik” – Radom oraz innych zakładach.

Wielkim zainteresowaniem cieszyła się wystawa sprzętu i uzbrojenia, które Polska Grupa Zbrojeniowa dedykuje nowo powstającym Wojskom Obrony Terytorialnej.

– Już w ubiegłym roku deklarowaliśmy, że jesteśmy gotowi zapewnić kompleksowe wyposażenie Wojskom Obrony Terytorialnej. Dzięki nadzorowi właścicielskiemu, jaki nad Polską Grupą Zbrojeniową sprawuje minister Antoni Macierewicz, współpraca pomiędzy naszymi zakładami i ministerstwem jest bardzo dobra. Wojsko wie, co możemy mu szybko dostarczyć, a my wiemy, czego żołnierze potrzebują. To bardzo dobry model współpracy, zapewniający sprawną kooperację pomiędzy wojskiem i przemysłem – mówi Arkadiusz Siwko, prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

► Polska Grupa Zbrojeniowa: wspieramy resort obrony i wojsko

Zakłady zrzeszone pod szyldem PGZ mają kompetencje potrzebne do tego, żeby zapewnić oddziałom obrony terytorialnej kompleksowe wyposażenie: od odzieży ochronnej i umundurowania, przez indywi-

dualne wyposażenie żołnierza w broń strzelecką i sprzęt łączności, aż po pojazdy i bezałogowe statki powietrzne, tzw. drony.

Udział spółek przemysłu obronnego w akcji „Bezpieczna Polska” nie miał jednak charakteru jedynie wizerunkowego. Polska Grupa Zbrojeniowa jest strategicznym elementem systemu bezpieczeństwa państwa, a jej podstawowym zadaniem jest zabezpieczenie dostaw uzbrojenia i sprzętu dla polskiej armii w ramach Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. Na przestrzeni ubiegłego roku widoczne były pozytywne efekty procesu konsolidacji polskiej zbrojeniówki. To przede wszystkim kontrakty na zakup sprzętu, które zostały skierowane do polskich zakładów.

– Wśród nich miejsce szczególne zajmuje umowa podpisana przez jedną z naszych wiodących spółek, Hutę Stalowa Wola S.A. Mam na myśli kontrakt dotyczący armatohaubic „Krab”. To największy kontrakt w historii polskiego przemysłu obronnego. Jego wartość to ponad 4,5 miliarda złotych – mówi Arkadiusz Siwko, szef PGZ. – Poza tym podpisaliśmy inne, równie ważne umowy, np. na dostawę przeciwlotniczych przenośnych zestawów rakietowych „Piorun” czy systemu obrony przeciwpowietrznej bardzo bliskiego zasięgu „Pilica”. Poza tym kontynuujemy budowę pozycji polskiego przemysłu obronnego na rynku międzynarodowym. I nasze wysiłki w tym zakresie przynoszą pierwsze efekty. Za jeden z większych sukcesów negocjacyjnych uważam podpisanie listu intencyjnego z amerykańskim koncernem Raytheon, który zakłada, że do polskiego przemysłu obronnego trafi 50 proc. produkcji systemu „Patriot”, jeżeli polski rząd wybierze go w programie „Wisła” – dodaje prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej Arkadiusz Siwko.

Rozwój polskiego przemysłu obronnego to nie tylko kwestia bezpieczeństwa. To sektor o znaczeniu strategicznym także z punktu widzenia gospodarczego. Aspekt ten został ujęty w „Planie na rzecz odpowiedzialnego rozwoju” wicepremiera Mateusza Morawieckiego, gdzie podkreśla się, że odpowiednio zarządzany przemysł zbrojeniowy może znów stać się jednym z głównych „kół zamachowych” polskiej gospodarki. Rodzima zbrojeniówka to także wiele stabilnych miejsc pracy i zrównoważony rozwój Polski, ponieważ fabryki przemysłu obronnego są rozsiane po całym kraju, często daleko od głównych metropolii. Już teraz Polska Grupa Zbrojeniowa zatrudnia ok. 20 tysięcy specjalistów w różnych dziedzinach, a w związku z realizacją zamówień w ramach planu modernizacji wojska potrzeba będzie znacznie więcej rąk do pracy. Rok 2017 przyniesie kolejne zamówienia, które jeszcze bardziej rozpędzą fabryki PGZ. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję we współpracy z PGZ S.A.



Bł. Czesław Józwiak



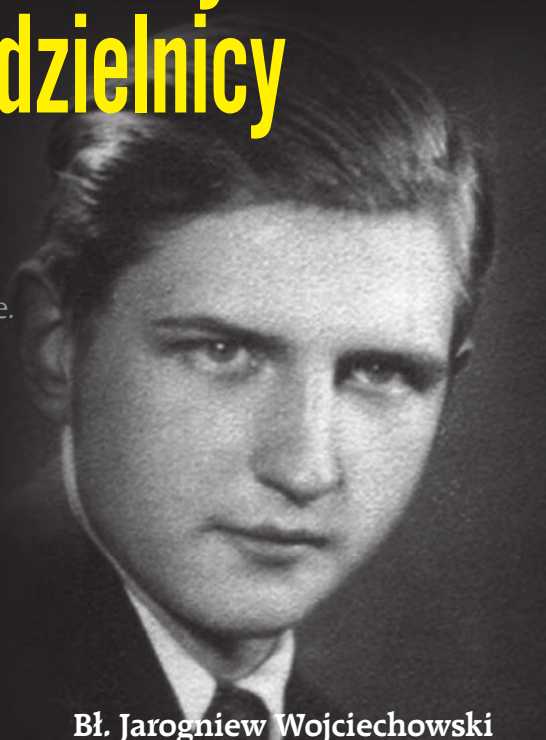
Bł. Edward Kaźmierski

Jak Jan Paweł II beatyfikował narodowców z dzielnicy



Piotr Lisiewicz

„7 marca znowu urwałem się z lekcji, a dziś nie poszedłem do szkoły w ogóle. Strach pomyśleć, co będzie jutro! Matka mi usprawiedliwienia nie da. Jadę prawie na samych »trójkach«. Lepszych stopni mniej niż rodzyneków w świątecznym placku. A przecież głupi nie jestem. Może tylko trochę za leniwy. Janek Bosko był inny... No, tyle o szkole” – pisał w swoim dzienniczku Eda Kaźmierski. Dziś – błogosławiony Edward Kaźmierski.



Bł. Jarogniew Wojciechowski



Bł. Edward Klinik



Bł. Franciszek Kęsy

fot. arch.

Poznańska Piątka” pojawiła się w oprawie przygotowanej przez kibiców w czasie styczniowej Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę. „My, podobnie jak nasi patroni, żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych, błogosławiona Poznańska Piątka męczenników II wojny światowej, nie chcemy Polski bez Boga i religii! Chcemy chrześcijańskiej Europy, bo tylko odwołanie się do fundamentalnych wartości, które kształtowały tożsamość Starego Kontynentu, może pomóc jej dzisiaj obronić się przed unicestwieniem” – mówił w kazaniu salezjanin ks. Jarosław Wąsowicz SDB.

W tym roku odbędą się obchody upamiętniające bohaterską śmierć pięciu młodych poznańców, którzy w konspiracji walczyli z okupantem. Trudno o większą, choć mimowolną, pochwałę Polaków jako narodu niż uzasadnienie niemieckiego sądu w sprawie Piątki: „Należy orzec takie kary, aby ich działanie odstrasżające było jak największe. W przypadku Polaków osiągnięcie tego celu możliwe jest jedynie poprzez orzeczenie kary śmierci”.

► Narodowa Organizacja Bojowa

Cała „Poznańska Piątka” uczyła się w poznańskim Oratorium Salezjańskim, a potem działała w Narodowej Organizacji Bojowej, stworzonej w 1939 r. przez przedwojennych działaczy silnego w Poznaniu Stronnictwa Narodowego. Zgodnie ze swoim statutem NOB była jednolitą organizacją o charakterze wojskowym, politycznym i społecznym, opartą na idei narodowej, wywodzącą się z ruchu wszechpolskiego. Za swój cel NOB uznawała walkę o wyzwolenie Polski oraz samoobronę społeczeństwa, jego wychowanie według idei narodowej i stworzenie Wielkiej Polski Narodowo-Katolickiej.

Młodzi chłopcy zaprzysiężeni przez organizację zajmowali się kolportażem podziemnej polskiej prasy, w tym pisma „Polska Narodowa”, oraz działalnością wywiadowczą. Sporządzali listy obiektów wojskowych, w których stacjonowali Niemcy, pomagali robić spisy volksdeutscheów, zbierać środki medyczne.

Podczas swojej pielgrzymki do Polski w 1999 r. Jan Paweł II beatyfikował ich wśród 108 męczenników zamordowanych w czasie II wojny światowej. „Są oni świadectwem zwycięstwa Chrystusa – darem przywracającym nadzieję... Gdy bowiem dokonujemy tego uroczystego aktu, niejako odżywa w nas wiara, że bez względu na okoliczności, we wszystkim możemy odnieść pełne zwycięstwo dzięki Temu, który nas umiłował”.

Ale przez lata o „Poznańskiej Piątce” nie było głośno, bo ich droga do bohaterstwa zupełnie nie pasowała do wzorców propagowanych w mediach III RP.

► Łobuz, mechanik, chłopiec na posyłki

To nie są łatwe życiorysy, pasujące do pouczających, moralizatorskich kazań dla młodzieży. Są za to prawdziwe i pokazują, że droga do świętości dla „zwykłych ludzi” jest czymś osiągalnym i mniej najeżonym pułapkami niż w przypadku ważnych i bogatych, których czeka sztuka przechodzenia przez biblijne „ucho igielne”.

Cytowany Eda Kaźmierski to chyba najbardziej barwna z owych postaci, po której pozostał cytowany już dzienniczek. To opowieść przywodząca na myśl – chyba nie ja jeden mam to skojarzenie – hip-hopowe opowieści o dzieciakach z dzielnicy.

Urodził się krótko po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i po zwycięskim powstaniu wielkopolskim w 1919 r. Gdy miał cztery latka, zmarł jego ojciec. Matka, ciężko pracując, utrzymywała rodzinę – miał trzy siostry, a on sam w wieku 17 lat przebrał naukę, żeby zarabiać jakiegokolwiek pieniądze. Biegał jako chłopiec na posyłki, pracował w sklepie, a potem jako pomocnik w warsztacie samochodowym.

Trafił do Oratorium księży salezjanów, którzy zajęli się jego wychowaniem, w tym także religijnym. Eda był chłopakiem o wyjątkowej wrażliwości, co widać choćby po jego podejściu do chorej siostry Urszuli, ale jego zapiski z tego czasu to normalne wspomnienia nastolatka.

Ważna jest gra w piłkę nożną, a piesza pielgrzymka do Częstochowy to okazja, by odnotować imiona wszystkich poznanych przy tej okazji dziewczyn. Gdzie indziej pisze: „Widać, że zbliża się wiosna, bo moje serce zaczyna na całego wariować. Dotąd królowała w nim niepodzielnie Henia, a teraz zakradła się do niego Loda. Spokoju mi nie daje myśl o dziewczynkach. Czuję się tak, jakbym stał przed oknem wystawowym ze słodyczami. Wszystkie nęcą, a ja nie wiem, co wybrać. Mam ochotę wyciągnąć rękę po wszystkie. Henia mi się podoba, Loda mi się podoba, pewna Żydóweczka, którą niedawno poznałem – też mi się podoba, ale żadnej nie mam odwagi tego powiedzieć. Na razie wypowiadałam swoje uczucia grą na skrzypcach. Na ostatniej lekcji ks. Piechura pochwalił mnie za postępy. Najgorzej, że na Heni i Łodzie się nie kończy. 21 maja, w czwartek, poszedłem na 6.00. na mszę, a potem pojechałem z Helą, Kaziem i Szypami do Gądek. Tam, w lesie, w czasie zabawy w »walkę na-

rodów«, poznałem Zosię – uroczą blondynkę o niebieskich oczach”.

1 kwietnia 1936 r. przyszedł błogosławiony opisuje zabawną historyjkę: „Ni stąd ni zowąd przyszło nam do głowy, żeby zadzwonić do Wolniewiczów i poprosić do telefonu Henię. Telefonował Marych. Zapiszczał do słuchawki, przedstawił się jako koleżanka Heni i poprosił ją do telefonu. Powiedziano mu, że Henia śpi i odłożono słuchawkę. Nie zrezygnowaliśmy jednak. Zadzwoniliśmy z następnego aparatu i poprosiliśmy do telefonu panią Wolniewiczową. Telefon odebrała służąca i powiedziała, że pani śpi. My na to, że mamy bardzo ważną, osobistą sprawę i prosimy, żeby panią zbudziła. Trochę targowaliśmy się, ale w końcu służąca ustąpiła. Po chwili usłyszeliśmy zaspiany głos pani Wolniewiczowej. Spytała: kto mówi? Wziąłem słuchawkę od Marycha i powiedziałem, że mówię jej przyszyły zięć i uprzejmie proszę o rękę jednej z jej córek. »Łobuzu« – krzyknęła i odrzuciła słuchawkę. Gdyby głos mógł zabijać, to pod aparatem leżałyby trzy trupy. Zadowoleni z kawału, poszliśmy w stronę swoich domów”.

No i kolejne skojarzenie z raperem z dzielnicy – chłopak wykazuje zaskakujące zdolności muzyczne, co zauważają przełożeni w Oratorium i uczą go gry na fortepianie i skrzypcach.

► Grali w piłkę i czytali Trylogię

Życiorysy pozostałych były podobne. Ojciec najmłodszego z „Piątki”, błogosławionego Jarogniewa Wojciechowskiego, rocznik 1922, za często zaglądał do kieliszka i zostawił rodzinę, gdy chłopiec miał 11 lat. Potem padł ofiarą niemieckich wywózek.

Matka samotnie, „bohatersko” – jak wspominać będzie syn – wychowywała dzieci. Była nauczycielką muzyki, słabego zdrowia, za to wielkiej wrażliwości. To ona zaszczepiła w nim wiarę i patriotyzm. I znowu – po roku nauki w gimnazjum chłopaka czekało szukanie jakiegokolwiek pracy, by pomóc mamie.

Błogosławiony Czesław Józwiak też prymusem nie był (co zdradzają „pechowo” ocalałe świadectwa szkolne), za to wykazywał duże zdolności przywódcze i uważany był za nieformalnego lidera „Piątki”. Syn przedwojennego policjanta organizował zawody sportowe, czytanie Trylogii Henryka Sienkiewicza, działał w harcerstwie. Przed wyjazdami na kolonie matki kazały pozostałym chłopcom „słuchać się Czesia”.

Bardziej widoczne zadatki na błogosławionego przejawiał Franciszek Kęsy, rocznik 1920, syn pracownika Elektrowni Miejskiej. Jego matka zajmowała się wychowaniem pięciorga dzieci – siostry i trzech braci. Służył codziennie do Mszy, przystępo-

wał do Komunii, wieczorami odmawiał różaniec i mówił, że chce zostać w przyszłości salezjaninem. Ale choroba przeszkodziła mu w planach wstąpienia do Seminarium w Łądzie.

No i jeszcze piąty – Edward Klinik, syn ślusarza, jego matka również zajmowała się domem. Raczej nieśmiały, do poprzedniej szkoły nie chciał wracać po świętach Bożego Narodzenia, „rozkreślił się” na dobre w Oratorium.

► Chronić od kina przewrotnego

Małgorzata Tadrzak-Mazurek w szkicu poświęconym „Poznańskiej Piątce” tak pisała do współczesnego czytelnika o klimacie, w którym chłopcy się wychowywali: „Chłopcy urodzili się w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy Polska po ponad 123 latach niewoli odradzała się do życia. Kiedy patriotyzm wysysało się z mlekiem matki i nie kojarzyło z nacjonalizmem, a poświęcenie dla Polski nie było niczym nadzwyczajnym. Kiedy najwyższymi wartościami był Bóg, honor i ojczyzna. Kiedy przyjaźnie traktowane były poważnie, przysięgi dotrzymywane, a szacunek dla starszych był na porządku dziennym. Wreszcie, kiedy nie było telewizji, radia, komputerów, telefonów komórkowych, Internetu, a ludzie chętnie spędzali ze sobą czas”.

Oratorium salezjańskie to nietypowy rodzaj placówki, który według jego założyciela świętego Jana Bosko opierać miał się na czterech elementach – domu, szkole, kościele i boisku. Do charyzmatu salezjanów należy właśnie praca z młodzieżą mniej zamożną i często także „trudną”. Jak ona przebiegała, opisywał Eda Kaźmierski w swoim dzienniczku: „Właściwie to mam dwa domy – jeden na Łąkowej, drugi przy Wronieckiej 9. Nawet trudno powiedzieć, w którym spędzam więcej czasu. Dziś, na przykład, byłem na Wronieckiej trzy razy: przed południem, po południu u spowiedzi i wieczorem na zebraniu Towarzystwa św. Jana Bosko”.

Ksiądz Augustyn Piechura SDB, ówczesny wychowawca w Oratorium, wspominał: „Co tych chłopców do nas przyciągało, to miłość. Okazywaliśmy im wiele serca. [...] Druga, lecz akcydentalna praca, a zarazem mocno pociągająca do oratorium, to gry, akademijki, wycieczki, przedstawienia, zwłaszcza jasełka. Na gry nie szczędziło się pieniędzy. Kupiłem nawet aparat fotograficzny z całym agregatem, nie po to, by siebie ubawić i rozerwać, bo ta praca zajmowała wiele czasu i niszczyła zdrowie, lecz korzystam z tego, by chłopaków przyciągnąć do nas, ubawić i chronić od ulicy, kina przewrotnego i zgorzenia. Jak rodzice oceniali tę pracę i jak byli wdzięczni, to chyba Ksiądz jeszcze pamięta”.

Rafał Sierchuła, historyk z poznańskiego IPN-u, tak mówił w „Przewodniku Katolickim” o związkach pomiędzy owym systemem wychowawczym a późniejszym bohaterstwem piątki chłopaków: „Chłopcy z Wronieckiej są znakomitym przykładem edukacyjnym, pozwalającym w taki najbardziej naturalny sposób pokazać współczesnym młodym ludziom postawy i wzory godne naśladowania. Można także powiedzieć, że beatyfikacja i dzisiejszy kult salezjańskiej »Piątki« stanowią pewnego rodzaju »promocję« drugowojennej historii Wielkopolski”.

► „Sęp”, „Orkan” i „Żak”

Co wiemy o działalności konspiracyjnej „Poznańskiej Piątki”? Jak pisze salezjański historyk, ks. Jarosław Wąsowicz SDB, pod koniec 1939 r. przywódcy Narodowej Organizacji Bojowej (NOB) zaczęli organizować w stolicy Wielkopolski konspirację harcerską związaną z nurtem narodowym. „Tym zadaniem na terenie Obwodu Śródmieście zajął się phm. Lech Masłowski »Jerzy«. On też zaprzysiął do organizacji Czesława Józwiaka, który przyjął pseudonim »Piotr«, »Orwid« – czytamy.

To właśnie Czesław, już przed wojną zdradzający talenty przywódcze, z ramienia NOB-u organizował Harcerstwo Polskie. Po złożeniu przysięgi został mianowany kierownikiem sekcji organizacyjnej, której zadaniem było rozpoznawanie wywiadowcze obiektów Wehrmachtu w dzielnicy Śródmieście. Józwiak zajmował się także kolportażem gazetki „Polska Narodowa”. Pod koniec 1939 r. włączył do działalności konspiracyjnej swoich przyjaciół z Oratorium Salezjańskiego. W NOB-ie przyjęli oni następujące pseudonimy: Franciszek Kęsy „Sęp”, Jarogniew Wojciechowski „Ryszard”, Edward Kaźmierski „Orkan”, Edward Klinik „Żak”.

Według cytowanego już historyka Rafała Sierchuły, „Poznańska Piątka” 2 stycznia 1940 r. uczestniczyła prawdopodobnie w uroczystej zbiórce zorganizowanej przez Lecha Masłowskiego w pierwszą rocznicę śmierci Romana Dmowskiego. Z kolei w lutym 1940 r. grupa „Jerzego” przeprowadziła akcję prowokacyjną przeciwko pięciu osiedleńcom, tzw. Niemcom Bałtyckim, polegającą na wrzuceniu do ich mieszkań ulotek antynazistowskich z jednocześnie powiadomieniem gestapo.

► Różaniec wyciągnięty z kosza na śmieci

Do aresztowania „Piątki”, podobnie jak około 300 innych konspiratorów, doszło w wyniku zdrady Zenona Ciemniejewskiego. 21 września

1940 r. pierwszego zatrzymano Edwarda Klinika, pozostałych aresztowano dwa dni później. Przechowywano ich w poznańskiej siedzibie gestapo, tzw. Domu Żołnierza. Tu rozpoczęły się przesłuchiwanie i tortury.

„Najbardziej znęcano się nad Czesławem Józwiakiem, gdyż podejrzewano go o przewożenie w grupie” – pisze ks. Jarosław Wąsowicz. O swoim pierwszym przesłuchaniu Edward Klinik napisał: „Poniedziałek – pierwsze śledztwo – jeden z najstraszniejszych dni w moim życiu, którego nigdy nie zapomnę”.

Mimo tortur chłopcy nie przyznali się do działalności w Narodowej Organizacji Bojowej. Zostali odwiezieni do osławionego Fortu VII w Poznaniu. „Według dokumentów wykorzystanych w procesie beatyfikacyjnym, zaraz po przywiezieniu tu chłopców dokonano ich rewizji, podczas której w kieszeniach odnaleziono różańce. Niemieccy strażnicy wyrzucili je do kosza na śmieci, skąd korzystając z chwili nieuwagi oratorianie szybko je wyciągnęli i zdołali skutecznie schować. Różańce te towarzyszyły im na kolejnych etapach męczeńskiej drogi” – pisze ks. Jarosław Wąsowicz.

Całą grupę po rewizji osadzono w celi numer 58. Rafał Sierchuła, który badał losy żołnierzy NOB, tak mówił o stosowanych wobec nich metodach: „to nie była żadna wysublimowana robota policyjna w stylu podchwytliwych pytań i konfrontacji. Najprostszym i najszybszym sposobem wyciągania informacji było bicie – ciężkie bicie, nierzadko rzeczywiście do nieprzytomności. Przesłuchiwanego przewożono z Fortu VII do okrytego ponurą sławą poznańskiego Domu Żołnierza, gdzie przywiązywano go do specjalnego koźła i bito niemilosiernie pejcami. Potem zabierano go na przesłuchanie, gdzie odbywało się dopytywanie ze strony prowadzącego sprawę. Jeżeli przesłuchiwany nie chciał mówić, to wracał na dół i wszystko zaczynało się od początku. Takie śledztwo trwało kilka tygodni”.

Z więziennych grypsów wynika, że siły dodawały im wówczas wspólna modlitwa, śpiewanie pieśni religijnych i patriotycznych. Czesław Józwiak przekonywał przyjaciół, że „te cierpienia tak samo są owocne dla przyszłości naszej Ojczyzny, jak walka żołnierza na froncie”.

► Oskarżenia o zdradę... III Rzeszy

Z Fortu VII przetransportowano chłopców do więzienia na ul. Młyńskiej w Poznaniu. Eda Kaźmierski, chłopak „z dzielnicy”, potrafił pozytywnie nastawić do nich także więźniów kryminalnych. „Na Młyńskiej, po krótkim pobycie razem z kolega-

mi, wtrącono mnie do celi, gdzie przebywało kilku pospolitych przestępców. Patrzyli na mnie ze zdziwieniem, gdy klękałem do pacierza czy sięgałem po różaniec. Ale parę razy zaśpiewałem im coś wesolego i nawet mnie polubili” – wspominał. 16 listopada 1940 r. przewieziono ich do Wronek. „Tu staliśmy się »prawdziwymi« więźniami. Ogolono nam bowiem głowy i dano więzienne pasiaki” – pisał Eda.

Postawiono im zarzut zdrady stanu i odtąd stali się więźniami politycznymi. Oficjalnie zdradzili... III Rzeszę. „Mimo że jako Polacy byli obywatelami drugiej kategorii w Kraju Warty, to potraktowano ich jako zdrajców kraju, w którym mieszkali. To musiało być dla nich wstrząsające – bo jak można walczyć o Polskę, a z drugiej strony »zdradzić« okupanta?” – wyjaśniał Rafał Sierchuła w „Przewodniku Katolickim”.

W kwietniu 1942 r. przetransportowano ich do więzień w Berlinie, gdzie grupę rozdzielono. Czterech trafiło do więzienia dla Polaków w Berlinie Neukölln, gdzie zajmowali się lepieniem torebek, kręceniem sznurka czy sortowaniem cebuli. Oddzielony od nich Jarogniew Wojciechowski został umieszczony w Berlinie Spandau. W niemieckich więzieniach spędzili niemal rok.

Eda pisał: „Więzienie w berlińskiej dzielnicy Neukölln okazało się dość ludzkie, jeśli o więzieniu można tak powiedzieć. Siedziałem w jednej celi z Frąsiem. Dzień zaczynaliśmy od pacierza, podczas pracy (klejenie torebek) śpiewaliśmy »godzinki«, a przed snem »Wszystkie nasze dzienne sprawy...«”.

W grypsie do rodziny dodał: „Ja wprowadzie nie mam brata, ale to co łączy mnie z Frąsiem, to uczucie nie może być mniejsze od uczucia, które żywią do siebie dwaj kochający się bracia. Kiedyś lubiliśmy się tylko, lecz teraz łączy nas przyjaźń [...]. Nie ma drugiego takiego samego. Gdy przyjdą na mnie chwile smutku, no wytrwale mnie pociesza i rozśmiesza, tak jak tylko on umie. Jednym słowem jesteśmy sobie braćmi”.

W więzieniu uświadomili sobie, jak wielka jest siła wiary i zaszczerpionych im w Oratorium salezjańskim wartości. Eda pisał: „Jakaż to siła, ta nasza wiara. Są także tacy tutaj, którzy w nic nie wierzą. Jaka dla nich straszna ta niewola. Słysząc tam tylko przekleństwa i złorzeczenia. A u tych, co mają silną wiarę, spokój, a zamiast przekleństw sama radość. Duch mój jest silny i coraz silniejszy się staje. Nic go już nie zalamie, bo go Bóg umocnił. Jestem na wszystko przygotowany, bo wiem, że wszystkim Bóg kieruje, dlatego we wszystkim widzę niepojęte myśli Boże”.

► „Ludzi nie przeceniaj zbyt w dobrym ani w złym”

W maju 1942 r. trafili do więzienia o zastrzyżonym rygorze w Zwickau w Saksonii. Więźniowie siedzieli tu w kilkudziesięcioosobowych celach. Zmuszano ich do ciężkiej pracy, zaprzęgano do... wozów.

31 lipca 1942 r. Wyższy Sąd Krajowy w Poznaniu na sesji wyjazdowej w Zwickau skazał ich „z powodu przygotowań do zdrady stanu” na karę śmierci. Uznano ich też za winnych działalności w Stronnictwie Narodowym, które zmierza do obalenia III Rzeszy i powołania niepodległego państwa polskiego.

18 sierpnia 1942 r. zostali przewiezieni ze Zwickau do Drezna. Tu byli więzieni w gmachu Sądu Krajowego przy Münchner Platz. Wykonanie wyroku śmierci wyznaczono na 24 sierpnia 1942 r.

Ojciec Gabriel Bartoszewski w tekście poświęconym „Piątce” w „Ateneum Kapłańskim” napisał: „A cóż powiedzieć o postawie pięciu młodych wychowanków salezjańskich z Poznania w wieku 20–22 lata, którzy przed zgilotynowaniem w Dreźnie wspólnie modlili się w celi więziennej. Ostrzegający ich starszy więzień pytał: »Czy wiecie, co was czeka?« Usłyszał odpowiedź: »O tym, co nas czeka, wie tylko Bóg. Jemu ufamy. Cokolwiek się stanie, będzie to Jego wola«. Czy wobec takiej postawy można przejść obojętnie?”.

Ocalały ostatnie listy, które napisali do swoich najbliższych. Czesław Józwiak, przywódca grupy, dał świadectwo nie tylko wiary, lecz także głębi łączącej ich przyjaźni: „Przed chwilą wypowiadałem się i zaraz przyjmę Komunię świętą do swego serca. Ksiądz będzie mi błogosławił przy egzekucji. Poza tym mamy tę wielką radość, że możemy się przed śmiercią wszyscy widzieć. Wszyscy koledzy jesteśmy w jednej celi. Jest 7.45 wieczorem, o godz. 8.30, tj. pół do dziewiątej zejść z tego świata. Proszę Was tylko, nie płaczcie, nie rozpaczajcie, nie przejmujcie się. Bóg tak chciał”.

Franciszek Kęsy, ten który chciał zostać salezjaninem, pisał: „Nie żałuję, że w tak młodym wieku schodzę z tego świata. Teraz jestem w stanie łaski, a nie wiem, czy później byłbym wiernym moim przyrzeczeniom Bogu oddanym. Kochani Rodzice i Rodzeństwo, bardzo Was przepraszam raz jeszcze z całego serca za wszystko złe i żałuję za wszystko z całego serca, przebaczone mi, idę do Nieba”.

Edward Klinik, ten, który nie chciał wracać do szkoły, napisał: „Moi kochani, dziwna jest wola

Jezusa, że zabiera mnie już w tak młodym wieku do siebie, lecz jakże szczęśliwa będzie dla mnie ta chwila, w której będę miał opuścić tę Ziemię... Do ostatniej chwili Maryja była mi Matką. Teraz, kiedy Ty, Mamuńciu, nie będziesz mnie miała, weź Jezusa Matko, oto Syn Twój, Kochana Mamuńciu, dziękuję Tobie serdecznie za ostatnie błogosławieństwo i modlitwy. Poczłówkę odebrałem”.

Jarogniew Wojciechowski, syn nauczycielki muzyki, pisał do siostry: „Jestem pewny, że będziesz się raczej ze mną cieszyć, a nie rozpaczając, bo dostępuję nadzwyczajnej łaski Bożej i odchodzę poznawszy gruntownie moją przeszłość, bez najmniejszego żalu. Świat, życie i ludzi również poznałem i dlatego dzisiaj, Kochana, najmilsza Liduś, bądź pewna, że Ty sama na tej ziemi nie zostajesz. Ja i Mamusia jesteśmy zawsze przy Tobie. O jedno Cię proszę, uczucia w każdej chwili Twego życia powierzaj tylko Jezusowi i Maryi, bo u Nich znajdziesz ukojenie. Ludzi nie przeceniaj zbyt w dobrym ani w złym”.

Edward Kaźmierski, ten co wagarował i nie mógł zdecydować się, którą dziewczynę kocha, napisał: „Dziękuję Tobie, Mamusiu, za błogosławieństwo. Bóg tak chce.... Przepraszam Was za wszystko z całego serca. Ciebie, kochana Mamusiu i Was, kochane Siostry i Szwagrze. Przepraszam wszystkich, którym zawiniłem, i proszę pokornie o przebaczenie... Błagam Was, tylko nie płaczcie, bo każdy Wasz płacz nic mi nie pomoże; raczej do Boga módlcie się o spokój mej duszy... Żegnam wszystkich krewnych, znajomych, kolegów – do zobaczenia w niebie – i proszę o modlitwę”.

► Odeszli jako święci

O godz. 19.45 zamknięto ich wszystkich razem w celi śmierci, skąd po kolei wyprowadzano na zgilotynowanie. „Godzinę później skazańcy zain-tonowali religijną pieśń, co wywołała furję strażników. O towarzyszenie przy egzekucji poprosili księdza kapelana. Na życzenie chłopców trzymał wysoko w górę obłacki krzyż, chcieli, aby to była ostatnia rzecz, jaką w życiu widzieli. Na egzekucję szli w milczeniu. Wszyscy zostali pochowani w zbiorowych grobach na nowym cmentarzu katolickim w Dreźnie na Bremerstrasse 20” – pisze ks. Jarosław Wąsowicz.

Kapelan więzienia oblat o. Franciszek Bänsch, który przygotował ich na śmierć i asystował podczas wykonania egzekucji, powiedział po niej „Odeszli jak święci”.

Piotr Lisiewicz



Dlaczego lawina nie ruszyła

Nie wiemy, kto był autorem scenariusza puczu, który przeprowadzony miał być w Polsce na przełomie 2016 i 2017 r. Możemy tylko analizować fakty i wysuwać hipotezy.

► Bezpieka podstarzała

Moja jest taka, że trzęsąca III RP od 28 lat bezpieczeństwa starzeje się, a wraz nią zestarzeli się ci, którzy za kulisami pociągają za sznurki. W sumie jest to zjawisko nienowe, a nawet dość typowe: starzy nie rozumieją dzisiejszych mediów, zmian mentalnościowych zachodzących w młodszych rocznikach, pojawiania się licznych nowych elementów w dotychczasowym układzie sił. Jednocześnie starzy nie chcą oddać choćby części władzy młodszemu, którzy lepiej rozumieją to co nowe.

To sytuacja znana z amerykańskich seriali, gdzie siwiejący boss potężnego koncernu walczy z młodymi wilkami. Ów szef przegrywa z reguły wtedy, gdy nie potrafi wychować lojalnych wobec siebie i do tego zdolnych i kompetentnych młodszych współpracowników. Po sobie zostawia tylko pustkę.

Gdyby przyjąć, że mafijny ubekistan to kierownictwo całkiem sporego koncernu zarządzającego postkomunistyczną prowincją na Wisłę, to taki kryzys wydaje się wielce prawdopodobny. Bo to nie amerykański koncern z tradycją sięgającą XIX wieku, a zarząd mafii w bantustanie.

Jeśli intuicja mnie nie myli, to w przypadku puczu rozpoczętego w grudniu 2016 r. starzy bossowie ubekistanu okazali się zbyt stetryczali i nerwowi, a ich młodzi współpracownicy za słabi albo/ oraz za głupi, by właściwie ocenić stan sił własnych i wroga.

Wersja, zgodnie z którą pewną rolę odegrał tu czynnik nerwowości, wydaje się prawdopodobna o tyle, że bossowie mieli czym się zdenerwować. Wizja 70-letniego pułkownika WSW lub SB, który po obniżeniu bezpieczniackich emerytur trzaska pięścią w stół i krzyczy: „skasować ich teraz albo nigdy!”, nie wydaje się niemożliwa.

► Nerwowość Moskwy

Ten element nerwowości mógł się wkręcić także w działanie moskiewskich patronów ubekistanu. Manifestacje KOD miały zniszczyć wizerunek Polski na Zachodzie tak mocno, by zablokować szczyt NATO w Warszawie i przybycie do Polski amerykańskich wojsk. Tymczasem sytuacja w Europie mocno się skomplikowała i nikt nie miał czasu zająć się Polską. A i na polskiej wewnętrznej scenie

Wojciech Diduszko pada na warszawski bruk. W tle idzie manifestant z białoczerwonym sztandarem. Do Diduszki podbiega dziewczyna i niczym bohaterska sanitariuszka z powstania warszawskiego bada, czy jeszcze bije serce ofiary siepacza wykonującego rozkaz Jarosława Kaczyńskiego. A potem rusza lawina, która obali rządy PiS. Tak miało być, ale nie wyszło. Joanna Szczepkowska twierdziła, iż 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm. Analogicznie 16 grudnia 2016 r. padł mit wszechwładzy warszawskich agencji od PR-u. Nic już nie będzie tak, jak było.

Źródło: Filip Bajerowski/Gazeta Polska

KOD okazał się niespodziewanie słaby, przede wszystkim zaś pozbawiony młodych sił witalnych.

Twierdzę, że wbrew krzywdzącemu stereotypowi działalność rosyjskiej agentury wpływu jest bardzo racjonalna i obliczona na lata, a nawet dziesięciolecia. Nie kieruje nią żaden pijany Wania, a machina precyzyjna niczym szwajcarski zegarek.

Ale jeśli kiedyś ktoś po moskiewskiej stronie mógł mieć skłonność do uderzenia pięścią w stół, to właśnie teraz. Do tego owi moskiewscy patroni przyzwyczaili się po 10 kwietnia 2010 r., że są tu bardzo silni i wchodzi wszędzie jak w masło. Dlatego nawet jeśli jakiś ważny pułkownik GRU od Priwislanskiego Kraju nie uderzył pięścią, to mógł dać się przekonać, że jego polski podwykonawca działając impulsywnie, ma rację.

► Wojsko i policja, czyli stare przyzwyczajenia

W czasie puczu można było odnieść wrażenie, że tamta strona poszukuje źródeł własnej siły tam, gdzie była kiedyś, a dziś został z niej tylko żaloszny kikut. Jakby nie zauważyła, że wojsko to już raczej awansowani przez ministra Macierewicza 30-, 40-latkowie, a nie trepy z LWP. Że w młodsze roczniki w policji to raczej funkcjonariusze filmujący pracowników TVN grzebiących w śmieciach pod ich komisarzatem w czasie Świątowych Dni Młodzieży, niż stara bezpieka i MO.

Był w czasie tych wydarzeń moment niepewności po naszej stronie. Patrząc na wydarzenia w Sejmie i pod nim, widzieliśmy, że oni nie mają amunicji. Ale z drugiej strony błąkała się nam po głowie myśl: skoro idą tak na bezczelnego, to może mają jakąś amunicję, o której nie wiemy?

Czy jesteśmy pewni wierności Jarosława Gowina i wszystkich jego posłów? Jak zachowają się Paweł Kukiz i jego współpracownicy? A przecież możliwe, że oni mają wtyki także w PiS i Solidarnej Polsce, które teraz mogą uruchomić? Przecież wielu z nas może wskazać posłów, którzy w razie słabnięcia PiS są „do kupienia” przez drugą stronę.

► Najślabszy punkt operacji

Gdy Jarosław Kaczyński zamiast określenia „ciamajdan” użył w pewnym momencie słowa „pucz”, media braci Karnowskich zaczęły gorliwie przytakiwać: właśnie, właśnie, to pucz, a nie ciamajdan. Kto mówi o ciamajdanie, ten demobilizuje naszą stronę.

Karnowsky popełnił błąd. Oczywiście jest prawdą, że przygotowywany był pucz. Natomiast nie udało się on przede wszystkim dlatego, że daliśmy radę pewien jego komponent, czyli awantury w Sej-

mie, wyśmiać i sprowadzić do rangi ciamajdanu. Gdybyśmy zamiast tego od początku mówili o puczu, zwiększylibyśmy ryzyko własnej przegranej.

Tamta strona była zbyt słaba, żeby obalić rząd tylko przy pomocy własnej agentury. Ale gdyby udało jej się pozyskać różnych koniunkturalistów i parę neutralnych dotąd – na przykład ze strachu – lobby, to kto wie...

Kluczowym elementem puczu miało być więc uruchomienie lawiny. Wydarzenia w Sejmie i pod nim miały spowodować spadek notowań PiS. Służyć miały temu zarówno informacje o chaosie w parlamencie, który nie jest w stanie przyjąć budżetu, a oszalały Jarosław Kaczyński rzuca o podłogę telefonami posłanek (żałosny teatrzyk Agnieszki Pomaskiej), jak i poza nim, gdzie zginął zakatowany na jego polecenie Diduszek. Histeria w mediach, zanik sygnału TVP oraz naciski UE miały przyczynić się do tego, by lawina ruszyła.

Można przypuszczać, że gdyby notowania PiS choć odrobinę drgnęły, natychmiast pojawiłyby się sondáže mające dowiedzieć, że spadek zaufania do rządu jest dramatyczny, a parlamentarzyste ubekistanu uderzyliby natychmiast do wszelkich posłów-koniunkturalistów, obiecując im złote góry w zamian za przejście na drugą stronę frontu. PiS tonie, ale wy nie musicie zatonać, możecie znaleźć się w obozie zwycięzców!

Ciamajdan był tylko elementem puczu, ale fakt, że nie potrafił on uruchomić wspomnianej lawiny, zdecydował o porażce całej operacji. Po pierwsze, zakulisowi władcy ubekistanu popełnili katastrofalne błędy co do oceny układu sił. Po drugie zaś, wykonawcy planu okazali się głupszy, niż owym władcom śniło się w najgorszych koszmarach. O ile sprawny Grzegorz Schetyna starał się robić, co się da, by ograniczyć własne straty, o tyle pokolenie 30-, 40-latków pokazało, że jeśli przez dziesięciolecie dobiera się kadry wyłącznie według rodzinnej przynależności do siły oraz gotowości do posłuszeństwa, to kończy się to wyhodowaniem karnej armii półdebili.

► „Zmień kraj”, czyli straty wroga od roku 2007

Ale w czasie puczu wydarzyło się coś jeszcze. W 2007 r. do porażki PiS przyczyniła się kampania „Zmień kraj. Idź na wybory”. Organizatorzy udawali, że apelują do obywateli o udział w wyborach, jednak oczywiście był jej antypisowski wydźwięk – „zmień kraj” znaczyło tyle, co zabierz władzę PiS. Co zresztą po porażce Prawa i Sprawiedliwości przestali ukrywać niektórzy organizatorzy akcji.

Warto przypomnieć dziś listę organizatorów owej „apolitycznej” akcji, bo to daje nam pewne wyobrażenie na temat wroga, z którym przychodzi nam się mierzyć obecnie. A także tego, jak zmienił się jego potencjał.

Otóż inicjatorami akcji były następujące organizacje: Forum Obywatelskiego Rozwoju – FOR, Fundacja im. Stefana Batorego, Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan, Stowarzyszenie Agencji Reklamowych, Związek Firm Public Relations, Instytut Spraw Publicznych, Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Fundacja dla Wolności, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Stowarzyszenie Szkoła Liderów, Forum Inicjatyw Pozarządowych, Fundacji Projekt: Polska oraz Parlament Studentów RP.

To bardzo pouczająca lista. Organizacje biznesowe z racji na wpływy komunistycznej bezpieki

wie, stwierdzając, że „nie może wspierać inicjatyw, które nie są wyrazem woli ogółu środowiska studenckiego”.

► Koniec mitu agencji PR

Czymś najbardziej dziwacznym była jednak na tej liście obecność Związku Firm Public Relations oraz Stowarzyszenia Agencji Reklamowych. W normalnym kraju bycie pracownikiem PR-u czy reklamy nie oznacza, że trzeba być zwolennikiem lewicy czy prawicy. To tak jakby ni stąd, ni zowąd w „obywatelską” akcję włączyła się jakakolwiek inna branża – na przykład Polski Związek Hodowców i Producentów Trzody Chlewnej albo Związek Pracodawców Gospodarki Odpadami.

Otóż pokazuje to, jak ważnym elementem systemu były warszawskie agencje zajmujące się

—

MOŻNA PRZYPUSZCZAĆ, ŻE GDYBY NOTOWANIA PiS CHOĆ ODROBINĘ DRGNĘŁY,
NATYCHMIAST POJAWIŁYBY SIĘ Sondaże mające dowieść, że spadek zaufania do rządu
jest dramatyczny, a parlamentariusze UBEKISTANU UDERZYLIBY NATYCHMIAST DO
WSZELKICH POSŁÓW-KONIUNKTURALISTÓW, OBIECując im złote góry w zamian za
przejsięcie na drugą stronę frontu.

—

w tym składzie zbytnio by nie dziwiły, ale pojawiały się tylko jedna – najmniej skompromitowany wizerunkowo „Lewiatan”. Notabene dziś wielu owych biznesmenów woli – na co pomstowała niedawno „GW” – siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

Dalej mamy wszelkie fundacje „obywatelskie” wspierane z niemieckich pieniędzy, co do roli których mniej obywateli ma wątpliwości dziś niż wtedy. Potem Szkołę Liderów, w której szkoleniach brali udział przez lata także niektórzy młodzi politycy prawicy. Pokazało to, że nie należy mieć złudzeń co do jej intencji, gdy chodzi o wpływanie na mentalność owych działaczy młodzieżówek.

Jest też WOSP, jeszcze przed odkryciami Matki Kurki co do jej finansów czy bluzgami Owsiaka na Antoniego Macierewicza, więc również mniej obywateli miało jasność, co do jej roli. Dziś szyld ten również został na szczęście osłabiony.

Dalej był Parlament Studentów RP, i tu mamy olbrzymią zmianę. Przed zdominowanym przez emerytów „Ogólnopolskim Protestem Studentów i Studentek” wydał on oświadczenie w jego spr-

PR-em i reklamą. Notabene za prezydentury Bronisława Komorowskiego wiele ich „gwiazd” – na przykład Paweł Kastory, Szymon Gutkowski czy Marcin Mroszczak – zostało odznaczonych. Skoro cała „wierchuszka” owej bardzo ważnej dla życia politycznego branży brała udział w zwalczaniu obozu niepodległościowego, to w czasach poprzedzających rozwój mediów społecznościowych wygrać nam było bardzo trudno.

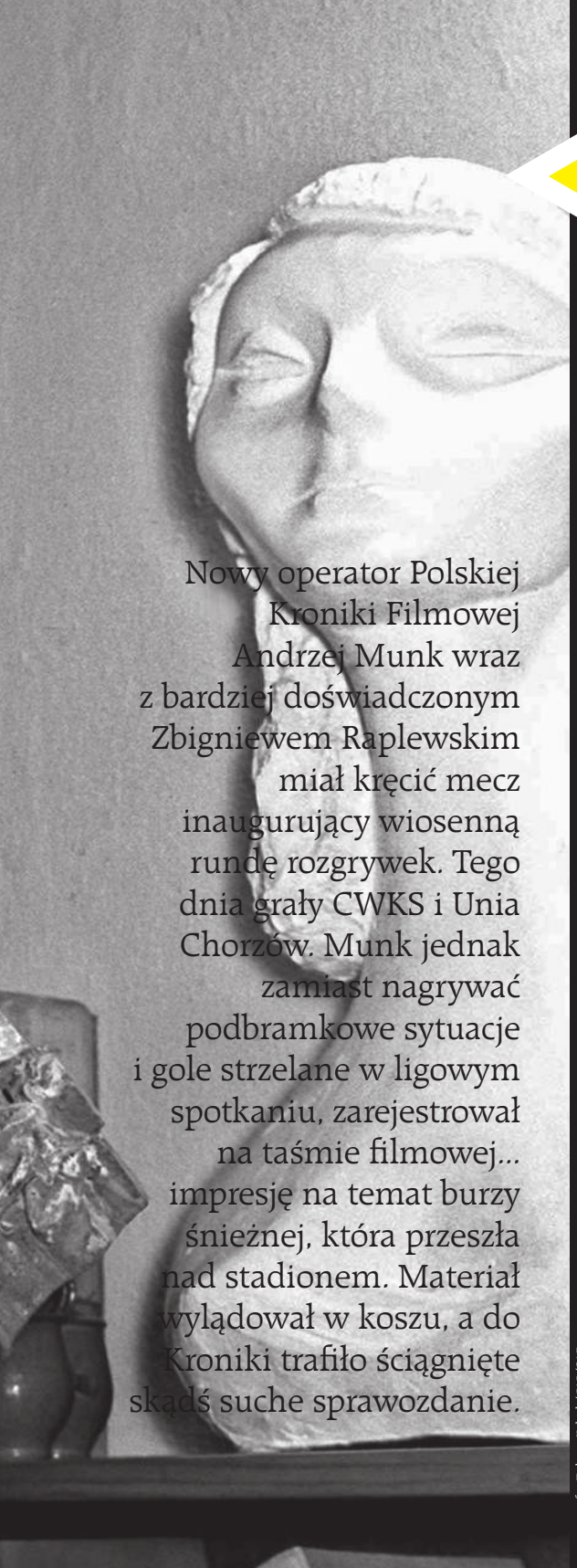
Przy okazji ciamajdanu okazało się, że potęgą warszawskich agencji PR upadła niczym Wojciech Diduszko pod ciosem pisowskiego siepacza. One mogły świecić najjaśniej tylko w warunkach posowieckiego medialnego monopolu. Gdy ten się skończył, ich wirtuozeria okazała się cokolwiek grubo ciosana.

No więc sorry, Panowie, ale destabilizowanie niepodległego państwa i rywalizowanie z patriotami to już nie wasza liga. Wracajcie tam, gdzie wasze miejsce – do reklamowania zalet nowych zamkniętych osiedli, lansowania marek soków czy proszków do prania. ■

Magdalena Złotnicka



Okaryna, polityka i wózek od Felliniego



Nowy operator Polskiej
Kroniki Filmowej
Andrzej Munk wraz
z bardziej doświadczonym
Zbigniewem Raplewskim
miał kręcić mecz
inaugurujący wiosenną
rundę rozgrywek. Tego
dnia grały CWKS i Unia
Chorzów. Munk jednak
zamiast nagrywać
podbramkowe sytuacje
i gole strzelane w ligowym
spotkaniu, zarejestrował
na taśmie filmowej...
impresję na temat burzy
śnieżnej, która przeszła
nad stadionem. Materiał
wylądował w koszu, a do
Kroniki trafiło ściągnięte
skądś suche sprawozdanie.

Powyższą historyjkę opisał Marek Hendrykowski w poświęconej reżyserowi biografii zatytułowanej „Andrzej Munk”. Książka ta, zbierająca biograficzne fakty z życia i opisująca najważniejsze dzieła Munka, była podstawą pisania niniejszego tekstu. A anegdota wiele mówi o samym Munku, artyście szukającym nowych rozwiązań i skupiającym się na tym, co inni przeoczyli.

► Brat odważnej siostry

Przyszły reżyser „Zezowatego szczęścia” przyszedł na świat w rodzinie galicyjskich, konkretnie krakowskich, Żydów, 16 października 1921 r. Jego ojciec, Ludwik, był inżynierem, pracował przy budowie dróg. Matka Antonina pochodziła z rodziny Frischów. Andrzej miał dwie starsze siostry. Rodzina zamieszkiwała w kamienicy przy ulicy Dunajewskiego 9, w centrum miasta. Munk pobierał nauki w VIII Państwowym Gimnazjum i Liceum Matematyczno-Przyrodniczym im. Augusta Witkowskiego (obecnie „Piątka”, V Liceum Ogólnokształcące), mieszczącym się przy ulicy Studenckiej 12. Przed wakacjami 1939 r. zdał maturę. Po wybuchu wojny zaciągnął się do Junackich Hufców Pracy na Śląsku. Oddział został jednak rozbity, a Munk wrócił do Krakowa.

W działaniach wojennych brała udział także jego starsza siostra, która wywarła szczególnie wpływ na kształtowanie się osobowości i poglądów przyszłego reżysera. Jak podaje Hendrykowski, Krystyna „działała w organizacjach lewicowych, była m.in. członkinią przedwojennego Związku Niezależnej Młodzieży Polskiej; blisko związana z działaczem PPS Józefem Cyrankiewiczem”. Była bez wątpienia odważna. Chociaż w wakacje 1939 r. wyjechała do Aten, to po otrzymaniu wiadomości o niemieckiej agresji na Polskę zdecydowała się wrócić do kraju i zaczęła pracować jako lekarz frontowy we Lwowie. Stamtąd 17 września przez Węgry i Jugosławię przedostała się do Francji. W styczniu 1940 r. dostała polecenie od konsula polskiego w Marsylii, w wyniku czego zatrudniła się jako lekarz na transportowcu m/s „Warszawa”. Pracowała tam dwa lata – opiekowała się rannymi uchodźcami i żołnierzami transportowanymi do Europy. Odznaczała się wielkim poświęceniem i odwagą. „Mówiono o niej jako o jedynej kobiecie lekarzu we flocie brytyjskiej i jedynej kobiecie, która znalazła się w obłożonej twierdzy w Tobruku” – informuje biograf artysty.

Wróćmy jednak do samego reżysera. Pozostała w Polsce rodzina Munków z początkiem 1940 r. opuściła Kraków. Ze względu na żydowskie pochodzenie musieli się ukrywać. Zdecydowali się na Warszawę. Tu Andrzej pracował kolejno jako: pisarz, magazynier,

technik i kierownik robót w firmie budowlanej Inż. K. Żółciński i Ska. Firma ta wykonywała roboty torowe na kolei w Otwocku i na Bródnie. Okupant nie zapominał jednak o Munkach, rodziny poszukiwali naziści. Dlatego też w 1942 r. Andrzej zdecydował się zmienić nazwisko na Wnuk i zamieszkać osobno.

Dał się wciągnąć do konspiracji, jednak tu również kierowały nim sympatie lewicowe. Został członkiem Organizacji Wojskowej Polskiej Partii Socjalistycznej (219 Pluton OWPPS), nosił pseudonim „Ksawery”. Hendrykowski pisze, że w mieszkaniu Munka (przy ul. Gdańskiej 2) jesienią 1943 r. Niemcy przeprowadzili rewizję. Munkowi jednak udało się uniknąć aresztowania. Uciekł z Warszawy i ukrywał się u przyjaciela w Denkówku na obrzeżach Ostrowca Świętokrzyskiego. Wziął udział w powstaniu warszawskim. Wkrótce po wybuchu walk powstańczych stracił kontakt ze swoim oddziałem, dlatego walczył w jednej z grup terenowych.

Kiedy powstanie upadło, Munk miał trafić do obozu przejściowego w Pruszkowie, tyle że uciekł z transportu i udał się do Krakowa. Tam znalazł zatrudnienie w Monopolu Tytoniowym, a później jako palacz i dozorca kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Pomieszkiwał w tym czasie w Kuźnicach i pomieszczeniach stacji na szczycie Kasprowego. Właśnie w Zakopanem doczekał końca wojny.

► Małżeństwo z wnuczką Daszyńskiego

W 1945 r. Munk znów znalazł się w stolicy i pracował przy dźwiganiu jej z ruin. Został kierownikiem budowy w prywatnej firmie budowlanej Inż. Sobiepan i Ska. Ponownie dały o sobie znać sympatie lewicowe. Związał się ze środowiskiem PPS ze stołecznego Żoliborza. Jak podaje Hendrykowski, w 1946 r. wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej (był członkiem Stołecznej Rady PPS, oddział Warszawa-Śródmieście) oraz Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. „Jako aktywista tej organizacji został wybrany najpierw na przewodniczącego Środowiska Warszawskiego ZNMS, a następnie – na III zjeździe w maju 1948 – na Sekretarza Generalnego Komitetu Wykonawczego ZNMS”.

W 1946 r. poślubił Halszkę Próchnik, wnuczkę Ignacego Daszyńskiego. Jak podaje biograf reżysera, panna młoda była o dwa lata starsza od pana młodego. Opisuje ją jako osobę kruchą i delikatną. Zaznacza także, że używała imienia Joanna. Podkreśla ponadto, że podobnie jak Munk miała ujmujący sposób bycia i cieszyła się popularnością w towarzystwie. Z mężem łączyła ją jeszcze jedna cecha: nie była najlepszym zdrowia. Otrzymała wykształcenie humanistyczne. Po wojnie studiowała na Wydziale Humanistycz-

nym Uniwersytetu Warszawskiego. „Ślub odbył się w Warszawie, gdzie też młodzi małżonkowie zamieszkali – w należącym do Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej żoliborskim bloku w kolonii przy ulicy Sarbiewskiego 2” – podaje biograf Munka. Dodaje, że „w późniejszych latach życia Halszka Próchnik-Munk pracowała w tygodniku »Kobieta i Życie«, pełniąc w redakcji trudną i często bardzo niewdzięczną rolę kogoś, kto zastępuje – powołane do tego – instytucje w niesieniu pomocy osobom bezradnym i potrzebującym”.

Związek z Halszką pełen był czułości i głębokiego porozumienia duchowego. Jak pisze Dominika Kaszuba w tekście „Szalone krótkie życie”, zamieszczonym na portalu onet.pl, kiedy Munk podróżował ze swoimi filmami po świecie, z każdego miejsca, w którym się znalazł, przysyłał żonie list, pocztówkę lub telegram. „Z Mar del Plata Joanna otrzymała radiogram z jednym słowem, ale – jak Munk wyjaśniał następnie w liście – »chyba najważniejszym«: »Kocham«. W 1961 roku tuż po przyjeździe do Oświęcimia, reżyser pisał do żony, którą nazywał pieśczętnie »syneczkiem«: »Nie pamiętam bardziej smutnego wyjazdu. [...] Słucham Bacha na uspokojenie. Myślę. I rozmawiam z Tobą”.

Muzyka była w ogóle bardzo ważna dla reżysera. Hendrykowski podaje, że w mieszkaniu, które Munkowie zajmowali na Nowym Mieście, gdzie w 1956 r. przeprowadzili się z Żoliborza, reżyser trzymał kolekcję piszczałek, okaryn i fujarek. „Jej właściciel nie był żadnym wirtuozem, ale podczas wizyty przyjaciół lubił sięgać po instrument, aby trochę na nim pograć solo lub wspólnie z gościem” – pisze biograf.

Wróćmy jednak do polityki. Chociaż PPS większość Polaków kojarzy się z Józefem Piłsudskim, trzeba zdać sobie sprawę, że po wojnie to już nie była ta sama partia. Część działaczy Robotniczej Partii Polskich Socjalistów doprowadziła do stworzenia tzw. Odrodzonej PPS z Edwardem Osóbką-Morawskim i Józefem Cyrankiewiczem na czele. To właśnie ten odłam był koalicjantem w rządzie lat 1945–1948. Drugi odłam nadal prowadził działalność konspiracyjną, która w wielu przypadkach kończyła się aresztowaniami przez władzę ludową. Pod koniec 1948 r. PPS połączyła się z Polską Partią Robotniczą. W efekcie powstała PZPR.

Co ciekawe, Munk mimo wyraźnego odchyłu lewicowego nie chciał się godzić na te procesy. „Jak nie trudno się domyślić, związana z PPS przedwojenna jeszcze organizacja młodzieżowa – której Munk przewodził – nie zamierzała łatwo ulec odgórnemu narzuceniu i brutalnie forsowanemu procesowi »zjednoczenia« ruchu młodzieżowego” – zaznacza Hendrykowski. Dodaje, że Munk miał świadomość, że

choć był socjalistą z przekonania, to nagle znalazł się po niewłaściwej stronie barykady. Nie mając sił, czy też możliwości, by podjąć zwycięską walkę o swoje przekonania, zdecydował się po prostu zejść z pola bitwy. Decyzja o podjęciu studiów w Łodzi była prawdopodobnie motywowana właśnie chęcią ucieczki. „Łódź, w której zamieszkał, stała się dla niego nowym miejscem życia i rodzajem azylu przed ewentualnymi represjami ze strony wrogów politycznych. Za kilka lat miało się okazać, że przeciwnicy o nim nie zapomnieli” – pisze Hendrykowski.

► Socjalista czy politykier?

Decyzja o podjęciu studiów reżyserskich była więc nieco przypadkowa. A Munk wykazał się swego rodzaju konformizmem, ponieważ będąc już studentem, zapisał się do PZPR. Na niewiele się to jednak zdało, ponieważ – jak podaje Hendrykowski – i tak cały czas był bacznie obserwowany przez tajne służby, które traktowały go jak element obcy ideowo. „Żył w atmosferze ciągłego podejrzenia. O utrzymującej się nieufności wobec niego świadczą zachowane w aktach osobowych poufne charakterystyki. Ich autorzy doceniali jego zdolności organizacyjne, inteligencję i umiejętności w nawiązywaniu kontaktu z ludźmi. Uważali jednak – skądinąd słusznie – że jest kimś „ideowo obcym». Czytaj: mającym własne zdanie w wielu sprawach” – pisze Hendrykowski. Przyczyna także opinie kolegów Munka ze studiów, m.in. operatora Kurta Webera. Wszyscy oni wspominali po latach, że „starszy od nich o kilka lat i znacznie dojrzałszy ze względu na swe życiowe doświadczenia Munk konsekwentnie zachowywał dystans i krytycznie odnosił się do wielu różnych bieżących spraw, między innymi do zadekretowanej na zjeździe filmowców w Wiśle doktryny realizmu socjalistycznego”.

Po czterech latach reżysera usunięto jednak z partii. Z jakiego powodu? Oficjalną przyczynę znaleziono w sprawach obyczajowych. „Zachowanie niegodne członka partii” – taki podano pretekst. „Powód usunięcia, zgodnie z duchem tamtych czasów, był całkiem prozaiczny. W istocie cała intryga została perfidnie ukartowana, a wyrzucenie Munka z partii było bezpośrednim skutkiem donosu na jego zachowanie podczas hucznej biesiady w jednym z krakowskich hoteli. Donos nadgorliwej koleżanki został wykorzystany przez czynniki partyjne jako dogodny pretekst do kolejnego polowania na czarownicę. Dla grupy ortodoksów z WFD – gdzie wówczas pracował – i ich mocodawców Munk był człowiekiem niewygodnym, na którego ukrecono bat nieobyčajności” – pisze jednak Hendrykowski.

Czy Munk można uznać za koniunkturalistę? Z czego wynikała jego słabość do systemu? „Był człowiekiem lewicy, wyrastał z socjalizmu ludzi, którzy chcieli dobrego społeczeństwa, sprawiedliwego spojrzenia na ludzi biednych, upośledzonych społecznie. To było mało rewolucyjne, nie było elementu wściekłości, który towarzyszył formacji komunistycznej. Jego zaangażowanie było głęboko humanistyczne, a nie politykierskie” – oceniał Krzysztof Zanussi w audycji Anny Fuksiewicz (Polskie Radio, 2011). Wydaje się więc, że jego przekonania i chwilowy flirt z reżimem wynikały raczej z pogubienia niż z celowego utożsamiania się z ideologią Polski Ludowej.

Co ciekawe, Munk swoją karierę w Filmówce rozpoczął od nauki na Wydziale Operatorskim. Dopiero po pewnym czasie przeniósł się na Wydział Reżyserski. Studia filmowe ukończył w 1951 r. Jak zaznacza Hendrykowski, o ówczesnej pozycji Munka w środowisku filmowym świadczył fakt, że już podczas studiów jako praktykant stażysta pracował w Polskiej Kronice Filmowej. „Między innymi napisał »spikerkę« (komentarz) do wydania specjalnego PKF pt. Kongres Bojowników o Wolność i Demokrację. Asystował również przy montażu PKF u boku Ludmiły Niekrawskiej, mając nawet sposobność samodzielnego montowania materiałów” – opisuje biograf.

1 listopada 1950 r. Munk zaczął pracować na etacie w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych na stanowisku asystenta reżysera. W tym okresie opracował też polską wersję francuskiego filmu montażowego „Levés avant le jour”, który wszedł na polskie ekrany pod tytułem „Zaczęło się w Hiszpanii”.

► Z życia polskiej kolei

Początkowo Munk zajmował się filmami dokumentalnymi. Jak czytamy w artykule poświęconym reżyserowi w serwisie culture.pl, „zaczynał swoją drogę zawodową jako reżyser filmów zgodnych z duchem czasu, w jakim powstawały. Jego filmy dokumentalne, »Nauka bliżej życia« czy »Kierunek Nowa Huta«, to filmy czysto propagandowe”.

Warto jednak zwrócić uwagę na dalsze dzieła z tego okresu, czyli „Kolejarskie słowo” i „Gwiazdy muszą płonąć”. Choć dziś nie musi to być dla nas oczywiste, obrazy te stanowiły przełamanie socrealistycznego schematu. Tak mówił o nich sam Munk: „Te inscenizowane filmy były odpowiedzią na oficjalny ton ówczesnej twórczości dokumentalnej, na jej lakoniczny, hurraoptymistyczny ton. Starałem się poruszać sprawy, które zbanalizowano, chciałem pokazać trud, poświęcenie, bohaterstwo, piękno codziennej pracy. W »Kolejarskim słowie« mówiłem – dzisiaj wydaje nam się to banalne, wówczas jednak te proste sprawy

przemilczano – że praca kolejarzy jest ciężka, że wymaga dużego wysiłku – mówił Stanisławowi Janickiemu (wywiad zamieszczono w książce „Polscy twórcy filmowi o sobie”).

Z kolei Aleksander Jackiewicz w książce „Moja filmoteka. Kino polskie” zauważa typową także dla późniejszych filmów fabularnych Munka technikę reżyserską: „Nieruchomość parowozu, podkreślona bardzo ruchliwym montażem rejestrującym napięte twarze obsługi na tle elementów maszyny i rytmicznego oddechu koła, który zdaje się liczyć uciekające minuty, to już płaszczyzna psychologiczna: niecierpliwość tych, którzy zaręczyli za maszynę. Ale to też płaszczyzna »psychologiczna maszyny«; tu głębiej niż na początku zjednoczonej z człowiekiem maszyny; wybuchającej przyspieszonym obrotem kół i hukami pary, gdy semafor zostaje podniesiony” – punktuje. Motyw kolei powróci jeszcze w „Człowieku na torze”, który jest jednak już filmem fabularnym.

Stopniowo zachodził proces przechodzenia Andrzeja Munka od dokumentu do filmu fabularnego. Proces ten był płynny. Jak czytamy w culture.pl, „Błękitny krzyż”, czyli ostatni film zrealizowany w WFD „niektórzy nazywają ostatnim dokumentalnym, a inni – pierwszym fabularnym filmem Munka”.

Film opowiada historię słowackiego lekarza, doktora Juraja, który przedziera się do Zakopanego przez linię frontu. Prosi o pomoc dla kilkorga rannych, wygłodzonych partyzantów ukrytych w szalasy tuż obok niemieckich posterunków. Kilkunastu ratowników organizuje wyprawę na Zwierówkę, polanę po słowackiej stronie Tatr. Ich wyprawa okazuje się jedną z najtrudniejszych w historii ratownictwa. Jasne jest, że Munk po części wykorzystał znajomość realiów górskich, które znał z czasów, gdy przebywał w okolicach Kasprowego.

► „Eroica” i „Zezowate szczęście”

Najbardziej znane filmy fabularne Munka, te, które trwale wpisały się w kanon polskiej szkoły reżyserskiej, to „Eroica” i „Zezowate szczęście”. Pierwszy z nich został ochrzczony mianem dzieła „antyheroicznego”. Munk poruszył w nim temat powstania warszawskiego. „Chodziło nam o pokazanie, jak ogólna atmosfera bohaterstwa wpływa nawet na jednostki, które nie mają owej »kultury bohatera« i czyni z nich bohaterów. Działają dokonuje czynów wymagających dużej odwagi, mimo swojego »racjonalizmu« jest bohaterem. A końcowe przyłączenie się do powstania – to katharsis, czynnik oczyszczający” – mówił Stanisławowi Janickiemu.

Film składa się z dwóch 40-minutowych nowel: „Scherzo alla polacca” oraz „Ostinato – lugubre”. Obie

są oparte na opowiadaniach Jerzego Stefana Stawińskiego, który ponadto napisał do nich scenariusz. Pierwsza z nowel to historia działań Działu Górkiewicza podczas powstania warszawskiego. Bohater jest łącznikiem w mediacjach nad połączeniem sił polskich i węgierskiego oddziału zatrzymanego przez Polaków pod Warszawą. Druga dotyczy oficerów w niemieckim obozie, którzy kultywują mit legendarnego już uciekiniera z obozu, porucznika Zawistowskiego.

Drugi film, „Zezowate szczęście” z 1960 r., został nakręcony na podstawie powieści „Sześć wcieleń Jana Piszczyka” Jerzego Stefana Stawińskiego. Opowiada o losach życiowego oportunisty Jana Piszczyka. Jak pisał Tadeusz Sobolewski na łamach magazynu „Film” w 1979 r., ta rola „napisana była specjalnie dla [Bogumiła] Kobieli. Bez niego ten film byłby może tylko dydaktyczną satyrą na ludzi bez własnego oblicza. [...] Aktor pokazywał człowieka uwikłanego w nieprawdę i tę nieprawdę demaskował. Jego bohater chce przybrać formę, w której inni by go akceptowali. Chce być taki jak inni, ale pech czy może nadmiar dobrych chęci sprawia, że ten gorliwiec zostaje rozpoznany i wyśmiany”.

„Zezowate szczęście” było przede wszystkim manifestacją postawy racjonalistycznej, może nawet trochę sceptycznej. Tezą filmu miało być: wszyscy powinniśmy się bardziej posługiwać własnym rozumem, nie przyjmować bezkrytycznie sądów, które mają chwilowe poparcie większości, bądź które są dobrze widziane. Chciałem, by widz zastanowił się, co było przyczyną tylu nieszczęść, które spotkały Piszczyka. Piszczyk tłumaczy nieco metafizycznie, że przesładuje go pech, ale rozsądny widz widzi, że pech jest prowokowany przez bohatera” – mówił z kolei sam Munk w książce „Polscy twórcy filmowi o sobie”. Zaznaczał przy tym, że podstawowym błędem Piszczyka było to, że dążył do naśladowania konkretnych ludzi, albo do tego, by postępować tak, by podobać się władzy. „Piszczyk stale kogoś kokietuje. Ocenia siebie wyłącznie z zewnątrz. Jest zawsze bezwzględnie popychany przez kogoś. Kiedy starał się działać zgodnie z własnym rozsądkiem, okazywało się, że jest już za późno i musiał wtedy ponosić konsekwencje poprzedniego okresu” – zaznaczał reżyser.

W „Zezowatym szczęściu” piosenkę zaśpiewała Sława Przybylska, która była zresztą pod wrażeniem Munka. „Byłam zafascynowana jego twórczością, wiedzą, kulturą” – przytacza jej wypowiedź magazyn „Rewia”.

Hendrykowski podaje, że z Munkiem pracowało się trudno. Chodziło o to, że potrafił zameczyć ekipę, szukając niestrudzenie właściwego rozwiązania. „Miał gorącą głowę i takie samo serce. Bywał zmien-

ny, zdarzało się, że nieobliczalny, podczas kręcenia reagował w sposób bardzo emocjonalny, wybuchowy. Ale ludzie, z którymi pracował, wiedzieli, że z nim i tylko z nim zdolni są osiągnąć w wymiarze twórczym coś, czego nigdy nie osiągnęliby bez niego". Dodaje także, że reżyser bywał niesamowicie apodyktyczny. Z drugiej jednak strony Emilia Padol w „Darmach PRL-u” opisuje, że Munk przystał na to, by to Polański reżyserował sceny, w których pojawia się Kwiatkowska, która była wówczas partnerką Polańskiego. Pojawił się jednak problem. Z jednej strony Polański chciał dobrze wyreżyserować narzeczoną, z drugiej bardzo ją krytykował, żeby nie posądzano go o łagodność w stosunku do nieobojętnej mu kobiety. Munk uznał to za znęcanie się i odebrał Polańskiemu możliwość reżyserowania.

► „Pasażerka”

Przez jakiś czas Munk wykładał także w łódzkiej Filmówce. „Kiedy tylko pojawił się w szkole jako wykładowca, natychmiast zaczął dominować. Był dla mnie wtedy postacią najważniejszą. Wniósł ze sobą to, czego mi najbardziej brakowało w szkole – precyzję myślową, jasność poglądów, jasność kryteriów, doskonałą budowę logiczną i klarowność wyводу, niesłychanie trzeźwo i surowo osąd samego siebie. Na moich oczach zaczął kręcić »Pasażerkę«, opowiadał nam o swoich kłopotach i problemach na planie. Do głębi rozumiał, co robił i przyzwyczaił mnie do myśli, że można rozumieć przynajmniej podstawy tego zawodu. Byliśmy wobec siebie bezbłędnie uczciwi” – mówił Krzysztof Zanussi w książce „Filmówka. Powieść o łódzkiej Szkole Filmowej”.

Ostatnim, nieukończonym przez reżysera filmem była „Pasażerka”. Film dotyczący relacji kata i ofiary w realiach obozu koncentracyjnego. Obraz o tyle ciekawy, że obie postaci to kobiety. Munk długo męczył się z tym filmem. W książce Hendrykowskiego Andrzej Wajda przytacza opowieść Andrzeja Brzozowskiego, asystenta reżysera przy powstawaniu tego filmu. Otóż w trakcie realizacji Munk postanowił nauczyć się jeździć na motocyklu. Szło mu to średnio, jadąc, wpadł na druty kolczaste i mocno się o nie poranił. Kiedy ekipa filmowa pomagała mu się pozbierać, Munk powiedział: „Gdybym się zabił, nie musiałbym kończyć tego filmu”.

Z kolei Dominika Kaszuba w cytowanym już tekście „Szalone krótkie życie” przytacza inne wspomnienie z planu. Hanka Dyrka-Brzozowska, reżyserka, która asystowała Munkowi, opowiadała, że był on „humorystą i makabrystą”. „Bardzo często mówił do mnie: »Dyrko, a ja mam taki trupi uśmiech« i robił wytrzeszcz”.

„Andrzej Munk zupełnie nie wyglądał na artystę. Wyglądał raczej jak urzędnik bankowy, albo jak profesor... – szkoły podstawowej” – mówił Roman Polański w dokumentalnym filmie Andrzeja Brzozowskiego „Ostatnie zdjęcia”. Dodawał jednak, że kiedy bliżej poznawało się reżysera, ten pierwotny obraz okazywał się zwodniczy.

„Pasażerka”, ostatecznie ukończona przez kogo innego, jest jednym z najbardziej wstrząsających zapisów relacji obozowych. „W pracy reżyserskiej stawiał zawsze na kontrapunkt, na konfrontację sprzecznych elementów uruchamiającą w widzu poznawczy dysonans. Zaświadcza o tym wiele niezapomnianych scen w filmach, które wyreżyserował, a wśród nich pamiętna scena obozowego święta i koncertu z »Pasażerki«” – pisze Hendrykowski. Dodaje, że tylko Munk poważył się na ukazanie do słownego zbliżenia pomiędzy dwójką więźniów – Martą i Tadeuszem. Do całej sytuacji dochodzi podczas koncertu muzyki klasycznej. „Unoszeni wraz z dwójkiem zakochanych ludzi wibrującą w powietrzu muzyką Bacha, tracimy poczucie, że jesteśmy razem z nimi za drutami, tkwiąc w tym złudzeniu do chwili, gdy jej harmonijne dźwięki zostają brutalnie rozerwane wielokrotnym gwizdem, a potem sapaniem wjeżdżającego do obozu pociągu. Ta scena jest majstersztykiem reżyserskim Munka – kongenialnym filmowym ekwiwalentem słynnego zdania z opowiadań obozowych Tadeusza Borowskiego: »między jednym a drugim komerem zagazowano trzy tysiące ludzi«” – pisze biograf reżysera.

► Wykrakał własną śmierć

W trakcie pracy nad „Pasażerką” Munk – który miał słaby wzrok i nie był najlepszym kierowcą – jechał fiatem 600. Jego pojazd zderzył się z potężną ciężarówką star 20, należącą do Warszawskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Lądowego i Wodno-Kanalizacyjnego. Wypadek okazał się dla reżysera śmiertelny. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak wiele film polski stracił na tej śmierci. Warto za to przytoczyć fragment wstępu do książki Hendrykowskiego, napisanego przez Andrzeja Wajdę: „Zobaczyłem w mieszkaniu Andrzeja Munka na Starym Mieście przywiezioną z Italii miniaturę sycylijskiego wózka. Jak się okazało, otrzymał ją jako prezent od nieznanego mi z nazwiska Federica Felliniego, który wypytywał Munka, czy nie mógłby zrobić jakiegos filmu w Polsce, ponieważ w swoim kraju nie może znaleźć producenta”.

Munk bez wątpienia miał szansę stać się reżyserem tej klasy co Fellini. Jednak całe pokolenie związane ze złotą erą polskiego filmu doby PRL-u – Munk, Kobiela, Cybulski, a także kompozytor Krzysztof Komeda – wszyscy oni odeszli przed czasem. Z wielką stratą dla sztuki. ■



Danusia Siedzikówna „Inka”, Narewka, 1945 r.

Dariusz Jarosiński



Kto się boi Wyklętych

Pamiętam dziennikarkę, która przyjechała zbierać materiały do książki o „Ince” – wspomina Bogusław Łabędzki. – Byliśmy z nią u przyjaciółki szkolnej Danki, pani Aniuty, Białorusinki, która mieszka w Olchówce. Mogliśmy spokojnie z nią rozmawiać, z jej mężem. Rok później, kiedy przyjechała Telewizja Polska Białystok, żeby nakręcić materiał z okazji rocznicy śmierci „Inki”, rodzina przyjaciółki Danusi wypędziła nas z domu. W krótkim czasie pojawiły się wyraźne zmiany w postawach ludzi. Dzisiaj ludzie z Głuszczewiny zapytani o rodzinę Siedzików, najczęściej mówią: „My się nie mieszkamy do polityki” i milkną. Widać, że ktoś nimi manipuluje, ktoś ich nastawia.



Mniejszość białoruska w Polsce ma duży problem z określeniem swojej tożsamości narodowej – jeszcze nie tak dawno wielu mieszkańców wiosek białoruskich na Podlasiu mówiła o sobie, że są „tutejsi”. Zresztą ich pobratymcy, mieszkający na Białorusi, też zmagają się z tym problemem. W 1991 r. otrzymali w darze po raz pierwszy własne państwo, które ciągle funkcjonuje na wzór sowiecki. Kształtowanie się wspólnoty w sensie narodowym i kulturowym to długotrwały proces. Większość Białorusinów nie posiadała świadomości narodowej, deklarowała się jako indyferentna etnicznie lub podawała identyfikację religijną, nie potrafiła jasno określić swej narodowej przynależności. Rozpoczęty w drugiej połowie XIX stulecia proces kształtowania się narodu białoruskiego zapewne jeszcze będzie trwał jakiś czas.

Naród łączy język, historia, mitologia, kultura, w szczególności literatura, a także bohaterowie narodu. Liderzy polskiej mniejszości białoruskiej mogliby się odwołać choćby do takich postaci, jak bohater wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r., wybitny wojskowy, antykomunista, generał Stanisław Bułak-Bałachowicz. Mogliby, ale nie chcą – odrzucają tę tradycję, czyli pamięć wspólnej walki Polaków i Białorusinów z bolszewią. Przykładów współpracy w najnowszej historii mamy dużo więcej: w oddziałach AK, a także poakowskich, po roku 1945, na Wileńszczyźnie, Nowogródczyźnie i Podlasiu walczyli chłopcy z białoruskich rodzin, prawosławni.

Widać, że liderom mniejszości białoruskiej najbliższa jest tradycja komunistyczna. Uznali, że to ona ma spajać tę wspólnotę narodową. Zasadniczy ton funkcjonowaniu środowiskom białoruskim nadają ludzie związani bezpośrednio lub pośrednio z byłym aparatem komunistycznym – z Komunistyczną Partią Zachodniej Białorusi, Polską Partią Robotniczą, Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, a także Urzędem Bezpieczeństwa i Służbą Bezpieczeństwa. Podlascy Białorusini budują swoją tożsamość w opozycji do polskości, w kontrze do naszych narodowych wartości, religii katolickiej, w kontrze do naszych bohaterów. Ważną rolę w kształtowaniu świadomości podlaskich Białorusinów odgrywa Cerkiew prawosławna. Rząd polski po 1989 r. nie prowadził aktywnej polityki narodowościowej, ograniczał ją do bezrefleksyjnego finansowania białoruskich stowarzyszeń, szkół, mediów etc. Nie wtrącał się do spraw mniejszości – pozostawiał niemal nieograniczoną swobodę działania Białorusinom, zresztą innym mniejszościom narodowym, etnicznym też.

► Nie mówić ścisłym głosem

Dziadkowie Bogusława Łabędzkiego ze strony ojca przyjechali do Hajnówki w latach 30. ubiegłego wieku

– wtedy miasteczko powstawało, potrzebne były ręce do pracy, ludzie przybywali z różnych stron Polski. Twórcy II Rzeczypospolitej postanowili stworzyć tutaj, w Puszczy Białowieskiej, silny ośrodek przemysłowy, robotniczy, związany z gospodarką leśną. W 1921 r. rozpoczęły produkcję Zakłady Drzewne Lasów Państwowych. W 1930 r. cztery hajnowskie zakłady zatrudniały 2 tys. pracowników. Tuż przed wojną miasteczko liczyło 17 tys. mieszkańców. O tempie rozwoju tego miejsca może świadczyć fakt, że w 1919 r., kiedy nastąpiło państwo polskie, Hajnówka liczyła dokładnie 118 mieszkańców. Jak wynika z rocznika statystycznego, w 1921 r. 70 proc. jego mieszkańców stanowili Polacy, a pozostałe 30 proc. Białorusini, Żydzi i Niemcy. Miejska kronika odnotowała w 1936 r. spalanie przez komunistyczną bojówkę katolickiej kaplicy.

Bogusław Łabędzki, rocznik 1968, snuje lokalną historię: – W latach 50. przypięto Hajnówce łatkę „czerwonej Hajnówki”. Kierowano tutaj ludzi z nakazami pracy, którzy w jakiś sposób podpadli komunistycznej władzy. W ten sposób zgromadzono aktywne środowisko polskie i ono dominowało tutaj do połowy lat 80. Udało mi się jeszcze w polskiej Hajnówce trochę pomieszkować. W latach 80. realizowany był na terenie województwa białostockiego program budowy dużego zbiornika wodnego. Na tym obszarze znajdowało się kilkanaście wiosek. W Hajnówce pobudowano osiedla mieszkaniowe dla ludzi, których wioski miały zostać zatopione. Nastąpiło dosyć gwałtowne zachwianie proporcji narodowościowych, napłynęło dużo ludzi wyznania prawosławnego, którzy posługiwali się mową prostą czy językiem białoruskim, jak oni tę mowę nazywają. Do połowy lat 80. jedna cerkiew obsługiwała wszystkich wiernych na terenie Hajnówki, obecnie są trzy cerkwie, prawosławni stanowią 70 proc. mieszkańców miasteczka. W powiecie hajnowskim znajduje się 27 parafii prawosławnych. Ludność polska zaczęła wyjeżdżać z Hajnówki. Na początku lat 90. jedynie przez półtora roku lokalna władza znajdowała się w rękach polskiego nurtu „Solidarności”, później została przejęta przez ludzi związanych z komunistami. Jeszcze w poprzedniej kadencji starostą powiatu hajnowskiego był Włodzimierz Pietrocuk, do 1990 r. oficer Służby Bezpieczeństwa, w 2014 r. został radnym sejmiku województwa podlaskiego, startując z listy SLD-Lewica Razem. Nigdy nie ukrywał, że był oficerem SB, uważa to chyba nawet za powód do dumy w swoim środowisku białoruskim. Jego przełożony, mjr SB Mikołaj Aleksyuk, od początku istnienia powiatu hajnowskiego jest radnym powiatowym.

Bogusław w rodzinnym domu słuchał nieraz opowieści o żołnierzach walczących o wolną Polskę z komunistami. Dziadek Stanisław Łabędzki wspominał mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, miał kontakty z kpt. Romualdem Rajsem „Burym”, poznał go jeszcze

na początku 1945 r., kiedy kapitan pod fałszywym nazwiskiem Jerzy Góral pełnił funkcję dowódcy plutonu w batalionie ochrony lasów państwowych w Hajnówce. Dziadkowie ze strony matki, Marianna i Jan Boguszewscy, pochodzili z Radziszewa koło Ciechanowca. Stałą metę w ich gospodarstwie mieli żołnierze z Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, a później żołnierze z oddziału kpt. Władysława Łukasiuka „Młota”. Kapitan „Młot” ostatnią kolację przed feralnymi imieninami i śmiercią jadł u dziadków w Radziszewie.

Bogusław podpadł dosyć wcześnie komunistom, bo jeszcze w szkole podstawowej – miał wówczas 13 lat. Kiedy 13 grudnia 1981 r. w Polsce wprowadzono stan wojenny, postanowili z kolegą publicznie zademonstrować swój sprzeciw wobec komunistom. Wypisane i wymalowane własnoręcznie ulotki rozrzucili z kolegą w miejscach publicznych w Białymstoku.

– Mam tęsknotę do Kresów Wschodnich, więc na mojej ulotce znalazła się mapa Polski z Wilnem i Lwowem – wspomina. – Napisałem też hasło będące parafrazą słów piosenki Jana Pietrzaka: „Kiedy Polska będzie Polską”? Kolega miał wypisane hasło „Solidarni aż do końca”. Zostaliśmy przyłapani na rozrzucaniu ulotek. Wielkie szkody władzy komunistycznej nie zrobiliśmy, ale urządzono nam pokazowy proces. W maju 1982 r. sąd skazał nas na pobyt w zakładzie poprawczym w zawieszeniu na dwa lata. Otrzymaliśmy też nakazy kontynuowania nauki po szkole podstawowej w szkole górniczej na Śląsku. Ostatecznie wstawił się za mną pracownik Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Hajnówce, dotarł do Kuratorium Oświaty i Wychowania i przekonał urzędników, że nie zagrażam bezpieczeństwu państwa, że nadaję się do szkoły otwartej. Na zasadzie kompromisu zezwolono mi na naukę w Hajnówce, ale tylko w zasadniczej szkole zawodowej. Byłem pod czujną opieką kuratorów, codziennie po lekcjach musiałem meldować się w kuratorskim ośrodku wychowawczym.

Po ukończeniu szkoły zasadniczej w Hajnówce naukę kontynuował w technikum w Łapach. Mówi, że to była przeprowadzka o charakterze kulturowym i cywilizacyjnym. Znalazł się w zupełnie innym mentalnie środowisku. Tutaj nikt nie miał dobrego zdania o komunie, otwarcie też, bez zahamowań, opowiadano historie o żołnierzach walczących z komunistami po roku 1945. W Łapach uzyskał potwierdzenie, że jest więcej osób myślących podobnie jak on o Polsce. W czasie przerw międzylekcyjnych nie musiał rozmawiać z kolegami ściszym głosem. W latach 1990–1995 studiował w Akademii Teologii Katolickiej i uzyskał tytuł magistra teologii.

► Zemstę pozostawić Panu Bogu

Bogusław po studiach wrócił do rodzinnego miasteczka. Podjął pracę w szkole podstawowej w Hajnów-



Danusia Siedzikówna ze szkolną przyjaciółką, Olchówka, lata 30. ubiegłego wieku

ce jako katecheta, prowadził też zajęcia ze studentami na Papieskim Wydziale Teologicznym w Białymstoku. Polubił pracę z dziećmi w szkole. Katechetów zatrudniała kuria biskupia, więc posiadał spory komfort psychiczny, swobodę działania.

– Miałem w dzieciństwie bardzo dobrych katechetów, którzy wysoko ustawili standardy. Kształtowali w nas zachowania wspólnotowe – zabierali na wycieczki rowerowe, pielgrzymki. Poszedłem ich śladami. Też zabierałem dzieci na wycieczki rowerowe, piesze. Jeździliśmy po okolicach Narewki, poznawaliśmy wspólnie bogatą historię parafii narewowskiej. Już w pierwszym roku pracy trafiłem też na niezwykłą historię Dan-ki Siedzikówny, wówczas znanej jedynie wąskiemu gronu ludzi – mówi.

Nawiązał wtedy znajomość z Piotrem Szubarczykiem, historykiem z Gdańska. Powstały pierwsze artykuły prasowe o sanitariuszce „Ince” pochodzącej z ziem hajnowskiej. W 2004 r. postanowili zaprezentować pierwszą w Polsce wystawę poświęconą Danusi. Losy jej rodziny były wyjątkowo tragiczne. Ojciec, Wacław Siedzik, leśniczy, 10 lutego 1940 r. został zesłany przez Sowietów na Syberię. Zmarł w 1943 r. z wycieńczenia. Matki Eugenii i trzech córek bolszewicy nie wywieźli na Syberię, ponieważ akurat wszystkie zapadły na chorobę zakaźną i obawiano się, że mogą zarażać inne osoby. Wyrzucone przez Sowietów z leśniczówki w Olchówce,

zamieszkały w pobliskiej Narewce. Matka należała do siatki terenowej AK. Zadenuncjowana przez osoby należące do kolaborującego z Niemcami komitetu białoruskiego z Narewki, została w 1943 r. zamordowana przez gestapo. Trzema osieroconymi dziewczętami zaopiekowała się babcia Aniela, matka ich ojca. 15-letnia Danką i jej starsza o rok siostra Wiesia w grudniu 1943 r. złożyły przysięgę i wstąpiły do AK. Odbiły kurs sanitariuszek. Danką przyjęła pseudonim „Inka”. Działalność w konspiracji w tym terenie niosła ze sobą śmiertelne zagrożenie nie tylko ze strony Niemców, lecz także współpracujących z nimi Białorusinów. Aktywiści biał-

„Inkę”. Zrobiły one mocne wrażenie na ludziach zebranych w sali narewskiego GOK-u. Obok pani Wiesi siedział Eugeniusz Wołkowycki, ówczesny dyrektor Szkoły Podstawowej w Narewce, bratanek Aleksandra Wołkowyckiego. Aleksander Wołkowycki był białoruskim aktywistą komunistycznym, współpracował z NKWD i gestapo. W maju 1945 r. z wyroku miejscowej komórki AK został zastrzelony przez żołnierzy mjr. „Łupaszki”.

Szkoła Podstawowa w Narewce, mimo wielu protestów polskich środowisk patriotycznych, nadal nosi imię Aleksandra Wołkowyckiego, hitlerowskiego i sowieckiego agenta, który wydawał na śmierć polskich

SZKOŁA PODSTAWOWA W NAREWCE, MIMO WIELU PROTESTÓW POLSKICH ŚRODOWISK PATRIOTYCZNYCH, NADAL NOSI IMIĘ ALEKSANDRA WOŁKOWYCKIEGO, HITLEROWSKIEGO I SOWIECKIEGO AGENTA, KTÓRY WYDawał NA ŚMIERĆ POLSKICH OBYWATELI. BYĆ MOŻE WŚRÓD ZADENUNCJOWANYCH OSÓB BYŁA TEŻ EUGENIA SIEDZIKOWA, MATKA DANUSI.

ruscy byli obrotowi – współpracowali zarówno z Niemcami, jak i z Sowietami. Po wielu perypetiach, m.in. aresztowaniu, „Inka” została latem 1945 r. sanitariuszką 5. Brygady Wileńskiej AK, której dowódcą był mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”.

– Wystawę zaprezentowaliśmy w Gminnym Ośrodku Kultury w Narewce – wspomina Bogusław Łabędzki. – To była pierwsza wystawa poświęcona „Ince”, materiał ikonograficzny nie był jeszcze zbyt bogaty. Dzisiaj też nasza wiedza o niej jest zdecydowanie większa. GOK nie był do końca świadom tego, co robi, udostępniając historykom IPN, m.in. Piotrowi Szubarczykowi, salę na wystawę. Dzisiaj trudno nawet sobie wyobrazić, by mogło odbyć się w tym miejscu takie wydarzenie. Żyła jeszcze wtedy starsza siostra „Inki”, pani Wiesia Korzeniowa, na otwarcie wystawy przyjechała z wnuczką. Publicznie przytoczyła wówczas znamienne słowa babci Anieli Siedzikowej, wychowującej siostry po aresztowaniu matki, żeby „zemstę pozostawić Panu Bogu”. Wiadomo, że mama „Inki” została wydana w ręce gestapo przez miejscowych komunistycznych aktywistów, należących wówczas do komitetu białoruskiego, który kolaborował z Niemcami. Białorusini mieli też swój udział w deportacjach Polaków na Syberię w latach 1939–1941, współpracowali z Sowietami, wskazując im ludzi do wywózki. Słowa wypowiedziane przez babcię Anielę Siedzikową, a teraz, po latach, zacytowane przez panią Wiesię, to były słowa przebaczenia. Przypominam je sobie, ilekroć słyszę o dzikich atakach na

obywateli. Być może wśród zadenuncjowanych osób była też Eugenia Siedzikowa, matka Danusi.

Dwa lata po wystawie w narewskim GOK Fundacja „Pamiętamy”, której przewodniczy mec. Grzegorz Wąsowski, postanowiła odsłonić w Narewce pomnik dedykowany Danusi. To był rok 2006, władzę w Polsce sprawowało Prawo i Sprawiedliwość i przede wszystkim temu należy zawdzięczać, że doszło do odsłonięcia monumentu. Opory miejscowej władzy samorządowej były bardzo duże – do ostatniej chwili starostwo w Hajnówce wstrzymywało wydanie decyzji o przyjęciu zgłoszenia na budowę pomnika, choć budowany był na terenie przykościelnym, należącym do parafii katolickiej. Jak mogli, tak okazywali swoją wroga postawę wobec „Inki”. Z władz lokalnych w odsłonięciu pomnika wzięli jedynie udział wójt Narewki i wicestarosta hajnowski. Reszta władz, radni zbojkotowali tę uroczystość.

► Tam, gdzie urodziła się „Inka”

– Pamiętam dziennikarkę, która przyjechała zbierać materiały do książki o „Ince” – wspomina Bogusław Łabędzki. – Było to wkrótce po odsłonięciu pomnika. Miałem okazję trochę pojeździć z tą dziennikarką po okolicy. Byliśmy m.in. w Gluszczewinie, tam gdzie Danką się urodziła. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy bardzo chętnie o Siedzikach opowiadali, o tym, jak zapamiętali tę rodzinę. Byliśmy też z dziennikarką u przyjaciółki szkolnej Danki, pani Aniuty, Białorusinki, która mieszka

w Olchówce. Mogliśmy spokojnie z nią rozmawiać, z jej mężem. Natomiast dosłownie rok później, kiedy przyjechała Telewizja Polska Białystok, żeby nakręcić materiał z okazji rocznicy śmierci „Inki”, rodzina przyjaciółki „Inki” wypędziła nas z domu. W krótkim czasie pojawiły się wyraźne zmiany w postawach ludzi. Dzisiaj ludzie z Głuszczerwiny zapytani o rodzinę Siedzików, najczęściej mówią: „My się nie mieszały do polityki” i milkną. Widać, że ktoś nimi manipuluje, ktoś ich nastawia.

Kiedy Bogusław Łabędzki podjął pracę katechety w Technikum Leśnym w Białowieży, pojawiły się nowe plany, pomysły. Z młodzieżą zaczął chodzić na piesze wędrówki śladami żołnierzy mjr. „Łupaszki”. Przecież to tutaj, w Puszczy Białowieskiej, był ich matecznik po przejściu z Wileńszczyzny. Postanowił wspólnie z kolegami organizować na Podlasiu podobne Rajdy „Łupaszki”, jakie były już organizowane na Pomorzu. W 2012 r. powstało Stowarzyszenie Historyczne im. Danuty Siedzikówny „Inki”, którego został prezesem. Stowarzyszenie organizuje Podlaskie Rajdy Śladami Żołnierzy 5. Brygady Wileńskiej AK. W ubiegłym roku odbył się ósmy Rajd.

– Za patronkę Stowarzyszenia przyjęliśmy „Inkę”. Zdarzało się, że musieliśmy stawać w obronie jej dobrego imienia. Zawiadamialiśmy prokuraturę o obelżywych wypowiedziach na temat „Inki”, choćby przewodniczącego Stowarzyszenia Dziennikarzy Białoruskich, Tomasza Sulimy. Tomasz Sulima słynie z chamskich ataków pod adresem „Inki”, polskich żołnierzy podziemia niepodległościowego. Środowisko białoruskie buduje swoją bazę historyczną na postawach antypolskich, w opozycji do Polski. Tomasz Sulima jest liderem Ruchu Autonomii Podlasia, nurtu myślowego, który chciałby odłączenia przynajmniej części województwa podlaskiego od Polski i przyłączenia do Białorusi. Szuka różnych postaw dla swojej idei. Nurt krytyczny wobec polskiego podziemia antykomunistycznego jest elementem wiodącym w tej działalności. Na swoje sztandary wzięli jako bohaterów Białorusinów związanych z komunistycznymi, antypolskimi organizacjami.

► *Non possumus*

Osoby, które bliżej znały „Inkę”, twierdzą, że była osobą świętą. Mimo młodego wieku nad wyraz dojrzała emocjonalnie. Jako sanitariuszka ratowała życie i opatrzyła rany nie tylko swoim, lecz też wrogom. „To też ludzie” – mówiła później.

12 stycznia ubiegłego roku Tomasz Sulima, dziennikarz miesięcznika białoruskiego „Czasopis” dotowanego przez rząd RP, działacz polityczny, napisał na Facebooku, że sanitariuszka 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej Danuta Siedzikówna „Inka” „dla prawosławnych pozostanie symbolem pogromów, rabunków i zbrodni



Bogusław Łabędzki wyróżniony nagrodą Fundacji Armii Krajowej w Londynie im. Danuty Siedzikówny „Inki”, 2015 r. W tle Adam Komorowski, syn gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”

polskiego podziemia”. Białostocką prokuraturę o wpisie Tomasza Sulimy zawiadomił Bogusław Łabędzki, prezes Stowarzyszenia Historycznego im. Danuty Siedzikówny „Inki”. 29 lutego Prokuratura Białystok Południe odmówiła wszczęcia postępowania w sprawie znieważenia narodu polskiego oraz zniesławienia „Inki”.

– Myślę, że decyzja prokuratury i droga, jaką zawiadomienie odbyło (trzy prokuratury), jest wynikiem sprzyjania środowisku białorusko-lewicowemu. Dzięki temu mamy do czynienia ze stałym szkalowaniem nie tylko żołnierzy podziemia antykomunistycznego, lecz także całej tradycji polskiej na tym terenie. Ostatnie wydarzenia dodają tylko animuszu działaczom. I w taką rzeczywistość wpisuje się ta decyzja – tak skomentował na portalu pch24.pl Bogusław Łabędzki decyzję prokuratury.

Niestety, mamy do czynienia z całym ciągiem zdażeń, które jak najgorzej świadczą nie tylko o środowisku białoruskich aktywistów, lecz także o polskich instytucjach państwowych, które tolerują szarganie naszych bohaterów narodowych. Niemal już chlebem powszednim stało się szkalowanie przez środowiska białoruskie żołnierzy podziemia niepodległościowego walczących na Podlasiu. Najbardziej brutalnie atakowanymi są kpt. Romuald Rajs „Bury” i jego żołnierze z 3. Brygady Wileńskiej NZW.

Wobec braku reakcji na szkalowanie kpt. Romualda Rajsa „Burego” ze strony instytucji państwa polskiego, przede wszystkim prokuratury, Instytutu Pamięci Narodowej, w ubiegłym roku grupa naukowców, historyków, dziennikarzy napisała list w jego obronie:

„Kapitan Romuald Rajs ps. Bury to wywodzący się z Podkarpacia zawodowy żołnierz i przedwojenny podoficer. Uczestnik wojny obronnej 1939 roku i żołnierz Armii Krajowej na Wileńszczyźnie uczestniczący w operacji Ostra Brama. W podziemiu niepodległościowym żołnierz »Łupaszki« będący dowódcą szwadronu w slyn-

nej V Brygadzie Wileńskiej AK. Po jej rozwiązaniu twórca i dowódca III Brygady Wileńskiej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, w którym dowodził Pogotowiem Akcji Specjalnej w Okręgu Białystok i otrzymał stopień kapitana. Jako żołnierz podziemia niepodległościowego walczył z władzą komunistyczną instalowaną na sowieckich bagnetach. Kapitan »Bury« wraz ze swym zastępcą »Rekinem« skazani zostali na śmierć wyrokiem sądu stalinowskiego po procesie pokazowym w Białymstoku w roku 1949. Wyrok został wykonany, zaś ciało pochowano w nieznanym miejscu. W roku 1995 Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego, działając na podstawie ustawy o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego, wydał wyrok w pełni rehabilitujący »Burego« i »Rekina«.

»Bury« jako dwukrotny kawaler orderu Virtuti Militari był jednym z żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego i jednym z bohaterów naszej wolności. Niestety, do dzisiaj jego pamięć i honor bywają szargane przez osoby źle nastawione lub nie w pełni poinformowane o istocie jego walki i służby. W tym celu podnosi się kontrowersje związane z akcjami zbrojnymi na terenie powiatu Bielsk Podlaski, w wyniku których śmierć ponieśli mieszkańcy takich wsi, jak Zaleszany, Wólka Wygonowska, Zanie, Szpaki. Trzeba więc wyjaśnić, iż »Bury« podejmował walkę w ramach ogólnopolskiego powstania antykomunistycznego, w której drugą stroną byli sowieci i komuniści, do których należeli zabici mieszkańcy wymienionych wsi. Za wolnej Polski byli oni działaczami i współpracownikami Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi deklarującymi chęć oderwania Podlasia i Białostocczyzny od Macierzy, by włączyć te polskie ziemie do Związku Sowieckiego. Za sowieckiej okupacji ci sami ludzie byli współpracownikami sowieckiego kontrwywiadu wojskowego Smiersz (Smiert Szpionam) oraz NKWD ścigającego »wrogów władzy radzieckiej«. 19 kwietnia 1945 wyznaczony przez Sowietów wojewoda białostocki wydał rozporządzenie tworzące Wiejską Straż Porządkową, czyli pre-ORMO wyposażone w broń palną służącą do strzelania w kierunku »Burego« i jego żołnierzy. Dawni działacze KPZB stawali się uzbrojonymi sowieckimi kolaborantami polującymi na żołnierzy podziemia niepodległościowego, by wydać ich w ręce władz komunistycznych. W tym sensie akcje »Burego« miały charakter zabezpieczający, gdyż pacyfikowało donosicieli gotowych wydać na śmierć ponad dwustu żołnierzy III Brygady Wileńskiej NZW. Działania kapitana »Burego« mieściły się w kanonach etycznych ujętych na przykład w pracy kapłana, etyka i żołnierza prof. Józefa Marii Bocheńskiego OP »De virtute militari. Zarys etyki wojskowej«. Oczywiście ubolewać należy nad ewentualnymi niewinnymi ofiarami walk w drewnianym terenie zabudowanym, które poniosły

śmierć bez intencji dowództwa akcji i wyniku gwałtownej dynamiki pola walki. Śmierć kobiet i dzieci, poza przypadkami wykorzystywania ich jako tarcze bojowe przez komunistycznych bojowników z bojówek PPR, była wynikiem np. uduszenia w płonących budynkach czy przypadkowego postrzału lub, w najgorszym razie, niesubordynacji pojedynczego żołnierza. Kapitan »Bury« jako zawodowy żołnierz w stopniu podoficera i oficer narodowego podziemia zbrojnego podejmował i dowodził walką z uzbrojonymi przeciwnikami niepodległości Polski i taki był cel jego licznych akcji zbrojnych, w tym tych nielicznych o charakterze zabezpieczająco-pacyfikacyjnym. Niektórzy obserwatorzy powołują się na opinię prokuratorów z białostockiego oddziału IPN jako dokument przesądzający o winie kapitana »Burego«. Trzeba zaznaczyć, iż w cywilizacji łacińskiej akt oskarżenia nie jest w żadnym razie równoznaczny z wyrokiem, który musi nastąpić w wyniku sprawiedliwego procesu i po wysłuchaniu stanowisk stron zgodnie z rzymską paremią: *audiatur et altera pars*. W tym konkretnym przypadku podstawą oskarżeń są zeznania świadków będących w przeważającej mierze pobratymcami, potomkami i stronnikami osób, które straciły życie w wyniku akcji zbrojnych III Brygady Wileńskiej NZW. Należy zachować daleko idącą ostrożność co do wiarygodności zeznań tych świadków, a nawet krytycznie zakładać, iż są one z góry niekorzystne dla »Burego« traktowanego jako historyczny i polityczny przeciwnik środowisk prokomunistycznych na Podlasiu, szczególnie wśród ludności białoruskiej. Z kolei bardzo nieliczne są zeznania świadków będących podkomendnymi »Burego« lub niezależnymi obserwatorami, co istotnie osłabia moc przedwcześniejszych konkluzji prokuratorów. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego stwierdził w uzasadnieniu wyroku rehabilitującego: »czynny te [akcje „Burego”] mogły zapobiec lub zapobiegły represjom wobec bliżej nieokreślonej liczby osób prowadzących działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, zaś ich skutkiem byłyby w wielu przypadkach śmierć, długoletnie więzienie lub deportacja w głąb byłego ZSRR [...]. Można więc określić sytuację, w jakiej znalazły się osoby wyżej wymienione [kapitan Rajs i podwładni] [...] jako stan wyższej konieczności«. Kapitan »Bury« walczył o wolną Polskę z dwoma okupantami od roku 1939 do roku 1949. Dziesięć lat walki uczyniło z niego bohatera polskiej niepodległości. Był żołnierzem Wojska Polskiego, Armii Krajowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W obronie wolności, całości i niepodległości Rzeczypospolitej strzelał do najeźdźców i okupantów niemieckich oraz okupantów i kolaborantów sowieckich. Należy do grona Żołnierzy Wyklętych – tych, którym zawdzięczamy wolną Polskę. Dlatego występujemy w obronie pamięci i honoru dowódcy III Brygady Wileńskiej NZW kapitana »Burego«.

„Największym odkryciem Piotra Curie była Maria Skłodowska. Jej największym odkryciem była promieniotwórczość”.

Frederick Soddy

Agnieszka Kowalczyk

Z ubogiej szopy po Nobla

„Jestem jedną z tych osób, które uważają, że nauka kryje w sobie wielkie piękno. Naukowiec w swym laboratorium jest nie tylko technikiem – jest także dzieckiem stojącym twarzą w twarz ze zjawiskami natury, które budzą jego zachwyt niczym bajka” – tak o swej pasji mówiła ta, której geniusz zdumiewał świat, ta, która, dokonując epokowego odkrycia, została pierwszą kobietą uhonorowaną dwiema Nagrodami Nobla, pierwszą mianowaną profesorem Sorbony, wreszcie pierwszą pochowaną wśród najwybitniejszych w paryskim Panteonie.

Pewnego dnia, gdy Maria była jeszcze dzieckiem, stanęła oczarowana przed gablotą pełną przedziwnych przedmiotów: leciutkich wag, szklanych tubelek, próbek minerałów... Wśród tych wszystkich osobliwości najbardziej zachwycił ją elektroskop. Ojciec wytłumaczył jej, że są to „przrządy fizyczne”, a nazwę tę zapamiętała na zawsze. Był to jakby moment dziecięcej inicjacji w świat nauki, mający pochłonąć Marię bez reszty. Przyszła bowiem na świat w rodzinie, w której obok miłości do ojczyzny naukę ceniono szczególnie. Już jej dziadek Józef Skłodowski – nauczyciel z powołania, pasjonat nauk przyrodniczych i zapalony bibliofil – podczas powstania listopadowego walczył w artylerii, a schwytany przez Rosjan, musiał przemaszzerować boso ponad dwieście kilometrów do obozu. Ojciec Marii przeżywał głęboko narodowy dramat i zawsze starał się wpajać swym dzieciom patriotyczne uczucia.

► Ambitna panna Skłodowska

Mania chodziła do szkoły pani Sikorskiej, która, aby wywieść w pole carskich urzędników, wprowadziła w życie podwójny plan lekcji. Uczniowie wiedzieli, że zamiast „botaniki” będzie historia Polski, a na lekcji „języka niemieckiego” – ojczysta literatura. Byli też przygotowani na nagłą inspekcję i po usłyszeniu ostrzegawczego dzwonka natychmiast chowali polskie podręczniki.

Władysław Skłodowski – ojciec Marii, uzdolniony matematyk i fizyk – był wówczas wicedyrektorem gimnazjum na Nowolipkach i prowadził też tajne komplety, co ostatecznie zakończyło się zwolnieniem z pracy i utratą mieszkania. Miał wtedy na utrzymaniu pięcioro dzieci i ciężko chorą na gruźlicę żonę. Postanowił więc otworzyć prywatną szkołę z internatem dla chłopców. Jeden z nich dostał tyfusu, a od niego zaraziły się Zosia i Bronia. „Okropne były to tygodnie! Tu dogorywająca matka usiłowała [...] stłumić coraz gwałtowniejsze ataki kaszlu – obok siostry jęczały, rzucały się w gorączce. Aż wreszcie pewnej tragicznej środy, ojciec zaprowadził Józia, Helę i Manię do swojej najstarszej dziewczynki. Biała ubrana i [...] piękną jak marzenie [...] ujrzeli po raz ostatni. [...] To było pierwsze zetknięcie Mani ze śmiercią”. Niedługo potem umarła jej mama. Dziesięcioletnią Manię życie zraniło bardzo wcześniej i bardzo dotkliwie. Przed rozpaczą chroniła się w świat nauki. W szkole była nadal wzorową uczennicą, a gimnazjum ukończyła ze złotym medalem – pierwszym swym wielkim trofeum.

Po okresie intensywnej nauki i bolesnych przeżyć ojciec wysłał ją na roczne wakacje, by na wsi nabrała sił i odzyskała psychiczną równowagę. W Zwoli, Skalbmierzu, na Kępie, a nawet w Zakopanem spędzała radosne

i beztroskie chwile. Zasmakowała w długich spacerach, łowieniu ryb, zbieraniu poziomek, kręceniu hula-hop, zabawie w berka i grze w palanta. W tym „magicznym roku” krewni obsypywali ją prezentami, sanie mknęły w gwiaździstą noc od jednego do drugiego dworu, uczty, flirty i tańce trwały do białego rana. Ten rok spędzony na łonie natury zbudził w Marii niesłabnącą nigdy miłość do wsi, przyrody, drzew i kwiatów.

Po tych najpiękniejszych wakacjach jej młodości nadszedł czas, by poważnie zastanowić się nad przyszłością. Razem z siostrą miały wielkie marzenia. Bronia chciała zostać lekarzem, a Maria naukowcem. Uniwersytet Warszawski był jednak zamknięty dla kobiet, ale ambitne panny Skłodowskie nie traciły nadziei. Maria wpadła wtedy na genialny pomysł. Postanowiła, że zostanie guwernantką i połowę swej pensji będzie posyłać Broni, by ta mogła studiować medycynę na Sorbonie. Później zaś Bronia pomoże kształcić się Marii w Paryżu. Siostra, doceniając wielkość ofiary, chciała odmówić, miała lzy w oczach, ale Maria już zdecydowała. Znalazła pracę w Szczukach pod Warszawą. Z zapalem oddała się kształceniu córek i syna państwa Żórawskich oraz szlachetnej misji nauczania chłopskich dzieci w języku polskim, co było niemałym aktem odwagi, gdyż takie tajne komplety w dworskiej kuchni mogły się skończyć zesłaniem na Sybir. Życie Marii skomplikowało się jednak niespodziewanie, gdy wiosną przyjechał do domu najstarszy syn Żórawskich, Kazimierz, student matematyki na Uniwersytecie Warszawskim. Zastał tu „młodą nauczycielkę, która ładnie tańczy, [...] wiosłuje, doskonale jeździ konno i powozi, zarazem będąc kulturalną, inteligentną, dobrze wychowaną”. Maria zakochała się w owym czarującym młodzieńcu, lecz Kazimierz nie miał na tyle odwagi, by przeciwstawić się rodzicom, którzy szukali dla niego świetnej partii, a nie guwernantki bez grosza przy duszy. Upokorzona i zraniona opuściła więc dom Żórawskich, zerwała z Kazimierzem i podjęła nieodwołalną decyzję o wyjeździe do Paryża.

► Na wymarzonej Sorbonie

Z końcem listopada 1891 r. pożegnała się z ojcem, spakowała wszystkie swoje rzeczy, kupiła najtańszy bilet i wsiadła do pociągu. Stolica Francji stała przed nią otworem, a zwłaszcza gościnny dom państwa Dłuskich – Broni, która ukończyła już medycynę, i jej męża Kazimierza. Maria była oszołomiona Paryżem, a zwłaszcza Sorboną. Na Wydziale Nauk Ścisłych kształciło się wówczas około dwóch tysięcy studentów, w tym dwadzieścia trzy kobiety, a wśród nich panna Skłodowska. Jej profesorami byli m.in. Gabriel Lippmann – przyszły zdobywca Nagrody Nobla za wyalenie kolorowej fotografii, oraz wybitny matema-

tyk i fizyk Henri Poincaré prowadzący badania nad „mechaniką nieba”.

Maria „niczym splekana ziemia” chłoneła wiedzę, zapominając o całym świecie. Wyprowadziła się nawet z domu siostry, by uzyskać całkowity spokój. Wynajęła mały, nieogrzewany pokój na poddaszu w Dzielnicy Łacińskiej. Czasem udało się jej kupić wiadro węgla, ale nie zawsze miała czym napalić. Wówczas to trzęsła się z zimna i nie mogła zasnąć, a więc „otwierała kufer, wyjmowała bluzki, suknie, bieliznę. Ile się dała, nakładała na siebie, resztę zaś rzuciła na kołdrę i ponownie wsuwała się do łóżka. Jednak jeszcze jest zimno. Więc leżąc, wyciągała rękę, chwyciła krzesło, unosiła je i kładła na wierzchu, na stosie ubrań, żeby je przycisnąć [...]”. A tymczasem skorupka lodu tworzyła się z zimna na wodzie w miednicy”. Maria jednak ustaliła, że „problem głodu i zimna nie istnieje”. Herbata, czekolada, trochę chleba i owoców – to był jej zwykły jadłospis, który urozmaicała od święta kawałkiem mięsa bądź jajkiem. Te cztery lata, to jak mówiła, „heroiczna epoka” jej życia, to czas najdoskonalszy, bo „najbliższy owych szczytów ludzkiego posłannictwa”.

Gdy zbliżały się terminy pierwszych egzaminów, Marii ciągle zdawało się, że nie jest dostatecznie przygotowana. Po otrzymaniu arkusza z pytaniami była tak przerażona, że nie mogła niczego odczytać i dopiero po dłuższej chwili opanowała nerwy. Na wyniki czekała z bijącym sercem. Wtem pojawił się egzaminator, niosąc listę zdających ułożoną od najlepszych do najgorszych wyników. A pierwsze nazwisko, które wymienił, brzmiało – Maria Skłodowska. To było jak sen. Nie mogła uwierzyć w swoje zwycięstwo i uciekła z auli Sorbony.

Pierwszy rok studiów kończył się, a oszczędności topniały. Pomoc przyszła jednak niespodziewanie. Pewna Polka, poznając losy Marii, wykorzystała swoje wpływy i sprawiła, że pannie Skłodowskiej przyznano Stypendium Aleksandrowicza w wysokości 600 rubli. Ta suma wystarczyła zdeterminowanej studentce na kolejne piętnaście miesięcy życia w Paryżu. W 1894 r. uzyskała licencjat nauk matematycznych. Niebawem zaś, równie nieoczekiwanie, otworzyła się przed nią perspektywa pracy naukowej. Mianowicie profesor Gabriel Lippmann zaproponował jej podjęcie badań nad magnetycznymi właściwościami różnych rodzajów stali, ale cały sprzęt nie mieścił się w małym laboratorium. Wtedy profesor Kowalewski skontaktował ją z pewnym utalentowanym fizykiem, by pomógł rozwiązać jej ten problem. A był to Piotr Curie, jeden z najlepszych specjalistów w dziedzinie praw magnetyzmu.

► Geniusz i miłość

Wówczas to młoda studentka zobaczyła postawę nego mężczyzny, o kasztanowych włosach i jasnych

oczach. „Nie podobna było nie zauważyć od razu jego niezmiernej dystynkcji i inteligencji, która od niego po prostu promieniowała”. Od razu ujął Marię swą serdecznością i po tym pierwszym spotkaniu chciał widywać ją coraz częściej. Ona zaś po bolesnych przeżyciach młodości „wykreśliła z programu swojego życia małżeństwo i miłość”. Najważniejsza dla niej była misja naukowa. Z takiego samego założenia wychodził Piotr Curie. Miał wówczas 34 lata i wciąż mieszkał z rodzicami, uważając, że „kobieta znacznie silniej od nas kocha życie dla życia – genialne kobiety są rzadkością”. O tym, jak bardzo się mylił, świadczył fakt, że oto właśnie na swej drodze spotkał taką „kobietę-geniusza”, która od razu zrozumiała jego naturę i duszę. Piotr zakochał się w Marii niemal do szaleństwa, tak iż nawet gotów był opuścić Francję i zamieszkać w jej ojczyźnie. Gdy latem wyjechała do Warszawy, drżał w obawie, że już nie wróci, i słał do niej miłosne listy. „Byłoby to jednak tak pięknie – pisał – gdybyśmy spędzili życie jedno obok drugiego, zapatrzeni oboje w nasze marzenia”. I tak też się stało. Maria i Piotr przysięgli sobie miłość 26 lipca 1895 r. podczas skromnej ceremonii ślubnej, a po przyjęciu w ogrodzie rodziców pana młodego wybrali się w podróż na rowerach, które kupili sobie w prezencie. Podczas niebanalnej „włóczęgi poślubnej” beztrudnie przemierzali wybrzeża Bretanii i góry Auvergne, wędrowali po lasach, kontemplowali ciszę jezior, podziwiając faunę i florę tych uśpionych wód. Maria na zawsze zapamięta chwilę, kiedy Piotr obdarował ją wielkim bukietem bładożółtych kosaćców i nenufarów. Do Paryża powrócili jeszcze bardziej zakochani w sobie, mając odtąd wieść życie naznaczone tytaniczną pracą. Urządzili się w mieszkaniu złożonym z trzech klatek bardzo skromnie umeblowanych, bo do czego służyć by im miały kanapy i fotele, skoro postanowili nie wydawać żadnych przyjęć i żyć tylko dla nauki.

Piotr wystarał się dla Marii o niewielkie pomieszczenie do prowadzenia badań nad magnetyzmem różnych rodzajów stali. Praca w laboratorium była dla niej prawdziwym szczęściem, ale postanowiła też zostać wzorową gospodynią. Wcześniej nie potrafiła nawet ugotować rosółu, a teraz kupiła sobie książkę kucharską i rozpoczęła swe kulinarne eksperymenty. „O ileż wygodnie wygodnie i łatwiej żywić się chlebem i herbatą, rzodkiewkami, garstką wiśni!” – myślała, wdychając nad kuchenką.

W tym czasie zdała egzamin konkursowy uprawniający do nauczania w szkołach średnich i seminariach, uzyskując pierwszą lokatę. Uradowana udała się wraz z Piotrem na krótkie wakacje do Owernii. 12 września 1897 r. przyszła na świat ich córka Irena – piękna, zdrowa dziewczynka, która kiedyś, podob-

nie jak rodzice, poświęci się pracy naukowej. W tym też szczęśliwym roku Maria ogłosiła światu rezultaty pierwszych swoich badań nad magnetyzmem stali, za które otrzymała Nagrodę Gegnera. Musiała teraz myśleć o wszystkim. Bardzo ciężko było jej pogodzić badania w laboratorium z opieką nad małą Irenką. Odkrywała wtedy „fizykę i chemię – i całe życie kobiety”. Na szczęście na ratunek wyczerpanej i przygnębionej Marii pospieszył teść, doktor Eugène Curie, który poza ukochaną wnuczką świata nie widział.

Teraz już Maria „wybierała się na spotkanie ze Sławą. I robiła się przedziwnie piękna na tę uroczystość”. Była w pełni gotowa, by rozpocząć swój doktorat. Trzeba było tylko wybrać temat. Marię zainteresowały badania Henriego Becquerela, który odkrył, że sole uranu wytwarzają własną energię pod postacią promieni. Nikt jednak do tej pory nie wiedział, jakie to są promienie, jakie jest ich źródło i charakter. Przed Marią otwierało się więc fascynujące pole badań. Dzięki staraniom Piotra udało się wygospodarować dla niej oszkloną pracownię na parterze budynku Szkoły Fizycznej. Było to jednak pomieszczenie wilgotne i ciśnie, maszynownia i rupieciarnia zarazem, a narzędzia techniczne prymitywne. Marii to jednak nie zrażało. Im wnikliwiej badała promienie uranu, tym bardziej wydawały się jej niezwykle. Dniami i nocami nurtowało ją pytanie, czy promieniowanie jest jedynie atomową właściwością uranu, czy też zdolność tę posiadają i inne ciała. Postanawia więc przebadać pod tym kątem wszystkie dotychczas znane pierwiastki i stwierdzi, że samorzutnie promieniają także związki toru. Zjawisko, które odkryła, nazwała „promieniotwórczością”, a pierwiastki posiadające własność promieniowania (uran i tor) – pierwiastkami promieniotwórczymi.

► „Na tropie dwóch złoczyńców”

Podczas gdy Maria z uporem poddawała dogłębnej analizie ciała aktywne promieniotwórczo, niespodziewanie okazało się, że niektóre próbki mają promieniowanie o wiele silniejsze niż wynikałoby to z zawartej w nich ilości uranu czy toru. Dlatego wysunęła kolejną, bardzo odważną hipotezę, że owo silne promieniowanie dowodzi obecności jakiegoś nieznanego dotąd pierwiastka, którego istnienie należy udowodnić. Pod wpływem tego niesamowitego odkrycia Marii, Piotr porzucił swoje badania nad kryształami i stanął u jej boku w laboratorium. Odtąd siły ich były zdwojone, a ich wspólna praca trwała będzie przez osiem lat, aż do tragicznej śmierci Piotra.

Teraz zaś małżonkowie wszystkie swe siły koncentrowali na badaniu jednej z rud uranowych

– blendy smolistej, zwanej smółką uranową, która w stanie surowym jest cztery razy aktywniejsza niż wydobyty z niej czysty tlenek uranu. Przypuszczali bowiem, że w badanej rudzie nowy pierwiastek musi występować w śladowych ilościach. Toteż najpierw wydzielili drogą zwykłej chemicznej analizy ciała wchodzące w skład smółki, a następnie określali ich promieniotwórczość, powoli skupiając się na tych, które wykazywały największą aktywność. Ta metoda przypominała ich córce Ewie tropienie złoczyńcy przez policję i wykluczanie kolejno tych podejrzanych, przeciwko którym nie zebrano dostatecznych dowodów winy, a skupianie się na tych, na których jest najwięcej materiałów. W praktyce okazało się, że państwo Curie „tropili” nie jednego, lecz dwóch „złoczyńców” jednocześnie. Wykryli bowiem, że promieniotwórczość koncentruje się głównie w dwóch chemicznie odrębnych frakcjach rudy, co świadczyło o tym, że istniały w niej dwa odrębne pierwiastki radioaktywne. Już w lipcu 1898 r. odkryli jeden z nich. Maria nazwała go „polonem” na cześć swojej ukochanej ojczyzny. Pod koniec roku zaś państwo Curie ogłosili na posiedzeniu Akademii Nauk istnienie w smółce uranowej drugiego promieniotwórczego pierwiastka nazwanego przez nich radem.

► „Robaczki świętojańskie” w mrocznej szopie

Polon i rad zostały zatem odkryte, ale należało je jeszcze wydzielić. I to dążenie do uzyskania czystego radu stało się obsesją Marii. Naukowców niezmiennie intrygowały badania małżonków, lecz żądali od nich twardych dowodów, powtarzając ustawicznie: „Nie ma ciężaru atomowego, nie ma radu. Pokażcie nam wasz rad, to wam uwierzymy”. Aby udowodnić, że istnieje on naprawdę, państwo Curie musieli zdobyć ogromne ilości blendy smolistej, w której rad i polon występowały w mikroskopijnych ilościach. Nie mieli jednak pieniędzy, by zakupić potrzebną rudę. Na szczęście rząd austriacki zgodził się przekazać im za darmo porznięte bezwartościowe odpady smółki uranowej, z której pozyskano już uran. Teraz należało znaleźć odpowiednie miejsce do pracy, co graniczyło z cudem. Jedynie Szkoła Fizyczna, w której wykładał Piotr, udostępniła im... drewnianą szopę w podwórzu, z dziurawym dachem. Kiedyś przeprowadzano tam sekcje zwłok, ale wskutek złych warunków zrezygnowano i z tego. W środku znajdowało się kilka zniszczonych kuchennych stołów, tablica i stary żelazny piecyk z zarzdzewiałą rurą.

Któregoś dnia przed Szkołą Fizyczną zajeżdżał wóz konny. Małżonkowie jak szaleni wybiegli na dziedziniec. Rozentuzjasmowana Maria krzyczała: „Jest smółka uranowa, jest moja smółka!”. Cała drżała

z niecierpliwości. Chciała natychmiast ujrzeć swój skarb. Nie czekając ani chwili dłużej, rozcięła sznurek i zanurzyła dłoń w mialkiej, brunatnej substancji pomieszaną z sosnowymi igłami. Wielce podekscytowana wpadła do laboratorium i patrząc na smółkę, mówiła do siebie: „Tu kryje się rad. Trzeba go wydobyć, chociażby przyszło poświęcić temu całe życie”. Odtąd Marię najczęściej można było spotkać na podwórzu w starym, poplamionym fartuchu, w dymie, który szczypał oczy i gardło, gdyż sama wybrała „męskie” prace, zmuszona przerabiać dwadzieścia kilo smółki naraz. Całymi godzinami mieszała gotującą się masę w żelaznym kotle.

Rad oświadczył umysłami i sercami małżonków. Stał się ich namiętnością i obsesją, nieodłączną częścią ich życia – „kapryśny, jak żywa istota, zniewalający jak miłość – wzywa ich ku swej siedzibie”. Późnym wieczorem, po ciężkim dniu pracy, gdy Maria uśpiła już Irenę, odczuła nieodpartą pokusę powrotu do laboratorium. Tego samego pragnął Piotr. Zakładają więc płaszcze, wymykali się z domu i oto byli już w swoim królestwie. Nie zapalali światła, bo rad jest świecący i w ciemnej szopie jego cenne drobiny fosforyzowały w szklanych naczyniach porozstawianych wszędzie, „błyszczały, jakby zawieszone w nocnej czerni”. Maria przyglądała się tym bladym błyskom w mroku i ciszy. To dla niej wieczór „robaczek świętojańskich”. Patrząc na to niezwykle zjawisko, wiedziała, że jest już o krok od upragnionego celu. Wreszcie wielkie zwycięstwo! W lipcu 1902 r. wydzieliła jeden decygram czystego radu i określiła jego ciężar atomowy – 225. Oto udowodniła niezbicie istnienie nowego pierwiastka!

Dla Marii był on ciągle cudownym, niepojętym ciałem. W postaci chlorku wygląda jak biały, matowy proszek podobny do soli kuchennej, ale jego promieniowanie przewyższa dwa miliony razy promieniowanie uranu. Samorzutnie wydziela ciepło, wytwarza hel i ciało gazowe zwane emanacją. Działa fosforyzująco na inne ciała. Jest jak choroba zakaźna, bo przenosi się na przedmioty martwe, zwierzęta, rośliny i ludzi, którzy z nim obcuja. Ale rad jest też pożyteczny. Istnieje dla dobra ludzkości. Wkrótce miał stać się narzędziem walki z rakiem. Maria nie rozstała się nigdy ze swym pierwszym gramem radu, zwłaszcza że przerobiła w swej szopie osiem ton smółki uranowej.

► Spotkanie ze sławą

Wreszcie przyszedł czas na laury. W 1903 r. słynne Royal Institution w Londynie zaprosiła Piotra Curie, aby na uroczystym zebraniu wygłosił odczyt o radzie. I oto wieczorem lord Kelvin siedział obok Marii – pierwszej kobiety, którą dopuszczono na posiedze-

nie tej najbardziej prestiżowej instytucji naukowej. Wykład Piotra o właściwościach radu wywołał ogólny entuzjazm, tak iż nazajutrz cały Londyn chciał poznać „rodziców radu”. Urządzało się dla nich bankiety i przyjęcia. Piotr czuł się na nich nieswojo, a Marii wśród tysięcy zwróconych na nią oczu wydawało się, że jest jakimś „zwierzęciem przedziwnym, wybrakiem natury: kobietą-fizykiem”. Piotr zwierzył się jej, że podczas bankietu liczył, ile laboratoriów można by wybudować za cenę brylantów, które zdobią szyje zaproszonych dam, i doszedł do sum astronomicznych. Towarzystwo Królewskie w Londynie przyznało państwu Curie jedno z najwyższych odznaczeń w świecie nauki – medal Davy’ego. Wcześniej Maria była już trzykrotnie laureatką Nagrody Gegnera. W czerwcu 1903 r. obroniła „bardzo zaszczytnie” swoją rozprawę doktorską: „Badania nad ciałami promieniotwórczymi” i tym samym jako pierwsza kobieta we Francji osiągnęła tak wysoki poziom wykształcenia. Rzeczowo przedstawiała wyniki swych badań, a jej zdawałoby się suche, naukowe wywody zmieniały się w „płomień, blask, entuzjazm, który otacza jedno z największych odkryć stulecia”. Były to dopiero zapowiedzi prawdziwego tryumfu odkrywczyń radu. Oto 10 grudnia 1903 r. Akademia Nauk w Sztokholmie ogłosiła przyznanie Nagrody Nobla państwu Curie oraz Henrykowi Becquerelowi za pracę w dziedzinie promieniotwórczości. Tak też Maria Skłodowska-Curie stała się pierwszą kobietą, która otrzymała Nagrodę Nobla.

► „Byliśmy szczęśliwi...”

Po pierwszym Noblu przed Marią jeszcze wiele lat badań nad pierwiastkami promieniotwórczymi. Wspólnie z Piotrem pracowali teraz nad precyzyjnym dozowaniem radu i zaczęli osiągać prawidłowe wyniki. Byli szczęśliwi. Na świat przyszła ich druga córka Ewa. Każdy dzień i każdy nawet najmniejszy sukces zbliżał ich do siebie jeszcze bardziej. Prawdziwą sielanką były dla całej rodziny ferie wielkanocne 1906 r., kiedy wyprawili się na wieś. Radośnie usposabiała wszystkich przecudna słoneczna pogoda. Irena goniła za motylami po kwietnej łące, czternastomiesięczna Ewa bawiła się bez troski na kocyku, a Piotr z miłością patrzając na Marię, mówił: „Dobrze mi było żyć z tobą” i ofiarował jej słoneczny bukiet jaskrów. Tego dnia spacerowali po lesie, szukali stawu pełnego kiedyś lilii wodnych i nenufarów, zbierali pierwsze fiołki i barwinki. Cieszyli się jeszcze słońcem, wsią, cichym wieczorem, sycili się swoim szczęściem, zupełnie nie podejrzewając, jaką tragedię gotuje im los.

Oto w czwartkowy, ponury wieczór, 19 kwietnia, Piotr znalazł się na najbardziej ruchliwym i niebez-

piecznym skrzyżowaniu Paryża. To był zaledwie ułamek sekundy. Wychodząc zza dorożki, zderzył się nagle z zaprzężonym do towarowego wozu ogromnym, dyszącym koniem, który stanął dęba. Piotr padł pod jego kopyta: „Stać! stać” wołają przechodnie. [...] Na próżno – ciężki z góry jadący wóz nie może się zatrzymać. Piotr leży na ziemi [...], ale żyje i nawet nie jest ranny. [...] Może się stanie cud?! Lecz sześciotonowa masa posuwa się z rozpędem jeszcze kilka metrów [...], tylne koło natrafia w swej drodze na wątlą przeszkodę, którą miażdży; pęka czaszka, coś czerwonego, lepkiego bryzga na bruk, w błoto. Mózg Piotra Curie” – tak opisała śmierć ojca Ewa. Owego tragicznego kwietniowego wieczoru Maria została wdową i zarazem „nieuleczalnie, żałośnie samotnym człowiekiem”.

Po śmierci męża nie zaniechała jednak pracy, która stała się dla niej antidotum na psychiczne cierpienie. Wkrótce została pierwszą kobietą prowadzącą wykłady na paryskiej Sorbonie, obejmując katedrę fizyki po zmarłym Piotrze. W 1911 r. otrzymała drugą Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za „uzyskanie wystarczająco czystych próbek polonu i radu”. Jej dziełom było otwarcie Instytutu Radowego w Paryżu, w którym dokonywano badań z zakresu fizyki, chemii, biologii i medycyny. Z jej inicjatywy rozpoczęto też budowę Instytutu Radowego w Polsce. Pani Curie osobiście położyła pierwszą cegłę pod jego fundamenty. Poświęcony 29 maja 1932 r. istnieje do dziś jako Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Wybuch wojny w 1914 r. rozpoczął heroiczny okres samarytańskiej działalności Marii na frontach. Nasza noblistka wpadła na pomysł, by zarekwirować z paryskich pracowni aparaty rentgenowskie i zorganizować specjalne ambulanse do prześwietleń tysięcy rannych żołnierzy. Pojazdy te nazywano „małymi Curie”. Takim „ruchomym punktem rentgenowskim” sama przemieszczała się z miejsca na miejsce, niosąc pomoc ofiarom wojny. Po jej zakończeniu cieszyła się z odzyskania niepodległości swej ojczyzny, o której nigdy nie zapomniała, stając się ambasadorką nauki na świecie.

Patrząc z perspektywy lat na swoje życie, Maria z rozrzewnieniem wspominała zawsze te odległe czasy, gdy wspólnie z Piotrem w nędznej szopie prowadzili badania nad tajemniczym radem: „Byliśmy w tym okresie całkowicie pochłonięci nową dziedziną wiedzy, która się dzięki niespodziewanemu odkryciu przed nami otwierała. Mimo trudnych warunków pracy czuliśmy się ogromnie szczęśliwi. Całe dnie spędzaliśmy w laboratorium. W naszej ubogiej szopie panował wielki spokój; [...] kiedy było nam zimno pokrzepiała nas szklanka gorącej herbaty. Żyliśmy jedną tylko myślą, jak we śnie”. Były to dla Marii najlepsze i najszczęśliwsze dni jej życia. ■



Piotr Lisiewicz

Był marzec 1933 r., urząd kanclerza Niemiec sprawował już Adolf Hitler. Czym zajmował się w tym czasie Emile Vandervelde, przywódca belgijskich socjalistów i II Międzynarodówki? Walką z cenzurą, ograniczeniami wolności słowa w Polsce. O tym opowiada korespondencja z Belgii, zamieszczona wówczas w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, którą dzisiaj przedrukowujemy.

Walka z antypolską propagandą na świecie, sterowaną przez nieżyczliwe nam mocarstwa, była zawsze dla niepodległościowych elit czymś oczywistym. To tylko w III RP po 1989 r. było inaczej. Ignacy Matuszewski pisał o jej korzeniach zrodzonych „w buduarach” carycy Katarzyny tak: „Przecież propaganda antypolska trwa nieprzerwanie od lat niemal dwustu. Przecież zaczyna się od Katarzyny II i Fryderyka II – a kończy się na III Międzynarodówce i wszystkich piątych kolumnach narodowo-socjalistycznych świata. Kogóż tam nie ma wśród tych kupionych albo ideowych oszczerców? Od genialnego nieuka, jakim był J.J. Rousseau, poprzez złośliwe kłamstwa Bakunina... poprzez naukowe wywody Kautsky’ego i kobiecą histerię Róży Luksemburg... aż do codziennego paszkwilu w »Humanité« albo periodycznego paszkwilu w »Daily Worker«, ciągnie się – zrodzone w buduarach najcyniczniejszej autorki świata – oskarżenie Polski o obskurantyzm, malowanie jej jako zacofanego państwa jezuitów, jako siedziby papistowskiej inkwizycji, znęcającej się nad każdym, kto myśli lub pracuje”.

Ale obok owej propagandy „oświeconej” „biegnie inna, nie mniej konsekwentna nić propagandy. Z Rousseau sąsiaduje Metternich, z [...] Różą Luksemburg – Alfred Rosenberg, z »Humanité« – »Völkischer Beobachter«. Bo choć Bismarck dowodzi czegoś wprost przeciwnego niż Bakunin – cel jego jest ten sam: przekonanie opinii świata, że Polska istnieć nie może i nie powinna” – stwierdzał Matuszewski.

A my przeczytajmy, co mówili odpowiednicy obecnych protektorów KOD-u w marcu 1933 r.

Krajem terroru jest przede wszystkim... Polska

Zaburzenia w Niemczech to po prostu igraszka wobec „prześladowań”, jakich terenem jest Polska. Nikomu tam nie wolno wymówić głośno jednego słowa przeciw rządowi, gdyż jest się natychmiast aresztowanym. Władze znęcają się nad więźniami politycznymi.

„Strateg” drugiej Międzynarodówki Vandervelde szkaluje w niesłychany sposób Polskę. Korespondencja własna „Ilustrowanego Kurjera Codziennego”, Bruksela, w marcu 1933

Od dłuższego czasu ani Vandervelde, ani organ socjalistów belgijskich „Le Peuple” nie zajmował się Polską. Aż oto znowu odezwał się. W jednym z ostatnich numerów „Le Peuple” czytamy artykuł wstępny o Polsce, podpisany przez Emila Vanderveldego. Czego on o kraju naszym nie pisze? Zaburzenia w Niemczech to po prostu igraszka wobec „prześladowań”, jakich terenem jest Polska. Nikomu tam nie wolno wymówić głośno jednego słowa przeciw

rządowi, gdyż jest się natychmiast aresztowanym. Władze znęcają się nad więźniami politycznymi. Na tę nutę wypisane jest tam pół strony. Materiał oczywiście czerpany ze słynnej „Czarnej broszury”, jaką wydał kiedyś sam Vandervelde o Polsce. Jest to jedno z najbardziej skandalicznych wystąpień, jakie kiedykolwiek zanotowaliśmy. Gwałtowność tego ataku jest tak wielka, iż wywołała ona nawet zdziwienie wśród samych socjalistów, z którymi korespondent Wasz rozmawiał. Robota ta jest jednak szy-

ta tak grubą nitką, iż trudno jest po prostu nie zrozumieć, o co właściwie Vanderveldemu chodzi.

Nie musimy tu dużo pisać o przywódcy drugiej Międzynarodówki, jeśli chodzi o stosunek jego do Polski. W 1920 roku, gdy bolszewicy zbliżali się pod Warszawę, Vandervelde sprawował urząd ministra sprawiedliwości w słynnym gabinecie Delacroix, na którego miał wpływ wszechmocny. Z jego to inicjatywy socjaliści belgijscy zorganizowali sabotaż amunicji, jaki szedł przez Antwerpię do Polski. Robotnicy portowi urządzali strajki, ażeby przeszkodzić w ładowaniu na statki, które miały transportować ją do Polski. Polaków, którzy chcieli zastąpić strajkujących robotników, terroryzowano. O tem niesłuchanem stanowisku belgijskiej partii socjalistycznej odpowiednio pisał w swoim czasie warszawski „Robotnik” w korespondencjach z Belgii.

Nie przeszkodziło to wcale Vanderveldemu powiedzieć w roku ubiegłym w parlamencie belgijskim, iż w odrodzeniu Polski widział jeden z najpiękniejszych ak-

w w Belgii i Francji przez swe apostołowanie „pokojujowości” Niemiec doprowadzili w końcu do tego, iż te zdołały polityką szantażów i mydleniem oczu zdobywać po kolei drogą ciągłych ustępstw rozmaite przywileje, by w końcu doprowadzić do zera rezultaty zwycięstwa koalicji w wielkiej wojnie.

Dzisiaj gdy w Niemczech pozamykane są pisma socjalistyczne i współpracownicy ich siedzą w więzieniu, gdy terror szerzy się tam z niezwykłą gwałtownością i na domach socjalistycznych wiszą sztandary Hitlera, Vandervelde musi stanąć przed opinią publiczną i swą partią jako jeden z winowajców.

Wrażenie, jakie wypadki w Niemczech zrobiły wśród socjalistów belgijskich, jest po prostu katastrofalne. Wywołało to rzecz oczywista reakcję wobec ludzi, którzy do tak szalonej kompromitacji doprowadzili i socjaliści belgijscy przede wszystkim zwrócili się przeciw Vanderveldemu. Popularność tego „milionera ideowca” spadła w ostatnich czasach niemal do zera. Nigdy nie cieszył się

VANDERVELDE BYŁ W CIĄGU OSTATNICH CZTERNASTU LAT NA TERENIE MIĘDZYNARODOWYM JEDNYM Z NAJBARDZIEJ GORLIWYCH ADWOKATÓW NIEMIECKICH.

NIE POMINAŁ ŻADNEJ OKAZJI, AŻEBY TEGO NIE ZADOKUMENTOWAĆ OTWARCIE, JAK RÓWNIEŻ NIE PRZEPUŚCIŁ ON ŻADNEJ SPOSOBNOSCI ZAATAKOWANIA POLSKI, W CZYM MU, ZRESZTĄ W LATACH OSTATNICH POMAGALI SOCJALIŚCI POLSCY W MIARĘ POTRZEBY.

tów traktatu wersalskiego. Słowa te powiedział ten sam człowiek, którego cała akcja z 1920 roku zmierzała do tego, ażeby wydać Polskę na łup bolszewikom i którego partia w roku ubiegłym wystąpiła z drakońskim projektem wyrzucenia z Belgii robotników polskich w imię... międzynarodowości swych poglądów...

Vandervelde przez cały czas występował przeciw Polsce. W tym samym okresie oddawał on Niemcom niezliczone usługi, stając się na terenie międzynarodowym, jak również i w Belgii, najzaciętszym obrońcą „pokrzywdzonych” Niemiec. Jemu między innymi można podziękować za ewakuację Nadrenii – jeden z największych błędów, jakie popełniła koalicja wobec Niemiec i do czego dziś się przyznają otwarcie wybitni politycy europejscy.

Vandervelde był w ciągu ostatnich czternastu lat na terenie międzynarodowym jednym z najbardziej gorliwych adwokatów niemieckich. Nie pominął żadnej okazji, ażeby tego nie zadokumentować otwarcie, jak również nie przepuścił on żadnej sposobności zaatakowania Polski, w czym mu, zresztą w latach ostatnich pomagali socjaliści polscy w miarę potrzeby.

Przywódca drugiej Międzynarodówki zaangażował się po stronie niemieckiej. On i jemu podobni politycy

on pełnym zaufaniem rzesz roboczych, dziś jednak tracisz wpływy, jakie posiadał.

Na tym tle można dopiero zrozumieć antypolskie wystąpienie Vanderveldego. Gdy w Niemczech socjaliści nie śmiały podnieść głowy pod obuchem terroru, Vandervelde tego nie widzi, chociaż jest przywódcą drugiej Międzynarodówki. Tymczasem jednak w Polsce znajduje on tyle materiału, iż pozwala sobie do wydania opinii, iż jest w niej gorzej niż w Niemczech!

Wystąpienie Vanderveldego w „Le Peuple” zakrawa na tragicomedie. Dziennik socjalistyczny absolutnie nie widzi tego, co się dzieje w Niemczech, i pisze o tych wypadkach bardziej uspokajająco niż oficjalne biuro Wolffa. Dlatego też znalezienie starego „konika” antypolskiego w podobnej chwili jest tak zwanym „posunięciem strategicznym”, mającym na celu odwrócić uwagę socjalistów belgijskich od tego co się dzieje w Niemczech.

Ani Vanderveldego, ani miejscowego organu socjalistów „Le Peuple” nie możemy brać poważnie. Trzeba jednak występ ten zanotować, przygwoździć, czekając na relację ze strony... polskich członków II Międzynarodówki. ■

Przedruk za: „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, 25 marca 1933, nr 84



Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Zatrute jabłko Martina Scorsese

Japonia, XVII wiek, ciężkie czasy dla chrześcijan. Samurajowie używają bardzo przebiegłych metod, by zmuszać prześladowanych do wyrzekania się wiary w Jezusa Chrystusa. A Martin Scorsese w filmie „Milczenie” używa równie przebiegłych metod, by zrelatywizować zło i oddać hołd nie, jak sam określił, chrześcijanom, a raczej powiedzeniu „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”.

Portugalscy księża jezuitów, Sebastiao Rodrigues (Andrew Garfield) i Francis Garupe (Adam Driver), dowiadują się, że ich mistrz, ojciec Cristovao Ferreira (Liam Neeson), który udał się w niebezpieczną podróż do Japonii, by wspierać tamtejszych chrześcijan, wyrzekł się Boga. Jego uczniowie, nie dając wiary tym doniesieniom, postanawiają odnaleźć duchownego i zdementować te hańbiące ich zdaniem plotki. Wiedzą, że podróż ta jest obarczona wysokim ryzykiem. Jednak skala prześladowań i metody, jakimi posługują się władcy czczący Buddę, przerasta znacznie ich najstraszniejsze wyobrażenia.

► 30 srebrników za Jezusa

Najlepiej, by nie wychodzili z piwnic i żyli w milczeniu. Mimo że w promieniu wielu kilometrów otacza ich pustka. W takim zastraszaniu żyć muszą jezuita po dotarciu do Japonii. Za informację o ukrywającym się chrześcijańskim duchownym władze oferują 300 srebrników. Dziesięciokrotność tego, co Judasz dostał za zdradzenie Chrystusa. Jednak zamordowanie schwytanego wyznawcy Chrystusa nie jest celem oprawców. Wiedzą, że krew męczennika „użyźnia glebę” i prowadzi do wzmocnienia i większej mobilizacji chrześcijan w tym kraju. Prawdziwym więc wyzwaniem dla wrogów Chrystusa jest zmuszenie duchownego do wyrzeczenia się Boga. Tortury już dawno zawiodły. Władze kraju sięgają więc po bardziej wyrafinowane środki. Okrucieństwo metod jest porażające.

Film inspirowany jest faktami. Plus dla Scorsese, że nie epatuje przemocą. Oszczędnie pokazuje ludzkie cierpienia, choć w sposób, który nie pozostawia widzów obojętnymi. Pierwsze dwie godziny seansu to bardzo realistycznie przedstawiona opowieść o sile wiary i bohaterskich postawach prostych chrześcijan, dla których zakazany paciorek od różańca i uwity z ździebeł trawy krzyżyk stają się najdroższymi skarbami. Choć Scorsese chce pokazać równocześnie, że prostota postaw nie musi być odruchem lojalności i miłości do Boga, lecz niewiedzy i ciemnoty chłopów.

► Rozstania i powroty

Tezy Scorsese stają się bardziej czytelne, gdy na ekranie pojawia się Kichijiro (Yosuke Kubozuka). Mężczyzna, który zdradza Boga, a potem żałuje i pokornie idzie do spowiedzi. By chwilę później znów wyprzeć się wiary i znów prosić o rozgrzeszenie. Błądzenie i wracanie. Naturalny schemat. W tym filmie jednak postać niesfornego Japończyka jest przedstawiona w sposób karykaturalny. Codzienna droga od-



chodzenia i wracania jest tu zaprezentowana niczym w krzywym zwierciadle. Tak jakby ludzkie słabości uniemożliwiały życie w wierze. A tymczasem gdyby zagłębić się w dylematy Kichijiro, można by stwierdzić, że to z jego problemami i dylematami przeciętny widz-katolik mógłby się najbardziej utożsamiać. Opowieść o Kichijiro jest w wydaniu Scorsese komediowym wątkiem w filmie.

Zanim jeden z jezuitów dotrze do poszukiwanego ojca Ferreira, w błotnistą glebę Japonii wsiąknie wiele litrów krwi chrześcijan. Dwie pierwsze godziny filmu są spójną opowieścią ich tragicznych losów. A potem dzieje się coś, co ma być klasycznym punktem zwrotnym w fabule. Ojciec Rodriges staje bowiem przed najtragiczniejszą próbą. Wyrafinowanie oprawców zmusza go do podjęcia decyzji, od której zależą losy torturowanych okrutnie chrześcijan. A Scorsese, by ten moment wzmocnić, sięga po bardzo ryzykowne rozwiązanie, po którym już nie wyjdzie z tej historii cało. Piszcie tekst nie tylko dla swoich aktorów, lecz także dla samego Boga. Tekst, który trudno uznać za wiarygodny, a wszystko, co dzieje się później, jest jak rodem z innego filmu i innej opowieści. Dalsze wybory są nielogiczne. Historia traci na wiarygodności. Mimo że jest oparta na faktach, to przepuszczona przez kamerowy filtr, staje się absurdalna. Finał filmu, będący już wyłącznie fantazją reżysera, jest czystą publicystyką. W której, jeśli chodzi

jeszcze o jakąś religię, to jest ona prywatną religią Scorsese, będącą wypadkową różnych filozofii.

► Plew na finał

Od pomysłu na film do jego realizacji minęło około 20 lat. Reżyser dość długo dojrzewał do tego, jaki ostatecznie obraz miał powstać. I mamy owoc jego pracy. Owoc przypominający zatrute jabłko.

Włoski filmowiec dokonuje operacji na żywym organizmie. Nawiązując do bolesnego faktu nie tylko historycznego, lecz także teraźniejszego, prześladowania chrześcijan, sprzedaje swoją wizję wiary. Takiej, w której można jednocześnie czcić Boga i cudzych bogów. Jakby to człowiek i jego wybory były nad Absolutem. Jakby można było Bogu dawać świece, a diabłu ogarek. Ten rodzaj przekazu sączy się z ekranu mimowolnie, z filmową maestrią. Scorsese podszedł do swojej pracy w białych rękawiczkach. Z jednej strony, jego produkcja może otworzyć pole do dyskusji. To zawsze dobrze, o ile serio traktuje się swoich odbiorców i ustala jasne reguły gry. Tu wielu widzów może być wmanewrowanych i zwyczajnie zmanipulowanych. Stąd warto wiedzieć, że „Milczenie” to film skierowany do świadomego i ukształtowanego odbiorcy, który odróżni ziarno od plew, nawet w najtrudniejszych warunkach. A takie stwarza nam Scorsese. ■

fot. mat. pras.



Krzysztof Kamkowski



Pokazać historię i nie uśpić widza

Zanim doczekamy się rodzimych superprodukcji, wpisujących się w dobrze realizowaną politykę historyczną, warto zobaczyć, jak z przeszłością rozprawia się kino południowokoreańskie. Zainteresowanie tym, co było, jest tam bowiem naprawdę duże, zarówno ze strony twórców, jak i widzów.

O d dawna trwa w Polsce dyskusja nad potrzebą wykorzystywania kina do prowadzenia polityki historycznej. O ile wcześniej służyło ono raczej pedagogice wstydu („Pokłosie”, „Ida”, mniej znana „Joanna” Feliksa Falka), dziś pomóc ma w kreowaniu wspólnej, narodowej tożsamości i przypominaniu własnej historii Polakom, w najśmielszych zaś planach – pokazywać ją w sposób atrakcyjny światu. Najchętniej używa się w takich rozmowach odniesienia do Hollywood i dzieł będących odbiciem amerykańskiego patriotyzmu. W niniejszym tekście chciałbym natomiast przybliżyć czytelnikom, jak wygląda podejście do historii w kinie Korei Południowej, skupiając się na ostatnich dwóch latach, gdy pojawiło się kilka ważnych i popularnych tytułów, pokazujących przeszłość, wciąż ważną dla twórców i widzów.

► Okupacja w bardzo ciemnych barwach

Oczywiście koreańscy filmowcy podejmowali kwestie historyczne, odkąd zajęli się robieniem filmów. Chętnie, zwłaszcza w serialach, pokazywano czasy zamierzchłe, zaś tematyka wojny koreańskiej była często wykorzystywana na potrzeby propagandy – nawet zeszłoroczna „Operacja Chromite” o przełamaniu przewagi militarnej komunistów na półwyspie to film zaskakująco propagandowy, pełen czarno-białych postaci i patetycznych monologów (lecz również atrakcyjnych scen morskich i dobrych aktorów – w tym Liama Neesona jako gen. MacArthura). Jednak niewiele język kina miał do powiedzenia o czasach japońskiej okupacji i związanych z nią narodowych traumach. Złagodzenie cenzury pozwoliło natomiast w ostatnich latach na stworzenie wielu dzieł, próbujących rozliczać Południe z czasów autorytarnych. „26 lat” Geun-hyeon Jo opowiadało o zemście, jaką postanowili wymierzyć żyjący krewni ofiar masakry w mieście Kwangju, gdzie wojsko, w realiach przywodzących na myśl nasz Grudzień 1970, zamordowało – według różnych źródeł – od 200 do 2000 osób. Odpowiedzialny za tę rzeź dowódca Chun został prezydentem, następnie zaś spokojnie funkcjonował jako autorytet dla kolejnych pokoleń polityków. Na ekranie, w bardzo atrakcyjnej konwencji thrillera, widzieć mogliśmy kilka osób, w tym wybitną łuczniczkę, policjanta, byłego wojskowego, a nawet szefa mafii, którzy połączyli siły, by na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość, której zabrakło na szczeblu państwowym. Trzeba też wspomnieć o niesamowitej animowanej wstawce pokazującej sceny masakry.

O samej sprawiedliwości w czasach autorytarnego reżimu opowiadał bardzo popularny film „Adwokat”, opisujący prawdziwą historię późniejszego prezydenta kraju, Roha, który, będąc początkowo zupełnie obojętnym na sprawy polityczne tanim prawnikiem, nagle zderzył

się z potężną machiną systemu, podejmując się obrony niesłusznie oskarżonego i torturowanego syna właścicielki ulubionego baru. Przełom przyszedł jednak na początku 2015 r. wraz z „Assassination”.

„Assassination” to film, który, pośród huku strzałów i eksplozji wyważył zamknięte dotąd dla koreańskich twórców drzwi. Choć wątek japońskiej okupacji i narodowego ruchu oporu sporadycznie pojawiał się wcześniej na ekranie, po raz pierwszy to wokół niego skonstruowano ambitny i mistrzowski pod każdym względem kinowy przebój, który stał się drugim co do popularności filmem w Korei 2015 r. Wyreżyserowany przez specjalistę od sensacyjnych pewniaków Dong-chun Choi film opowiadał o grupie bojowników, szykujących zamach na dwie obrzydliwe figury – koreańskiego zdrajcę, który zlecił zamordowanie własnej żony, i japońskiego gubernatora. Aby dodać historii dramatyzmu, w grupie tej znajdzie się jego zaginiona córka. Obsada, składająca się z plejady gwiazd lokalnych, lecz często występujących również w światowych produkcjach, szybkie, komiksowe tempo i obfite czerpanie z tradycji kina szpiegowskiego, gangsterskiego oraz komedii sensacyjnej – to jedna strona sukcesu filmu. Oprócz tego – co blizszy i urzeka widzów stroną rozrywkową i wizualną, mamy patriotyczny przekaz, budowanie historycznej świadomości (czy też państwowotwórczego mitu), mamy wreszcie inny bardzo ciekawy wątek – oprócz pięknej bojowniczk i jej charakterystycznych, poranionych przez kule, noże i życie, skrytych często w chmurach dymu sprzymierzeńców, poznajemy też postać budzącą pewne skojarzenia, niewierzącego w szansę wygranej z najeźdźcą sprzedawczyka, współpracującego z policją i wydającego swoich kolegów, który w świeżo odzyskaną niepodległość wchodzi jako szanowany weteran wyzwoleńczych walk i autorytet moralny. Mamy tu więc pełen wachlarz postaw wobec silniejszego okupanta – od zdrady, tłumaczonej fatalizmem bądź motywowanej czysto finansowo, poprzez uległość i bierność aż do zbrojnego oporu i bohaterstwa. Japończycy malowani są, zgodnie z miejscową tradycją, w barwach bardzo ciemnych, choć pośród sadystycznych żołnierzy i policjantów znajdzie się jeden (i tylko jeden) sprawiedliwy, sympatyzujący z narodową sprawą Koreańczyków.

Na fali popularności dzieła Choea wątek japońskiej okupacji zaczął pojawiać się w filmach z innych gatunków. W modnym pod koniec zeszłego roku filmie „Służąca”, Chan-wook Park, adaptując angielską powieść Sary Waters, negatywnego bohatera uczynił postacią jeszcze bardziej obrzydliwą, czyniąc z niego wynarodowionego Koreańczyka, zakochanego w kulturze najeźdźców. W ambitnym horrorze „Uciszone” Hae-yeong Lee pokazał koreańskie uczennice zmuszone do przyjęcia japońskich imion (pozbawianie Koreańczyków imion było jednym z elementów ich przymusowej japonizacji) i w tajemnicy poddawane groźnym eksperymentom.

► Koreanki pod japońskim jarzmem

Na drugim biegunie w sposobie opowiadania o japońskiej okupacji odnajdziemy inny zeszloroczny tytuł – „Spirit's homecoming”. W odróżnieniu od innych opisanych tu obrazów, film przede wszystkim artystyczny, nie komercyjny i chyba najbardziej ze wszystkich hermetyczny. Ciekawy zarówno pod kątem historycznym, jak i etnograficznym, koreańska historia przeplata się tu z ludowymi wierzeniami, a w dramat bohaterów wplecione są talizmany i szamańskie rytuały. Od jednego z nich, rytuału przywołania duchów do domu, pochodzi zresztą sam tytuł filmu. „Spirit's homecoming” to opowieść o losie, jaki stał się udziałem wielu młodych, czasem bardzo młodych (główne bohaterki filmu mają w momencie rozpoczęcia akcji po 15 lat) koreańskich dziewcząt, porwanych ze swoich rodzinnych wiosek przez japońskich żołnierzy, którym od tej pory służyć miały za niewolnice seksualne. O ich statusie świadczą najlepiej słowa jednego z Japończyków mówiącego dziewczynkom, że nie są nawet ludźmi, a tylko „dziwkami cesarskiej armii”. Ten epizod do dziś kładzie się chyba największym cieniem na relacjach Korei z Japonią, która pomimo częściowej normalizacji relacji i współpracy na wielu polach nigdy nie zdobyła się na satysfakcjonującą drugą stronę przeprosiny. Temat ten w społecznej świadomości pozostaje na tyle istotny, że poświęcony mu obraz Jung-rae Cho mimo swojego artystycznego charakteru i niezależnej, opartej na datkach prywatnych darczyńców produkcji, znalazł się w dziesiątce najchętniej oglądanych koreańskich filmów zeszłego roku i zarobił ponad 23 mln dolarów.

Trochę niespodziewanie mniejszym przebojem, pomimo obsadzenia w głównej roli popularnej aktorki Je-jin Son, okazała się „Ostatnia księżniczka” („The Last Princess”). To smutna, oparta na faktach opowieść o Deokhye, ostatniej przedstawicielce rządzącej Koreą od XIV wieku dynastii Joseon. Deokhye podstępem uprowadzona została do Japonii wkrótce po zdobyciu przez ten kraj kontroli nad Półwyspem Koreańskim. Dziewczyna padła ofiarą zdrady w otoczeniu swojego ojca. Japończycy obawiali się, że księżniczka może stać się ikoną przeniepodległościowo nastawionych rodaków, w związku z czym doprowadzili do jej całkowitej izolacji. Próby wykorzystania jej propagandowo speliły na niczym – gdy zmuszono dziewczynę do agitacji wśród koreańskich robotników przymusowych, jej wystąpienie, z którego były nieszczerść i brak zgody na automatycznie wypowiadane słowa, doprowadziło do wybuchu zamieszek. Po krótkim i nieśczęśliwym zaangażowaniu w aktywność działającego w Japonii koreańskiego ruchu oporu, Deokhye zmuszona została do małżeństwa z całkowicie, lecz bez wzajemności, zakochanym w niej Japończykiem. Gdy jej ojczyzna odzyskała niepodległość, okazało się, że odpowiedzialny za jej tragiczny los zdrajca zadbał o to, by nie mogła powrócić do kraju. Niemożność ta doprowadziła

ją do szaleństwa, wskutek czego swoje ostatnie lata w Japonii spędziła w szpitalu psychiatrycznym. Dopiero o wiele później udało się jej wrócić do Korei, gdzie dożyła późnej starości.

„Ostatnia księżniczka”, choć w niektórych sekwencjach bliska jest filmowi szpiegowskiemu, jest jednak przynębiającym dramatem o osobie, która nie z własnej winy traci cały swój świat. W zamian zyskuje tylko cierpienie, którego ukoić nie jest w stanie ani niechciana miłość, ani nawet pojawiające się jako jej owoc dzieci. Ta bijąca z kadrów rozpacz sprawia, że jest to rzecz przykra w odbiorze i tym tłumaczyć trzeba relatywnie niewielkie (choć i tak przecież przyzwoite) zainteresowanie widzów w Korei.

► Opowieść bardzo ponura

„Age of shadows” to film, którego premiera zapowiadała się na duże wydarzenie i który w koreańskim box office znalazł się na trzecim miejscu wśród rodzimych produkcji, pokonany jedynie przez „Train to Busan” i „Violent prosecutor”, mocno nawiązujący do kryminału „Veteran”, będącego najwęższym hitem 2015 r. Temat walki o niepodległość podchwycił już nie tylko koreański przemysł – „Age of shadows” rozprowadza światowy gigant Warner Bros.

Reżyserem filmu jest Jee-woon Kim, znany również w Polsce z takich filmów, jak „Dobry, zły i zakrecony” (w którym notabene, choć pobocznie, pojawiał się wątek koreańskiego podziemia niepodległościowego), „Opowieść o dwóch siostrach” czy „Ujrzałem diabła”. Główną rolę gra znany naszym widzom z pierwszego z tych filmów, lecz również z „The Host – Potwór” i międzynarodowego blockbustera „Snowpiercer” – Kang-ho Song, który wciela się w policjanta, oficjalnie kolaborującego z Japończykami, lecz faktycznie wspierającego rozpracowywaną przez siebie grupę koreańskiego podziemia. Niektóre sceny z filmu wydają się żywcem przeniesione z „Assassination”, co, z jednej strony, jest w jakiś sposób nieuniknione, z drugiej, niebezpiecznie balansuje na krawędzi plagiatu, co najwyraźniej nie przeszkadza widzom. W odróżnieniu jednak od starszego o rok przeboju, choć nie brak tu żywych scen walki, strzelanin, wybuchów i pościgów (warto dodać, że spora część akcji dzieje się w pociągu, ulubionym chyba otoczeniu Kang-ho Songa), jest to opowieść bardzo ponura, w której ważną rolę odgrywa kwestia poświęcenia dla sprawy wszystkiego, łącznie z życiem. Nie brak tu fizycznego i psychicznego cierpienia, przynębiających scen tortur i momentów, gdy reżyser pozwala nam bardzo mocno odczuć, że wszystko jest już stracone.

Można być pewnym, że na tych tytułach lista odwołań do XX-wiecznej historii się nie skończy. Zanim doczekamy się rodzimych superprodukcji, warto sięgnąć po filmy z Korei, dotykające zaskakująco bliskich nam pytań i spraw. ■

Hanna Shen



Powietrzna apokalipsa w Chinach



Trzy lata temu chińskie władze ogłosiły walkę ze smogiem. Jednak pomimo podejmowanych kroków, by zmniejszyć zanieczyszczenie środowiska, Państwo Środka ponownie pokrył gęsty smog. Na początku roku w wielu chińskich miastach wprowadzono tak zwany czerwony alert, czyli najwyższy stopień zagrożenia zanieczyszczeniem powietrza. Znany chiński psycholog i publicysta Tang Yinghong mówi o powietrznej apokalipsie w ChRL.

Komunistyczne władze Chin zapowiedziały walkę ze smogiem w 2013 r. po tym, jak otrzymały od naukowców raport na temat zanieczyszczenia środowiska. Był on sporządzony bardzo skrupulatnie, a dane zbierano przez sześć lat. Wyniki były tak szokujące, że ich nie opublikowano. Obawiano się masowych demonstracji.

Z nieoficjalnych informacji przekazywanych przez naukowców wynika, że w chińskich miastach 90 proc. wód podziemnych jest skażonych, z tego 60 proc. poważnie. Tylko w 2010 r. chiński smog zabił 1,2 mln ludzi. Raport mówił także o „wioskach raka”, w których śmiertelność z powodu nowotworów gwałtownie rośnie ze względu na skażenie wód gruntowych chemikaliami przemysłowymi i rolniczymi. Statystyki wskazują, że z powodu chorób nowotworowych rocznie umiera 2,7 mln Chińczyków. Najliczniejszą grupę stanowią tu ofiary raka płuc, co świadczy o wysokim zanieczyszczeniu powietrza. Na drugim miejscu jest rak układu pokarmowego. Jego rozwojowi sprzyjają zły stan wody pitnej i skażone gleby.

► Bez błękitnego nieba i białych chmur

W 2015 r. Chai Jing, znana dziennikarka śledcza, która w latach 2001–2013 pracowała dla publicznej telewizji CCTV, postanowiła pokazać, jak wysoki jest stopień skażenia środowiska w Chinach. Opublikowała w internecie film pt. „Pod kopułą”. Dokument nie tylko przedstawia, jak bardzo zatrute jest powietrze w Państwie Środka, lecz także opisuje wszystko to, co uniemożliwia poprawę istniejącej sytuacji – naciski ze strony lobby energetycznego, opór władz lokalnych i nieprzestrzeganie uchwalonych przepisów.

Chai przyznała, że do stworzenia takiego materiału pchnęła ją jej rodzinna sytuacja. Będąc w ciąży, dowiedziała się, że jej dziecko ma guza i będzie musiało zaraz po urodzeniu przejść poważną operację. Lekarze przyznali dziennikarce, że w Chinach coraz więcej dzieci rodzi się z problemami zdrowotnymi z powodu zatrutego środowiska.

„Kiedy w 2004 r. rozmawiałam z sześciolatką, która nigdy nie widziała błękitnego nieba i białych chmur, nie zdawałam sobie sprawy, że tego, o czym ona mówiła, może także doświadczyć moja córka. W Pekinie w 2014 r. powietrze w ciągu 175 dni było wysoce zanieczyszczone. To znaczy, że w ciągu jednego roku przez połowę czasu nie mam wyjścia i muszę moją córkę trzymać w domu jak więźnia. Oglądałam kiedyś telewizyjny serial »Pod kopułą«. To była historia małego miasteczka, które nagle znalazło się pod kopułą, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Mieszkańcy zostali odcięci od świata i bez możliwości wydostania

się. Pewnego dnia zrozumiałam, że żyjemy w takiej samej rzeczywistości” – mówiła Chai.

► Na smog najlepsza cenzura

Dokument Chai Jing cieszył się ogromną popularnością w internecie, tylko w ciągu tygodnia obejrzano go 300 mln razy. I wtedy chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego nakazało jego usunięcie ze wszystkich portali, a dziennikarka spotkała się z represjami. Wszystko to działo się w momencie, gdy czołowi partyjni oficjele zapewniali, że ochrona środowiska jest priorytetem prowadzonej przez nich polityki.

Na początku 2017 r., gdy smog ponownie pokrył Chiny, władze zachowują się podobnie. Blokują informację. W połowie stycznia Chińskie Biuro Meteorologiczne wysłało zawiadomienie do wszystkich swoich lokalnych biur, by wstrzymały one wydawanie własnych ostrzeżeń o smogu. Zamiast tego wdrożony ma być jednolity system ostrzeżeń dla całego kraju. To centralne biuro po konsultacji z władzami kraju będzie przygotowywać takie opra-

we specjalne oddziały policji, których zadaniem będzie m.in. karanie osób korzystających z grilli na świeżym powietrzu, palących śmieci, drewno i innego rodzaju biomasy. Cai ogłosił też ograniczenie o 30 proc. wykorzystanie węgla w 2017 r., zapowiedział zamknięcie 500 fabryk odpowiadających za najwyższe zanieczyszczenie w regionie i modernizację 2,5 tys. kolejnych zakładów. Władze ChRL podały również, że do 2020 r. zainwestują 361 mld dolarów w odnawialne źródła energii.

► Brak spójnego programu

Ale walka z grillami czy kary dla mieszkańców palących węglem to za mało. Nie ma spójnego programu „uleczania” zatrutego środowiska. Jeden z czołowych amerykańskich ekspertów do spraw ochrony środowiska James Lents w wywiadzie dla wydawanej w Hongkongu gazety „South China Morning Post” stwierdził, że mimo iż w pierwszej połowie 2015 r. Chinom udało się obniżyć poziom zanieczyszczenia środowiska w wielu miastach, to nadal dużo odbiega on od standardów międzynarodowych. I problem

ZANIECZYSZCZENIE POWIETRZA W SAMYM PEKINIE NA POČĄTKU 2017 R. PRZEKROCZYŁO 500 JEDNOSTEK. TO 20-KROTNIĘ WIĘCEJ NIŻ GÓRNA MAKSYMALNA GRANICA OKREŚLONA PRZEZ ŚWIATOWĄ ORGANIZACJĘ ZDROWIA. ODWOŁANO WIELE LOTÓW, ZAMKNIĘTO SPORO AUTOSTRAD WOKÓŁ STOLICY I ODWOŁANO ZAJĘCIA W SZKOŁACH.

cowania i rozsyłać do lokalnych jednostek. Te zaś razem z mediami otrzymały też przykaz, by używać słowa „mgła” a nie „smog”, gdy widoczność spadnie poniżej 10 km.

„Jeśli zamkną ludziom usta, to niebo stanie się błękitne” – drwił z cenzury władz jeden z internautów na Weibo (chińskim odpowiedniku Twittera). Informacyjna blokada nie jest w stanie zatuszować problemu.

Zanieczyszczenie powietrza w samym Pekinie na początku 2017 r. przekroczyło 500 jednostek. To 20-krotnie więcej niż górna maksymalna granica określona przez Światową Organizację Zdrowia. Odwołano wiele lotów, zamknięto sporo autostrad wokół stolicy i odwołano zajęcia w szkołach. W Pekinie i kilkudziesięciu innych miastach wprowadzono czerwony alert, najwyższy poziom zagrożenia. Władze zapowiedziały też podjęcie kolejnych kroków mających na celu zwalczanie smogu. I tak Cai Qi, p.o. burmistrza Pekinu, powiedział na spotkaniu z mieszkańcami stolicy i dziennikarzami, że utworzone zostaną no-

– co pokazuje początek 2017 r. – niestety, powraca. Lents nie wierzy, że ChRL jest w stanie ograniczyć na dużą skalę zatrucia smogiem, m.in. ze względu na brak odpowiednio wykształconego personelu, który byłby w stanie wyegzekwować przestrzeganie zarówno przez przedsiębiorców, jak i przeciętnych obywateli obowiązujących norm środowiskowych. Przede wszystkim brakuje jednak spójnego programu walki z zanieczyszczeniem. „W Los Angeles opracowaliśmy taki plan, wiedzieliśmy, jakie były emisje czynników degradujących środowisko, co je spowodowało i jakie były najlepsze sposoby ich zmniejszania. Takiego planu w chińskich miastach nie ma” – uważa James Lents. Zaś inni eksperci podkreślają, że oficjalne dane dotyczące środowiska w Chinach były i są dość mało wiarygodne.

Sami Chińczycy nie wierzą, że działania władz przyniosą poprawę sytuacji, i coraz więcej z nich, tych zamożnych, opuszcza tereny, na których nie da się oddychać. Jedna z agencji podróży poinformowała

o 150 tys. obywateli Chin, którzy tylko w jednym miesiącu wyjechali za granicę, żeby uniknąć zatrutych oparów. Udali się przede wszystkim na Malediwy, do Australii, Indonezji i Japonii. Są też osoby, które decydują się na migrację w inne, mniej zanieczyszczone regiony Chin. Ale smog też nie ułatwia podróży po ChRL, bo ogranicza widoczność poniżej 50 m. W pierwszych dniach stycznia Beijing Evening News informował, że duży statek wycieczkowy z ponad 2000 osobami na pokładzie został zatrzymany na morzu przez dwa dni, ponieważ gęsty smog uniemożliwiał bezpieczne cumowanie. „W odróżnieniu od pasażerów, którzy są zatrzymani przez smog na przykład na lotniskach, my mogliśmy korzystać z basenu i siłowni, aby zabić czas” – powiedział gazecie jeden z pasażerów po tym, jak statek wreszcie zawinął do portu w Tianjin.

Chińczycy coraz częściej kupują domowe oczyszczacze powietrza albo czyste powietrze importowane w pojemnikach z tak atrakcyjnych i uchodzących za czyste krajów, jak Australia i Nowa Zelandia. Porcja wystarczająca na 130 oddechów kosztuje około 18 dolarów. Firma z Szanghaju Frog Design zaprojektowała

wiedzy. W rezultacie nieznana ilość bezcennych zasobów społecznych jest marnowana na karanie za błahe czynności, które tak naprawdę mają niewielki wpływ na zanieczyszczenie, na przykład za gotowanie, korzystanie z grilla itp. Chociaż te drobne działania mogą rzeczywiście mieć wpływ na powstawanie i pogarszanie się smogu, nie mogą być decydującą lub główną przyczyną. Nie mając oparcia w rzeczywistych badaniach, dalsze ograniczenia, a nawet zakazy, będą tylko bardziej irytować ludzi, którzy już cierpią z powodu skutków zanieczyszczenia. W rezultacie nie dość, że smog nie będzie się zmniejszał, to jeszcze będzie się pogłębiać nieufność do uprzywilejowanej rządzącej mniejszości” – napisał w jednym z ostatnich swoich artykułów Tang.

Ale mimo braku dostępu do informacji i blokowania debaty, o czym pisze Tang Yinghong, to właśnie chińscy internauci żyją tematem smogu. Zwłaszcza żywe dyskusje prowadzą rodzice na WeChat, bardzo popularnej chińskiej platformie do czatowania. Gdy w pierwszych dniach tego roku smog spowільnił Pekin, grupa rodziców stworzyła petycję w internecie, domagając się instalacji w szkołach systemów oczyszczania

CHIŃCZYCY CORAZ CZĘŚCIEJ KUPUJĄ DOMOWE OCZYSZCZACZE POWIETRZA ALBO CZYSTE POWIETRZE IMPORTOWANE W POJEMNIKACH Z TAK ATRAKCYJNYCH I UCHODZĄCYCH ZA CZYSTE KRAJÓW, JAK AUSTRALIA I NOWA ZELANDIA. PORCJA WYSTARCZAJĄCA NA 130 ODDECHÓW KOSZTUJE OKOŁO 18 DOLARÓW.

specjalną maskę AirWaves, która sama monitoruje poziom zanieczyszczenia powietrza. Frog Design zapowiada, że w przyszłości maska będzie emitować zapachy, dźwięki i pokazywać obrazy, które pozwolą odebrać się od szarej (zanieczyszczonej) rzeczywistości.

► Długa era smogu

O tym, że poprawa jakości powietrza nie nastąpi szybko, mówi Tang Yinghong, chiński psycholog i publicysta, który często na swoim blogu porusza kwestie zanieczyszczonego środowiska w ChRL. Tang twierdzi, że Państwo Środka doświadcza obecnie powietrznej katastrofy, a Chińczykom przychodzi żyć w erze smogu. I będzie to, według chińskiego psychologa, długa era, jeśli na tematy smogu i zanieczyszczonego środowiska nie będzie można otwarcie dyskutować. „W naszym społeczeństwie nawet urzędnicy, których zadaniem jest podejmowanie decyzji i kierowanie polityką rozwoju technologicznego, są trzymani w nie-

powietrza. Pismo szybko rozprzestrzeniało się w Sieci – w czasie 24 godzin od jego powstania przeczytało je ponad pół miliona osób, a prawie 3 tys. pozostawiło swoje komentarze. Następnego dnia władze stolicy Chin zaczęły reagować i systemy zainstalowano w wielu szkołach.

Na WeChat pod wieloma wpisami rodziców na temat smogu i jego wpływu na zdrowie dzieci ukazują się liczne komentarze. „Wczoraj na naszej grupie dyskusyjnej na WeChat czytałam wpisy rodziców na temat symptomów, jakie pojawiają się u ich dzieci, np. kaszel. Rodzice martwią się i ja też” – pisała mama jednego z uczniów szkoły podstawowej w Pekinie. Na innym forum dyskusyjnym rodzice krytykowali jako niewystarczające kroki podjęte przez władze, na przykład zamknięcie szkół na kilka dni. Ktoś zauważył, że w Muzeum Narodowym zainstalowane są systemy oczyszczania powietrza, a zamontowanie ich w szkołach było problemem. „Antyki są ważne, bo reprezentują naszą przeszłość, ale nasze dzieci też są ważne. To nasza przyszłość” – napisał jeden z rodziców. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Merkel będzie władać dożywotnio

Angela Merkel zostanie na czwartą kadencję i będzie rządzić równie długo jak prezydenci na kontynencie afrykańskim, czyli dożywotnio.

W demokracji nie powinno być miejsca na takie sytuacje
– z **prof. Bassamem Tibim**, islamologiem i ekspertem do spraw Bliskiego Wschodu, rozmawia **Olga Doleśniak-Harczuk**.

► **Jest Pan islamologiem – to pojęcie stworzone przez Pana – a nie znawcą islamistyki, dlaczego to rozgraniczenie jest tak istotne?**

Począwszy od 1980 roku udało mi się opublikować szereg książek poświęconych zagadnieniu islamologii rozumianej jako historyczno-socjologiczna dyscyplina naukowa, nazwałbym to – zdekolonizowana, która występuje niezależnie od promowanej w Niemczech islamistyki. Islamologia nie jest filologią islamskich źródeł, nie uprawia się jej w sposób paternalistyczny. Obie dyscypliny zatem – islamologia i islamistyka – różnią się od siebie zarówno pod względem naukowym, jak i politycznym.

► **W książce „Europa bez tożsamości? Europeizacja albo islamizacja” staje Pan w obronie tożsamości Starego Kontynentu. Z jakim uzasadnieniem?**

Uważam, że Europa jest w stanie przeżyć jedynie wtedy, gdy będzie działała dwubiegunowo, w sensie dbałości o zachowanie własnej tożsamości i jednocześnie włączania w nią migrantów. Taka postawa jest w moim rozumieniu działaniem wymierzonym w islamizm.

► **A co ze słynnym terminem „tyranii Wilkommenskultur”? Czy można tak po prostu ludzi zmusić do tego, by witali obcych z otwartymi ramionami?**

Zarzut tzw. tyranii opinii publicznej został sformułowany w dziele XIX-wiecznego filozofa i twórcy liberalizmu demokratycznego Johna Stewarta Milla „O wolności”. A dziś obserwujemy, jak lewica i Zieloni w Niemczech próbują wymusić na ludzich przyjęcie ideologii „Wilkommenskultur”, posługując się właśnie tyranią opinii publicznej opisywanej przez Milla. Aby osiągnąć swój cel, ludzie ci wytaczają działą w postaci wykluczenia i zamilczenia myślących inaczej.

► **À propos myślących inaczej – od czasu, gdy kanclerz Angela Merkel zdecydowała się otworzyć wrota Niemiec na imigrantów z Bliskiego Wschodu, wielu ludzi zastanawia się nad motywami tej decyzji. Co nią kierowało?**

Pani Merkel jest wielkim nieszczęściem dla Europy. A jej polityczne posunięcia można chyba najtrafniej zdiagnozować, analizując jej biografię. Jest to przecież biografia córki protestanckiego pastora, który za-

miast zostać w zachodnich Niemczech, wybrał życie w NRD, a ona sama dorastała i wychowała się w NRD-owskim komunizmie. To może wiele tłumaczyć.

► **Angela Merkel nie zadecydowała jednak o swoim życiu, ale o przyszłości całych Niemiec. Ze wszystkimi konsekwencjami...**

Napływ ponad dwóch milionów biednych z robkowych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej negatywnie zmieni obraz Niemiec. W Niemczech o wszystkim decydują dziś lewicowcy i Zieloni, i to mimo iż oficjalnie nie sprawują rządów w państwie. Ich siła wynika z tego, że mają władzę nad mediami. Kiedy zastanawiam się nad tym, jak Niemcy będą wyglądały za 20 lat, nie mam dobrego przeczucia. W Niemczech nie ma czegoś takiego jak kultura demokracji, która pozwalałaby na przykład na prowadzenie niczym nieskrępowanej dyskusji.

► **Rozmawia Pan często z syryjskimi uchodźcami. Czego oczekują i jakie są ich szanse na zaistnienie na niemieckim rynku pracy?**

Oni sobie wyobrażają, że tu panuje istny raj. I nagle przychodzi rozczarowanie. A ono z kolei jest podglebiem do ich radykalizacji. Szanse na wtopienie się tych ludzi w niemiecki rynek pracy są równe zeru. Najzwyczajniej brakuje im kwalifikacji. Integracja generalnie oznacza włączenie w dobro wspólne, a nie bycie na garnuszku państwa.

► **We wrześniu Niemcy ruszą do wyborów parlamentarnych, a Angela Merkel będzie walczyć o czwartą kadencję w Kanzleramcie. Spodziewa się Pan „końca ery Merkel”?**

Angela Merkel zostanie na czwartą kadencję i będzie rządzić równie długo jak prezydenci na kontynencie afrykańskim, czyli dożywotnio. W demokracji nie powinno być miejsca na takie sytuacje. W Stanach Zjednoczonych na przykład prezydent może sprawować swój urząd przez dwie kadencje i na tym koniec. Dlatego nie jestem fanem niemieckiej pseudodemokracji. Żyłem w Afryce i zapewniam panią, że nie widzę różnicy między Angielą Merkel a politykami afrykańskimi.

► **Kto ponosi odpowiedzialność za grudniowy zamach w Berlinie?**

Polityka rządu federalnego, która otworzyła granice, jednocześnie znosząc na nich kontrole.

► **A czy widzi Pan związek między sytuacją w Syrii a napadami na kobiety w kolońskiej noc sylwestrową 2016 roku?**

Tak, jest to związek bardzo klarowny. Uchodźcy importują kulturę przemocy, na którą puszcza się z kolei w Niemczech zasłone milczenia.

► **W tym roku kolońska policja stanęła jednak na wysokości zadania, co nie przeszkodziło pewnej polityk Zielonych zaatakować policjantów za ich rzekomy rasizm wobec imigrantów, których tej nocy wylegitymowano. Co to za obłęd?**

Dzisiejsze Niemcy to kraj szaleńców, temu, kto podnosi kwestie bezpieczeństwa i stara się w sposób nieskrępowany wywołać dyskusję, przyprawia się z miejsca głębi rasisty. Ten sposób myślenia, charakterystyczny dla lewicy i Zielonych, został przejęty teraz przez samych uchodźców, którzy wszelkie próby wzmocnienia polityki bezpieczeństwa w państwie sprowadzają do aktu rasizmu.

► **W latach 90. islamiści usiłowali Pana zamordować, przez pięć lat był Pan pod stałą ochroną Federalnego Urzędu Kryminalnego. Czym się Pan tak naraził?**

W Niemczech islamiści mają wolną rękę i zagrażają przez to wielu muzułmanom, którzy nie podzielają ich światopoglądu. Ludzi ci nie mogą znieść myśli demokratycznej, stąd też ich wrogi stosunek do mnie.

► **W Koranie znajdują się pasaze, w których popiera się mordowanie niemuzułmanów. Jak Pan jako muzułmanin nurtu zreformowanego patrzy na te wersety?**

Z punktu widzenia islamu zreformowanego szereg zawartych w Koranie pasazy zagrzewających do przemocy i stosowania kar cielesnych jest przestarzałych i tym samym już nieaktualnych. Taki islam nie pasuje do realiów XXI wieku.

► **A czy podziela Pan zdanie prof. Martina Rhonheimera*, że ponieważ w islamie „miłosierdzie Allaha jest dane wyłącznie nawróconym, a dla niewiernych przewidziano miecz”, intelektualiści muzułmańscy, z racji swojej tradycji religijnej, mają problem z pryncypialnym potępieniem terroru Państwa Islamskiego?**

* Martin Rhonheimer, profesor etyki i filozofii politycznej papieskiego uniwersytetu Santa Croce w Rzymie.

W pewnym stopniu autor tego stwierdzenia ma rację.

► **Ale nie tylko intelektualści mają problem. Szef ISIS Abu Bakr al-Baghdadi prawie trzy lata temu ogłosił się kalifem, teoretycznie cała społeczność muzułmańska (umma) powinna pójść za nim, zgadza się?**

Zachód powinien potraktować na poważnie tego rodzaju roszczenia i bronić się przed nimi.

► **Twierdzi Pan od lat, że jedynym sposobem na uodpornienie muzułmanów na islamistyczne ciągoty jest ich integracja. Tyle że kryzys migracyjny obnażył boleśnie porażkę polityki integracyjnej i idei multi-kulti...**

W 2002 roku wydałem książkę pod tytułem „Migracja Islamska. Porażka integracji”. Od tego czasu nie tylko mnie wykluczono [z debaty publicznej], lecz także usunięto ze wszystkich mediów. To dowód na to, że kultura polityczna Niemiec jest niedemokratyczna, ponieważ nie uznaje wolności słowa i myśli na pewne tematy.

► **W 1993 r. na łamach „Spiegla” ukazał Pan integrację muzułmanów jako alternatywę do wzrostu znaczenia fundamentalistycznych ośrodków w Europie i islamskich gett. Czy te instytucje stanowią faktycznie zagrożenie dla dzisiejszych Niemiec?**

Wszystkie islamskie ośrodki działające w Niemczech hamują integrację i przyczyniają się do umacniania struktury społeczeństw równoległych. A tzw. centra islamskie są fundamentalistyczne i przeciwne integracji.

► **Ale mamy i takie przykłady: w 2014 roku działająca w Niemczech organizacja islamska Madrasa opublikowała list otwarty do szefa ISIS podpisany przez 120 duchownych i uczonych muzułmańskich. W liście przypomniano m.in. Al-Baghdadiemu, że w „islamie nie wolno nikogo na siłę nawracać”. Jak Pan podchodzi do tej akcji?**

Nie biorę takich inicjatyw na poważnie. Islamiści wykorzystują dialog do swoich gier, a treść listu wysłanego do szefa Państwa Islamskiego jest niczym innym jak próbą zmylenia niewiernych, co w języku tych funkcjonariuszy islamu nazywa się lham – oszustwo, omamianie.

► **Sal afici też są niebezpieczni?**

Oni również stanowią ogromne zagrożenie dla demokracji i bezpieczeństwa wewnętrznego.

► **W niemieckich sądach zapadały już wyroki uzasadniane prawem szariatu, a ponad połowa muzułmanów we Francji stawia szariat ponad prawo republiki. Jak wyjść z tego ślepego zaułka?**

Tak długo jak politycy europejscy nie pojmą, że islam szariacki jest nie tylko przeciwny integracji, lecz także demokracji, nie ma mowy o integracji.

► **Na koniec coś pozytywnego. W listopadzie 2016 roku został Pan powołany w skład Senatu Niemieckiej Fundacji Narodowej**. Jakie zadania ma Pan jako członek tego gremium?**

Przyjąłem tę propozycję po to, by przyczynić się swoim działaniem do wzmacniania europejskiej tożsamości Niemiec. Lewica twierdzi, że Niemcy nie potrzebują żadnej tożsamości, ale przecież żadne państwo nie może istnieć bez swoich cywilizacyjnych korzeni, zwłaszcza w czasach zagrożenia islamizacją Europy.

► **Czego życzyłby Pan sobie i Niemcom na rok 2017?**

Życzę sobie, by Niemcy przestali się zachowywać jak szaleńcy Europy. By zrozumieli, że bez kultury dyskusji nie może być mowy o demokracji. Życzę sobie również, by udało się uregulować kwestię migracji, jeżeli bowiem sprawy pozostaną w takim kształcie jak dziś, to nikt nie będzie w stanie ich kontrolować, a państwo najwyzwyczajniej upadnie. Terminu „szaleni Niemcy” użył w styczniu ubiegłego roku tygodnik „Die Zeit”. Uważam za słusne, że demokratycznie wybrany rząd Polski nie chce się podporządkować moralnemu imperializmowi Angeli Merkel i nie przyjmuje imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej.

Prof. Bassam Tibi (1944) – jak sam napisał w swojej biografii: „Syryjczyk z niemieckim paszportem”, potomek jednej z siedemnastu najbardziej szanowanych rodzin sunnickich Damaszku, w Niemczech żyje od 1962 r. Ekspert w dziedzinie socjologii, islamologii, filozofii, historii, stosunków międzynarodowych. Wykładał m.in. na Universität Göttingen, der Cornell University, USA, pracował też na Harvardzie i Yale. Jest autorem ponad czterdziestu książek dotyczących islamu, Bliskiego Wschodu, integracji muzułmanów w Europie etc. Publicysta, komentator, ostatnio związany ze szwajcarską „Basler Zeitung”. Więcej na stronie autora: bassamtibi.de.

** Senat der Deutschen Nationalstiftung



Ryszard Czarnecki

Chrześcijananie na Oceanie Indyjskim

Większości turystów Goa kojarzą się z pustawymi plażami nad Oceanem Spokojnym. Mnie z jakże specyficznym, bo chrześcijańskim, regionem Indii.

Tuż po Bożym Narodzeniu w zasadzie przed wszystkimi domami na tej wyspie widzę elektryczne, wielokolorowe dekoracje świąteczne, często po prostu iskrzące się kolorami podświetlane choinki, krzyże, gwiazdy czy nawet figurki Matki Boskiej w aureoli lampek. Czuć chrześcijański charakter tej wyspy, choć przecież nasi bracia w wierze stanowią tam „dopiero” drugą grupę wyznaniową (co czwarty mieszkaniec Goa to chrześcijanin). Poza Goa drugim również w jakiejś mierze chrześcijańskim regionem Indii jest prowincja Kerala. Tam niemal co piąty mieszkaniec (dane z 2016 r.) to wyznawca Chrystusa.

To, że chrześcijanie odgrywają tutaj olbrzymią rolę, widać nawet, co nie zawsze się zdarza w przypadku naszych braci w wierze, w lokalnych mediach. Na pierwszej stronie, na czołówce wydawanej w języku angielskim „The India Times”, w dodatku regionalnym „Goa” wyeksponowano informację o „niekonsultowanej z Kościołem reformie edukacji”. Nawet nie napisano, o jaki Kościół chodzi, bo przecież wiadomo, że o katolicki...

Goa jest najbardziej zwesternizowaną częścią Indii. Dziedzictwo portugalskiej kolonii, dziedzictwo chrześcijaństwa swoje robią. To właśnie tu jest największy porządek, najlepsza organizacja w porównaniu z resztą tego kraju. Nawet porównując ze stolicą New Delhi. Jest to również jedno z bardziej bezpiecznych miejsc w Indiach. Do tego wcale jeszcze niezadeptane przez turystów. Skądinąd Rosjanie wiedzą, co dobre, skoro uruchomili bezpośrednie loty z Moskwy – my możemy o tym tylko pomarzyć. Rosjan zresztą spotyka się tu często. Rosyjski na lotnisku, w najlepszych hotelach, na bazarach – to norma. Bezpośrednie połączenia na Goa są również z innych europejskich miast, jak Frankfurt, Manchester, Londyn. Poza Rosjanami spotyka się dużo Brytyjczyków, dużo mniej Francuzów i Niemców. Polacy należą do rzadkości.

A właśnie, Polacy! Oslupiałem, gdy w drodze z Goa do Radżastanu (stan graniczący z Pakistanem...) w samolocie zobaczyłem swojski napis: „Kamizelka ratunkowa

pod fotelem”. Tak, właśnie po polsku. Po prostu na okres zimowy prywatne Small Planet Airlines, należące do Polaków, ale zarejestrowane na Litwie, połączyły się z hinduskimi liniami Go Air. Dlatego w dalekich Indiach leciałem wycarterowanym z Polski „statkiem powietrznym” z polskim pilotem (z Warszawy) i polską główną stewardessą, młodą dziewczyną z Chorzowa, która była na tym końcu świata raptem... dwa dni.

Słynna niemiecka zasada „Drei K”, czyli: „Kinder, Küche, Kirche” dotyczyła co prawda Teutonek, ale przypominam sobie o niej, bo widzę kościoły, sporo dzieci, no i tę kuchnię...

Zawsze staram się jeść miejscowe smakołyki. Tu kuszą sungtahe kodd, czyli „autentyczne”, co się podkreśla, krewetki z Goa: wielkich rozmiarów, w mleczku kokosowym, przyprawione typową dla tego regionu przyprawą o nazwie kokum. Kolejna miejscowa potrawa to nisteachem posttam, czyli smażony steak z ryby po „królewsku” z papryką piri piri. Wieprzowina sara-patel, w sosie wieprzowym, a jakże, z indyjską odmianą curry o nazwie vindaloo, przyprawiana winnym octem i delikatnym czerwonym chili. Vindaloo wymyślili Portugalczycy i jego nazwa w języku Magellana oznacza: „wino, ocet winny i czosnek”. Kiedyś było przyrządzane w czerwonym winie, które teraz zostało zastąpione hinduskimi przyprawami. Jest ostre i może dlatego popularne na paru kontynentach.

Ale oczywiście są tam też rzeczy typowe nie tyle dla tej wyspy, ile w ogóle dla kuchni hinduskiej. A więc na przykład dahi wada, czyli pierożki na parze z soczewicą i z indyjskimi przyprawami, zupa badam aur tulsika shorba – z migdałów, orzechów tamaryndowca i bazylii, no i ryba – macchi jaisamandi – okoń morski w sosie pomidorowym pikantnym, przyprawiany chili. Chyba że ktoś woli zaffrani bharua guchci, czyli ser z morelami i orzechami w szafranie.

Świątecznej atmosfery nad Pacyfikiem wśród chrześcijan otoczonych morzem wyznawców hindu i zalewem muzułmanów nie zapomnę nigdy. ■

Czy w wyniku zapowiadanego
jakiś czas temu w rosyjskiej prasie
zjednoczenia największych służb
specjalnych Rosji w jeden superresort
– Ministerstwo Bezpieczeństwa
Państwowego (MGB) – faktycznie
nastąpi powrót do czasów
KGB? Kto i jakie będzie miał
uprawnienia? Pytanie
też, czy nie będzie to
powrót w nieco
bardziej
zamierzchłe
czasy?

Antoni Rybczyński

Czekiści. Krótki kurs historii

Historycy dobrze pamiętają MGB ZSRS, powołane zaraz po zakończeniu wielkiej wojny ojczyźnianej w celu przeprowadzenia gruntownej czystki. Siepacze byłego dowódcy Smierszu Wiktora Abakumowa tropili „piątą kolumnę zachodnich imperialistów”, tych, którzy w czasie wojny kolaborowali z Niemcami, wreszcie skorumpowanych funkcjonariuszy partii i państwa, co wzbogacili się na łupach wojennych.

Ciągłość instytucjonalną, ale przede wszystkim etosu rosyjskich służb specjalnych, symbolizuje fakt, że pracownicy organów bezpieczeństwa swoje święto mają 20 grudnia – w dniu, w którym w 1917 r. powołano do życia osławioną Czekę. Współczesne służby rosyjskie przejęły materialną i kadrową spuściznę po KGB: sprzęt, archiwa, aktywa operacyjne, współpracowników. Tak jak KGB wcześniej odziedziczyło wszystko po MGB, a to z kolei po NKWD. Przed NKWD był OGPU, a na samym początku CzeKa. Zmieniał się tylko sztyl. Historia Rosji sowieckiej, ZSRS, a potem Federacji Rosyjskiej bogata jest w zmiany, w dzielenie i łączenie służb specjalnych. I zawsze miało to ogromne znaczenie dla funkcjonowania państwa, ponieważ Rosja jest w swej istocie państwem bezpieczeństwa. W historii sowieckiej było kilka okresów, gdy władcy Kremla decydowali się łączyć struktury bezpieczeństwa w jedną wielką maszynę – i zawsze było to zapowiedzią nowej fali represji.

► Terror

20 grudnia 1917 r. powstała Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrewolucją i Sabotażem (CzeKa) z Feliksem Dzierżyńskim na czele. Nie na darmo nazywanym Krwawym Feliksem, bo w czasie wojny domowej CzeKa była głównym narzędziem „czerwonego terroru”. Potem przyszedł jednak NEP, a rozmach represji znacząco osłabł, sowiecka władza starała się wprowadzić politykę karną w jakieś ramy prawa. W lutym 1922 r. CzeKa została przemianowana na Państwowy Zarząd Polityczny (GPU) przy NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) RFSRS. GPU zajmował się nie tylko politycznymi, lecz także poważniejszymi sprawami kryminalnymi. Po 1922 r. funkcja pilnowania „socjalistycznej praworządności” trafiła zaś do Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości, przy którym powstała prokuratura. Po powołaniu do życia Związku Sowieckiego pod koniec 1922 r. GPU został przekształcony w OGPU (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny). Teraz Łubianka nie tylko faktycznie, jak za czasów CzeKa, lecz także formalnie kierowała republikańskimi

GPU. OGPU zarazem odebrano prawo wydawania wyroków w trybie administracyjnym, w tym wyroków śmierci. Nie zajmował się on już też sprawami kryminalnymi.

Tymczasem zmarli i Włodzimierz Lenin, i Feliks Dzierżyński (tego zastąpił Władysław Mienżyński). Józef Stalin konsekwentnie gromadził w swym ręku coraz większą władzę, czemu towarzyszyło przykręcanie śruby w państwie. Silny aparat bezpieczeństwa był warunkiem koniecznym, by skutecznie realizować taką politykę. 15 grudnia 1930 r. kierownictwo partii przyjęło tajną dyrektywę „O kierowaniu przez organy OGPU działalnością milicji i śledczych”. W związku z prowadzoną kolektywizacją i nasileniem politycznych represji trzeba było połączyć działania wszystkich organów bezpieczeństwa. OGPU uzyskało wtedy możliwość wykorzystywania milicji i sieci agenturalnej. Przez następne 10 lat pełnomocnictwa czekistów miały się tylko rozszerzać.

W lipcu 1934 r. powołano do życia NKWD ZSRS, który zjednoczył OGPU (przemianowany na Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego – GUGB) i komisariaty ludowe republik związkowych (do tego momentu nie było wszechzwiązkowego NKWD). Na czele nowego potężnego resortu stanął dotychczasowy szef OGPU Gienrich Jagoda, a kluczowe stanowiska obsadzili czekisci, a nie milicjanci. Rychło okazało się, po co powstał wszechpotężny resort łączący bezpieczeństwo ze zwykłymi organami ścigania. NKWD przypadło zadanie wprowadzenia „wielkiego terroru”, stopniowo nabierającego rozpędu po zabójstwie „ulubieńca partii”, lidera komunistów leningradzkich Siergieja Kirowa (1 grudnia 1934 r.). Czekistom oddano nie tylko wszystkie organy bezpieczeństwa, lecz także stopniowo przywrócono prawo wydawania pozasądowych wyroków, aż do kary śmierci. W tym celu w lipcu 1934 r. utworzono Kolegium Specjalne przy komisarzy ludowych spraw wewnętrznych ZSRS, mające prawo zsyłać lub wsadzać do więzień na 5 lat, a w 1937 r. – na 8 lat. Aby jeszcze bardziej uprościć system terroru, w 1937–1938 działały Specjalne Trójki lub Dwójki NKWD, mające prawo masowo wręcz wydawać, bez procesu sądowego, wyroki śmierci.

Kiedy NKWD wykonało swoją robotę (najpierw pod kierownictwem Jagody, a następnie Nikołaja Jeżowa), Stalin zarządził kolejną reorganizację. Akurat tuż przed wojną z Niemcami. Stalin planował wojnę ofensywną, którą zacznie uderzenie Armii Czerwonej na III Rzeszę i jej sojuszników. Dlatego superresort znów uległ podziałowi. W lutym 1941 r. GUGB został przekształcony w samodzielny Komisariat Ludowy Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB) ZSRS,

wypełniający wywiadowcze i kontrwywiadowcze funkcje. Zakładano, że jego pracownicy będą działali głównie poza granicami kraju. Jednocześnie z NKWD wydzielono Specjalne Wydziały odpowiedzialne za zabezpieczenie kontrwywiadowcze w wojsku. Zostały przeniesione w skład ludowych komisariatów obrony i floty wojenno-morskiej. Zakładano, że wraz z początkiem wojny Stalin zostanie Najwyższym Głównodowodzącym i komisarzem obrony, a wtedy Specjalne Wydziały przejdą pod jego bezpośrednie dowództwo. Stalin bał się, że opromienieni chwałą zwycięstw sowieccy generałowie i marszałkowie mogą stać się nowymi Bonaparte, więc zamierzał pilnować ich przy pomocy Specjalnych Wydziałów.

► Wojna

Ale życie napisało inny scenariusz. To Hitler napadł na ZSRS. Armia Czerwona rozgromiona w pierwszych dniach wojny musiała w nieładzie wycofywać się w głąb swojego kraju. Dlatego już w lipcu 1941 r. NKGB i Specjalne Wydziały wróciły z powrotem w skład NKWD, a na jego czele stanął Wsiewłod Mierkułow. Wobec śmiertelnego zagrożenia znów trzeba było połączyć wszystkie organy bezpieczeństwa w jedną maszynę. Po wybuchu wojny Specjalne Kolegium NKWD dostało prawo wydawania wyroków śmierci. Kiedy sytuacja na froncie została opanowana, w kwietniu 1943 r., zaraz po rozbiciu Niemców pod Stalingradem, odtworzono NKGB, a Specjalne Wydziały wróciły do komisariatów ludowych obrony i floty wojenno-morskiej, ale pod nową, złowrogą nazwą Śmiesz (skrót od „śmierć szpiegom”). Teraz bezpośrednio podlegały komisarzowi obrony Stalinowi. NKGB powinno zaś działać głównie poza granicami ZSRS, a także na okupowanych i odbijanych z rąk hitlerowców terytoriach.

Kiedy wojna dobiegła końca, przyszedł czas na nową falę represji – więc po raz kolejny zaczęto łączyć organy bezpieczeństwa. W maju 1946 r. Śmiesz wszedł w skład ludowego komisariatu bezpieczeństwa państwowego, w lipcu przemianowanego na ministerstwo. Szefem MGB został były nacelnik Śmieszu Wiktor Abakumow. Stopniowo do tego resortu weszły wszystkie podstawowe uprawnienia MSW: w latach 1947–1952 tutaj przekazano wojska wewnętrzne, milicję, wojska pograniczne i inne formacje. Gdy umierał Stalin, w MSW były już tylko poczta kurierska, ochrona przeciwpożarowa, zarządy obozów pracy i budów, konwojenci – głównie struktury związane z Gulagiem. W tym czasie MGB stało za szeregiem głośnych procesów: sprawą leningradzką, sprawą Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, sprawą lekarzy itd.

Wraz z umacnianiem aparatu represji z MGB próbowano wyjąć funkcje związane z wywiadem. W maju 1947 r. został utworzony Komitet Informacji przy Radzie Ministrów z zastępcą przewodniczącego rządu Wiaczesławem Mołotowem na czele. W skład Komitetu weszły zarówno wywiad zagraniczny MGB, jak i wywiad wojskowy ministerstwa obrony. Nie najlepiej to funkcjonowało, zwłaszcza jeśli chodzi o koordynację działalności obu służb, a na dodatek najważniejsza wówczas część aktywności sowieckiego wywiadu, związana z projektem budowy broni atomowej na bazie wykradzionych Zachodowi tajemnic, i tak pozostała wydzielona, w gestii Ławrentija Berii. W lutym 1949 r. status Komitetu Informacji został obniżony do Komitetu przy MSZ. W listopadzie 1951 r. wywiad zagraniczny wrócił do MGB, a wojskowy do resortu obrony.

Ostatnia próba ponownego połączenia bezpieczeństwa państwowego i organów ścigania została podjęta w marcu 1953 r., kiedy górę w walce o schedę po Stalinie wziął Ławrentij Beria. Osobiście stanął na czele MSW, do którego przyłączono MGB. Ale nowe superministerstwo nie na długo przeżyło swego założyciela, aresztowanego w czerwcu 1953 r. Już w marcu następnego roku z MSW wydzielono Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (KGB) ZSRS, a w 1959 r. otrzymał on rangę organu władzy centralnej z uprawnieniami ministerstwa. Ale nie status ministerstwa. Od tego momentu, przez ponad trzy dekady, do 1991 r., funkcje KGB faktycznie nie zmieniły się. W jego skład wchodziły służby wywiadu i kontrwywiadu, policja polityczna, ochrona rządowa, wojska pograniczne i niektóre inne struktury. Nikt już nigdy nie wpadł na pomysł, by łączyć KGB z MSW, co więcej, resorty te znajdowały się w stanie permanentnej biurokratycznej rywalizacji. Za czasów Jurija Andropowa górę wzięła Łubianka, która w latach 80. XX wieku dokonała słynnego „desantu” na resort spraw wewnętrznych: do MSW na ważne stanowiska trafiło wtedy wielu kagiebiistów.

► Zmiana

Zwyczaj się mówi, że KGB pograżył tzw. pucz sierpniowy i zaangażowanie Łubianki w tę nieudolną próbę ratowania Związku Radzieckiego (w cichym porozumieniu z Michaiłem Gorbaczowem). Tak naprawdę jednak jeszcze przez kilka miesięcy ważyły się losy wielkiej służby, która była łakomym kąskiem dla walczących o władzę w Moskwie. Borys Jelcyń próbował nawet połączyć KGB z MSW w superministerstwo, ale został zablokowany. Dopiero wtedy wziął kurs na maksymalne osłabienie Łubianki. Prezydent federacyjnej republiki rosyjskiej jeszcze w ma-

ju 1991 r. wymusił powołanie KGB Rosji (dotychczas republika ta nie miała własnego KGB) – który przydał się już kilka miesięcy później, gdy po puczu Jelcyń zażądał rozwiązania wszechzwiązkowych służb specjalnych i przekazania ich aktywów do rosyjskiego KGB. 5 października 1991 r. ukazał się – z punktu widzenia późniejszych lat bardzo istotny – dekret głoszący, że jedynym prawnym spadkobiercą KGB ZSRS na terytorium Federacji Rosyjskiej jest KGB Rosji.

Rzecz jasna, Gorbaczow nie zamierzał kapitulować bez walki. Jego bliski współpracownik Wadim Bakatin został nowym, jak się miało okazać, ostatnim przewodniczącym Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Już w pierwszym przemówieniu do podwładnych (27 sierpnia 1991 r.) zapewnił, że nie będzie „polowania na czarownice”. Czyszczenia kadrowe miały się ograniczyć do kierownictwa, a Bakatin skupił się na przebudowie struktur. Kolejno wyjmował

na. Doszło do czegoś wcześniej nie do pomyslenia: próby opanowania Łubianki przez desant z MSW (zwykle bywało odwrotnie). 19 grudnia 1991 r., w przeddzień święta czekistów, Jelcyń podpisał dekret o powołaniu Ministerstwa Bezpieczeństwa i Spraw Wewnętrznych (MBWD) RFSSR. Właśnie upadał Związek Sowiecki, a Jelcyń chciał przechwycić jak najwięcej z aparatu bezpieczeństwa. Za pomysłem, żeby połączyć KGB z MSW, przy dominującej pozycji tego drugiego, stali dwaj generałowie milicji: Wiktor Barannikow i Wiktor Jerin. Ale wtedy przeciwstawił się parlament, uważnie obserwujący działania Jelcyna w strukturach siłowych. Deputowani Rady Najwyższej zaskarżyli dekret prezydencki do przyjaznego im Sądu Konstytucyjnego, który już 14 stycznia 1992 r. uznał dokument o powołaniu MBWD za sprzeczny z ustawą zasadniczą. W uzasadnieniu pojawiło się znaczące zdanie: „rozdział i wza-

W HISTORII SOWIECKIEJ BYŁO KILKA OKRESÓW, GDY WŁADCY KREMLA DECYDOWALI SIĘ ŁĄCZYĆ STRUKTURY BEZPIEKI W JEDNĄ WIELKĄ MACHINE – I ZAWSZE BYŁO TO ZAPOWIEDZIĄ NOWEJ FALI REPRESJI.

z KGB: ochronę pogranicza, łączność i szyfry, ochronę kierownictwa państwowego, wywiad. Ważnym wize-runkowo krokiem była likwidacja zarządu zajmującego się walką z wrogami politycznymi państwa. 26 listopada 1991 r. Gorbaczow rozwiązał KGB ZSRS (tego samego dnia Jelcyń powołał Agencję Federalnego Bezpieczeństwa Rosji na bazie KGB Rosji). W miejsce sowieckiego KGB działały teraz Międzyrepublikańska Służba Bezpieczeństwa (kontrwywiad, bezpieczeństwo wewnętrzne), Centralna Służba Wywiadu (wywiad zagraniczny) i Komitet Ochrony Granic (wojska pograniczne). Potem, po rozwiązaniu ZSRS i przejęciu ich przez Rosję, dwie pierwsze zmieniły nazwy na Ministerstwo Bezpieczeństwa i Służba Wywiadu Zagranicznego.

Podczas gdy dzielono Łubiankę, drugi tradycyjny ośrodek wewnętrznego bezpieczeństwa, czyli MSW, pozostało nietknięte. Pozostały mu i OMON, i wojska wewnętrzne, i śledcze uprawnienia. MSW zajmowało się też wszystkim, co związane z więzieniami i łagrami, od konwojowania więźniów po wykonywanie wyroków śmierci. Teraz MSW mogło wziąć rewanż na KGB, przez które zostało w latach 80. za Andropowa mocno „wyczyszczone”. Niewiele brakowało, by zemsta „milicyjnych” na czekistach była peł-

jemne ograniczanie się służb bezpieczeństwa państwowego i spraw wewnętrznych ma zabezpieczać konstytucyjny demokratyczny ustrój i jest jedną z gwarancji chroniących przed uzurpacją władzy”. Jelcyń był już w stanie jedynie zeforsować osobę Barannikowa na szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa. Milicjant zaczął rządzić na Łubiance. Na polecenie prezydenta od razu przystąpił do integracji struktur rozbitych przez Bakatina – w czerwcu 1992 r. pod skrzydła Łubianki wrócili pogranicznicy.

Pod koniec 1992 r. w Rosji działały cztery główne służby wywodzące się z KGB – Ministerstwo Bezpieczeństwa Rosji, Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR), Federalna Agencja Rządowa Łączności i Informacji przy prezydencie (FAPSI), która nadzorowała łączność rządową, systemy szyfrów, wywiad elektroniczny, i Główny Zarząd Ochrony (GUO), formacją, z której Jelcyń uczynił swoją pretoriańską gwardię. GUO ochraniał członków rządu, ważne obiekty państwowe, a jego dowódca Michaił Barsukow był jednocześnie komendantem Kremla. „Elitą elit” GUO była autonomiczna Służba Bezpieczeństwa Prezydenta. Jej dowódca gen. Aleksandr Korżakow, dawny osobisty ochroniarz i przyjaciel Jelcyna, był jednocześnie 1. zastępcą Barsukowa. W 1996 r. GUO zmienił

nazwę na obowiązującą do dziś: Federalna Służba Ochrony (FSO).

► Zakładnik

KGB podzielono na kilka podmiotów. I tyle. Nie było prawdziwej kompleksowej weryfikacji funkcjonariuszy. Redukcja stanu osobowego to też mit – już w 1998 r. służby-sukcesorki KGB były w sumie liczniejsze niż Komitet w czasach sowieckich. A przecież państwo stało się po rozpadzie ZSRS znacznie mniejsze. Odchodząc Bakatin chwalił się, że zmniejszył personel bezpieczeństwa z pół miliona do 40 tys. osób. A jak było naprawdę? Zwolniono garstkę, a reszta zmieniła przynależność na papierze: 240 tys. poszło do Komitetu Ochrony Granic, 90 tys. przejęły usamodzielnione republikańskie KGB, 18 tys. było w KGB Rosji, 15 tys. w wywiadzie, a 85 tys. w wyodrębnionych agencji łączności i służbie ochrony. Reforma Bakatina sprowadzała się więc do ochrony kadr i struktur bezpieczeństwa przed radykalnymi zmianami i dekomunizacją. Poprzesuwał aktywa w ramach wciąż tej samej czekistowskiej korporacji, zmienił sztyld, aby zamazać powiązania nowych służb ze starą. Co z takim dziedzictwem zrobił Jelcyn? Nie dowierzał czekistom, ale ich zarazem potrzebował w sytuacji narastającego konfliktu z Radą Najwyższą i komunistyczno-nacjonalistyczną opozycją. W końcu stał się zakładnikiem Łubianki. Niech nikogo nie zmyli to, że powoływał służby, dzielił je, jednoczył, zmieniał zakres kompetencji, rotował szefami. W rzeczywistości od momentu rozwiązania KGB każda kolejna reforma i zmiana w bloku siłowym wzmacniała lobby czekistowskie, proporcjonalnie do tego, jak Jelcyn słabł, coraz częściej sięgając po usługi Łubianki w walce z politycznymi wrogami.

W drugiej połowie 1992 r. doszło do nowej wielkiej fali czystek w Ministerstwie Bezpieczeństwa Rosji, jak teraz nazywała się większość struktur po KGB. Użyto pretekstu, który wiele razy pojawiał się także w następnych dwóch dekadach: walki z korupcją. Jednym czerwcowym dekretem Jelcyn zdymisjonował około 30 wyższych oficerów, w tym kilku generałów. W sumie do końca roku pod zarzutem korupcji aresztowano ponad 200 oficerów. Pod hasłem promowania profesjonalizmu zaczął się masowy powrót oficerów KGB zaangażowanych kiedyś w walkę z opozycją. My albo oni – w logice zaostrego konfliktu Kremla z Białym Domem (parlament) nie było miejsca pośrodku. Barannikow był lojalny wobec Jelcyna, ale nie do tego stopnia, by zgodzić się na użycie podległych mu potężnych struktur do rozprawy z wiceprezydentem Aleksandrem Ruckojem i Radą Najwyższą. Gdy w marcu 1993 r. Jelcyn próbował wprowadzić bezpośrednie rządy prezydenckie, Ba-

rannikow oświadczył, że MB nie bierze udziału w walce o władzę i zachowa apolityczną postawę. Jelcyn musiał wycofać się z dekretów, ale już wiedział, że na Barannikowa liczyć nie może. Pretekst znaleziono szybko, wykorzystano też haki zbierane na ministra bezpieczeństwa przez inne służby, m.in. FAPSI. W lipcu 1993 r. Barannikow został zdymisjonowany.

Mimo zmiany kierownictwa Łubianki, bezpieczeństwa – zdaniem Jelcyna – w niewystarczający sposób wsparła go w październikowej siłowej rozprawie z parlamentem (kluczowa była pomoc wojska i GRU). Wyrok zapadł: w grudniu 1993 r. Ministerstwo Bezpieczeństwa zostało przekształcone w Federalną Służbę Kontrwywiadu, z której znów wyodrębniono samodzielną Federalną Służbę Pograniczną. W roku następnym ogłoszono amnestię, która objęła także Barannikowa. Generał zmarł jednak 22 lipca 1995 r., prawdopodobnie otruty – chodziły słuchy, że miał dossier na wielu polityków, byłych współpracowników KGB. Kilka miesięcy wcześniej, 3 kwietnia 1995 r., Jelcyn podpisał ustawę, po raz kolejny zmieniając sztyld na Łubiance. Po zamachu w Budionnowsku, przed wyborami do Dumy, krytykowany za słabość państwa i nieudolność w walce z terroryzmem i kryminalizacją życia w kraju, prezydent powołał w miejsce FSK Federalną Służbę Bezpieczeństwa (FSB), przywracając też, zlikwidowane w 1991 r., zarządy.

Czekiści umiejętnie lawirowali między ośrodkiem prezydenckim a opozycją. Do tego doszła wojna w Czeczenii i zagrożenie terrorystyczne, co jeszcze bardziej sprzyjało odbudowie wpływów. Do rangi symbolu urasta przywrócenie w lipcu 1998 r. Zarządu Ochrony Ustroju Konstytucyjnego – w czasach sowieckich taka komórka funkcjonowała jako 5. Zarząd KGB zwalczający dysydentów. W 1998 r. służby specjalne liczyły łącznie mniej więcej tyle samo ludzi, co KGB w chwili rozwiązania – około pół miliona. Ale realnie bezpieczeństwa przybyło – bo w 1991 r. obejmowała cały ZSRS, a siedem lat później – samą Rosję. Co więcej, ludzie służb sami zaczęli obejmować ważne stanowiska państwowe, trzech ostatnich premierów Jelcyna wywodziło się z KGB: Jewgienij Primakow, Siergiej Stiepaszyn, Władimir Putin.

► Powrót

Ten ostatni na dodatek przyszedł prosto z Łubianki. Tuż przed tym, jeszcze jako dyrektor FSB, udzielił wywiadu „Komsomolskiej Prawdzie”. Dziennikarz: „Czy to możliwe, że Pan i Pana przyjaciele mogliby przeprowadzić zamach stanu?”. Putin: „A po co mielibyśmy organizować zamach stanu? Już jesteśmy u władzy. I kogo mielibyśmy obalić?”. Dziennikarz: „Może prezydenta?”. Putin (z lekkim uśmiechem): „To przecież prezydent nas wyznaczył”. Trzy miesiące

później był premierem, a po kolejnym pół roku – prezydentem.

Władimir Putin powoli, ale konsekwentnie, zbierał różne służby znów pod kuratelę Łubianki, ale też eksperymentował z nowymi siłowymi organami. W zasadzie zgadzał się z cytowanym wcześniej orzeczeniem Sądu Konstytucyjnego z 1992 r., tyle że dla niego rozdział i wzajemne ograniczanie się służb służyły nie zagwarantowaniu ustroju demokratycznego i zapobieganiu uzurpacji władzy, ale umacnianiu jego prezydenckiego reżimu. Jeśli przez 16 lat nie doszło do połączenia wszystkich służb wywodzących się z KGB w jednej instytucji, to tylko dlatego, że Putinowi wygodniej jest posiadać kilka służb, które na siebie donoszą i równoważą wpływy. Przykładem może być FSKN. W 2003 r. Państwowy Komitet Przeciwdziałania Nielegalnemu Obrotowi Narkotykami i Substancjami Psychotropowymi przy MSW został przekształcony w Państwowy Komitet Kontroli Obrotu Narkotykami i Substancjami Psychotropowymi. Od 2004 r. ta samodzielna instytucja nazywała się FSKN (Federalna Służba Kontroli Obrotu Narkotykami i Substancjami Psychotropowymi). FSKN wzmocnił Putin, oddając jej, powstałą za Jelcyna, policję podatkową. Do tego doszło sporo byłych kagiebiów, w efekcie czego powstała służba specjalna, wykorzystywana czasem jako przeciwwaga dla FSB (najbardziej znana była tzw. wojna siłowników na jesieni 2007 r.). Teraz, wraz z rewolucyjnymi wręcz reformami sektora siłowego, FSKN została zlikwidowana.

Główne strukturalne zmiany w służbach podczas dotychczasowych rządów Putina ruszyły w 2003 r., gdy przywrócono kontrolę Łubianki nad wojskami pogranicznymi, które weszły w skład FSB. Potem przyszedł czas na „rosyjską NSA”, czyli FAPSI, której aktywa i kompetencje rozdzielono między FSB, FSO i SWR. Charakterystyczny za Putina trójkąt tworzyły właśnie FSB, FSO i SWR. Choć co jakiś czas pojawiały się plotki o rychłym powrocie wywiadu pod zwierzchność Łubianki, ostatecznie Putin nie zdecydował się pozbawiać samodzielności służby mającej siedzibę „w lesie”, czyli w Jasieniewie na obrzeżach Moskwy.

Zaraz na początku rządów Putina uderzono w staro rywalą czekistów, czyli MSW. Za czasów Jelcyna resort ten bardzo się wzmocnił. Między innymi pojawiła się tam nowa struktura, RUBOP, odpowiedzialna za walkę ze zorganizowaną przestępczością. Zresztą sama szybko zmieniła się w służbę do zapewniania „kryszy” przestępcom. W 2001 r. MSW objął kolega szkolny szefa FSB Nikołaj Patruszewa, Borys Gryzłow. Jednym z pierwszych kroków ministra była reorganizacja wszechmocnego RUBOP. Pododdziały

tej formacji wcześniej podlegały nie regionalnym szefom struktur MSW, lecz swojemu kierownictwu w Moskwie, tworząc *de facto* równoległą milicyjną strukturę. Gryzłow podporządkował regionalne wydziały RUBOP lokalnym szefom MSW i uczynił częścią milicji kryminalnej. W 2008 r., już przy ministrze Raszydzie Nurgalijewie (były kadrowy czekista), UBOP ostatecznie rozwiązano. W jego miejsce powstał Zarząd Przeciwdziałania Ekstremizmowi z funkcją politycznej policji.

Jedną z największych putinowskich reform w bloku siłowym (choć za czasów prezydentury Dmitrija Miedwiediewa) było odebranie funkcji prowadzenia śledztwa prokuraturze i stworzenie na bazie prokuratorskich organów śledczych Komitetu Śledczego z Aleksandrem Bastrykinem na czele. Kolejna wielka reforma dotyczyła MSW. W 2013 r. dotychczasowy szef Służby Bezpieczeństwa Prezydenta Wiktor Zołotow został zastępcą dowódcy wojsk wewnętrznych MSW. Wydawać się to mogło degradacją. W rzeczywistości było początkiem procesu kolejnych zmian. Zołotow awansował na dowódcę wojsk i pierwszego zastępcę ministra spraw wewnętrznych. Wiosną 2016 r. wszystko stało się jasne – spełniły się przypuszczenia i Putin odebrał wojska wewnętrzne MSW, na ich podstawie powołując Gwardię Narodową. Co więcej, w jej skład weszły, także odebrane MSW formacje OMON, SOBR (specnaz milicji) i lotnictwo MSW. Na otarcie łez resort spraw wewnętrznych dostał FSKN i Federalną Służbę Migracyjną (FMS), a zapewne przejmie jeszcze część Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych. MSW straciło jednak wszystkie zęby. Nawet specnaz FSKN nie wszedł wraz z resztą rozwiązanej służby do struktur MSW.

Pod czujnym okiem byłego kagiebisty korporacja czekistów zawładnęła państwem. Stała się potężniejsza niż KGB kontrolowany przez partię. Łubianki i wywodzących się stamtąd służb nie kontroluje nikt poza Putinem, a i ten nie może być w 100 procentach pewien, że nad wszystkim panuje. Kiedyś reguły były jasne, podobnie jak instytucjonalny krajobraz służb. Dziś czekiści przypominają wielogłową hydrę (jeśli chodzi o kształt aparatu bezpieczeństwa) i ośmiornicę zarazem, która opłata Rosję. Zmonopolizowali niemal wszystko: kontrwywiad, antyterrorizm, walkę z przestępczością gospodarczą, wywiad elektroniczny, kontrolę granic, wreszcie działalność wywiadowczą. Są głównym źródłem kadr. Nie tylko w organach siłowych, nie tylko w instytucjach państwowych. Czekiści zasiadają we władzach państwowych megakorporacji, wielkich firm państwowych, banków i koncernów energetycznych. Stali się nową rosyjską arystokracją. ■



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Kiedy On wreszcie się narodzi?

O d pewnego czasu ulica jest zupełnie pusta. Uliczny tłok już za nami. Droga szybkiego ruchu wokół Jerozolimy to już tylko wspomnienie. Jedziemy coraz wolniej, uważnie obserwując to, co za oknem. A widoki wcale nie są budujące. Wszędzie tylko śmieci. Piach i żwir. Gdzieś po prawej stoi opuszczone auto. Już bez koła. Po naszej lewej stronie natomiast ciągnie się wysoki na jakieś cztery metry mur. Szarosina konstrukcja. Nikogo wokół. A nie, przepraszam...

– Stefan, zobacz! Tam ktoś do nas biegnie! – Siedzący na tylnym siedzeniu Piotr wskazuje palcem goniącego nas mężczyznę. Jest duży. Barczysty. Coś mi pokazuje. Nie rozumiem.

– Tutaj! Tutaj!

– Co? – odkrzykuję po angielsku.

– Tutaj! Tutaj możecie zaparkować!

Posłuszny jego zaleceniom zawracam, by podjechać niemal pod sam mur miasta. W pewnym momencie trzeba zjechać z asfaltu. W bok. Na piaszczysto-gliniastą ubitą ziemię. Delikatnie wznoszącą się w stronę obwarowań miejskich. Stoją tu bez ładu i składu także inne samochody. Większość na rejestracjach izraelskich.

Przepychając się między
wydzierającym się na
cały głos rosyjskim
przewodnikiem, pozującymi
do zdjęć Japończykami
a cwanie wpychającym się
przed szereg kolejki Żydem,
docieram wreszcie do celu.

Jestem tuż przed. Podo-
mnę utkwiona w posadzce
gwiazda. Wielkości ludzkiej
dłoni. To miejsce narodzin.
Tutaj Jezus przyszedł na świat.



Betlejem dzisiaj



Wąskie i ciasne wejście
do Groty Narodzenia



W środku jak zwykle jest
mnóstwo pielgrzymów.
Oraz turystów

– Tu wam wolno stać. Auto będzie bezpieczne.
– Mężczyzna wreszcie do nas dobiega.

– Dziękujemy bardzo.

– Za dzień stania należy się 250 szekli [równowartość około 250 zł – przyp. aut.]. – Wyciąga bezceremonialnie rękę.

– Nie bardzo rozumiem...

– To mój plac. Mój parking. Chcecie tu stać? Trzeba zapłacić.

Dobrze wiemy, że nie mówi prawdę. To plac niczyj. Pozostawiona ziemia na rogatkach Betlejem. Właściciele stojących tu samochodów nie zapłacili nawet złamanego szekla. Do miasta na izraelskich blachach wjechać się boją. Zostawiają więc samochody przed murem. Po izraelskiej stronie. Problem w tym, że Izraelczyków już tu za bardzo nie ma. Tą ziemią rządzą muzułmanie. Od miejscowych Żydów jednak brać pieniędzy nie będą. Bo ci zaraz naślą na nich patrol policji. Ale gdy jadą turyści o jasnej karnacji skóry, to...

– Za co ta opłata? – dyskutujemy dalej. – Za pilnowanie auta?

– Autom nic się nie stanie. Pokazałem wam to miejsce. Jeśli chcecie tu zostać, musicie zapłacić. – Mężczyzna jest coraz bardziej szczerzy.

Kątem oka obserwuję jego kolegę. Rozkłada nieopodal niewielki dywanik i klękając, rozpoczyna modlitwę. Z nieodległego minaretu słychać już pieśń muezina. Robi się nieswojo.

– Zmykajmy stąd – szepcze Piotr.

– W porządku. Ale dokąd? Pamiętaj, że teoretycznie do Betlejem wjechać nam nie wolno. Mamy wypożyczone samochody. Izraelska firma nie obejmuje ubezpieczeniem terenów Autonomii Palestyńskiej. Jak coś się stanie...

– Dobra, trudno! – unosi głos coraz bardziej zdenerwowany kolega. – To zostawmy te samochody tutaj i spadajmy stąd!

– Stąd do centrum Betlejem mamy piechotką jakieś 2–3 kilometry. Chce się nam iść? – oponuje delikatnie.

– Jeszcze dodatkowo płacąc jakiemuś brodatemu oszustowi za powietrze...

– A mamy wybór?

– Zaryzykować. I wjechać do Betlejem naszymi autami.

– Zwariowałeś?!

– Myślę, że nie ma co panikować. Ja bym spróbował...

► Przejechać na drugą stronę

„W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do mia-

sta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z posługującą sobie Maryją, która była brzemienna” (Łk. 1:1–5).

Jest przed siedemnastą. Późne zimowe popołudnie jest już za horyzontem. Na pustyni momentalnie robi się chłodno. Siedzący na krzeselku swojego punktu kontrolnego żołnierz ubiera zieloną kurtkę moro. Jest już chyba znużony dyżurem. Jego kompan rozwiązuje krzyżówkę. Nic nie mówią. Odpoczywają. Mogą. Póki co nic nie przejeżdża. Nie ma kogo kontrolować. Dopiero gdy zza przełęczy wylaniają się reflektory trzech samochodów, żołnierze natychmiast wstają z krzesel.

– Stefan, czy ty naprawdę wiesz, co robisz?

– Piotr, wyluzuj. Chce ci się ganiać teraz z tymi tobołkami trzy kilometry po ciemku? Nie mamy za bardzo wyjścia. Uspokój się. Wjedziemy i zobaczysz, że nic się nam nie stanie.

– Jeśli mogę się wtrącić... – Siedząca do tej pory w milczeniu Dorota też postanawia zabrać głos. – Myślę, że obawy Piotra są zupełnie słuszne. Też bym nie wjeżdżała do miasta. Skoro tak mówili w wypożyczalni, to... to chyba wiedzieli lepiej, nie?

– Kochani, wszystko to jest jasne. Pełna zgoda – odpowiadam nieco zmęczony narastającą na pokładzie atmosferą paniki. – Spójrzcie jednak na zegarki. Robi się późno. Zaparkowanie naszych samochodów poza murami Betlejem będzie oznaczało dla nas dodatkowe dwie godziny. Dzisiaj i jutro. Rano i wieczorem. Jeśli chcemy coś tu zobaczyć i nie stracić na bezsensowne spacerowanie całego dnia, musimy zaryzykować.

– Stefan – siedzący obok mnie na miejscu pasażera Kuba do tej pory raczej milczał – ja się z tobą zgadzam. To zawsze przygoda. Tylko czy wszyscy wiemy, jakie ryzyko ponosimy?

– Tak. Jeśli cokolwiek stanie się samochodowi, za wszelkie szkody zapłacimy my. Ubezpieczenie OC i AC w Autonomii nie działa.

– A wiemy, jak oni tu jeżdżą... – kontynuuje wywód Kuba.

– Tak, wiemy. Ryzyko jest. I co tu wiele ukrywać, może nas to naprawdę słono kosztować.

– Świetnie, chłopaki! Świetnie! – ironizuje Piotr. – Wystarczy jeden gagatek, który na widok izraelskich blach rzuci w nas kamieniem. Świetnie...

– Ciii... – ucisza dyskusję. Dojeżdżamy do punktu kontrolnego.

Dwaj izraelscy żołnierze uważnie się nam przyglądają. Spoglądają oczywiście też na rejestrację. Po chwili machają ręką. Możemy przejeżdżać. Faktycznie, mają już chyba dość na dziś. To jeden z najszybszych punktów granicznych, jakie w życiu przejeżdżaliśmy. Jesteśmy w Autonomii Palestyńskiej. Jesteśmy po drugiej stronie betlejemskich murów.

► Miasto Racheli

„Samuel uczynił tak, jak polecił mu Pan, i udał się do Betlejem. Naprzeciw niego wyszła przelekniona starszyzna miasta. [Jeden z nich] zapytał: Czy twe przybycie oznacza pokój?” (1 Sam, 16:4).

Mało światel. Zwłaszcza dla oczu przyzwyczajonych do oświetlonych ulic bogatego Tel Awiwu. Droga skręca. Musimy wjechać na wzgórze. Ale najpierw mijamy dużą tablicę. Stoi na poboczu. Uwagę skupia duży rysunek trupiej czachy. A nad nią napis. Po angielsku. Żeby każdy zrozumiał. „Wjeżdżasz na teren Autonomii Palestyńskiej. Wszystkich obywateli Izraela obowiązuje surowy zakaz wstępu. Pod groźbą śmierci. Wjeżdżasz na własne ryzyko”.

– Widzieliście ten napis?! – Po tonie krzyku już wiem, że siedzący za mną Piotr też zobaczył tablicę... Niestety.

– Tak...

– Ja chromo! Zabiją nas. Przecież jedziemy na izraelskich tablicach rejestracyjnych. Kto pozna, że turyści?! Kto?!

– Uspokój się wreszcie! Muszę się skupić na jeździe! W Betlejem lepiej uniknąć wypadku... – próbuję ośmieszyć emocje.

– Ty, Stefan... – Siedzący z przodu Kuba tylko lekko się uśmiecha. – Widzisz tego snajpera tam?

– A, tam. Rzeczywiście... – Szybko łapię żart, mający, jak mniemam, w założeniu nieco uspokoić nerwową atmosferę w aucie.

– Gdzie? Co wy tam widzicie? – krzyczy „wkręcona” w żart Dorota.

– Panowie, to wcale nie jest śmieszne... – Piotrowi nasz dowcip wyraźnie nie podpasował. – Mamo! Gdzie my się, do cholery, pchamy?! Po co nam to?! Złe nam było w tym Izraelu, no źle?

Tak. Przy wjeździe do Betlejem faktycznie trudno dziś czuć się komfortowo. Do tego ta otaczająca nas aura. Wyrastające nagle, chaotycznie wybudowane, nieotynkowane domy. Stojące gdzie popadnie samochody. Dziurawe chodniki. Wszystko to kontrastuje z poczuciem harmonii i ładu przestrzennego bogatego Izraela. Rzeczywiście można się tu poczuć nieswojo. Porozrzucane na ulicach śmieci. Pozostawione gruzowiska rozlokowane tuż obok zamieszkałych bloków. Gdzieś leży przewrócone wiadro. Jeszcze dalej jakieś drewniane deski. Oparte o niedokończoną ceglana przybudówkę. Bajzel.

A to przecież takie ważne miasto. Zarówno dla Żydów, jaki i całego świata. To przecież właśnie tutaj tyśiąc lat przez Chrystusem narodził się król Dawid. A jeszcze wcześniej – gdyby pogrzebać w historii – w Betlejem na świat przyszedł najmłodszy z dwunastu synów Jakuba: Ben-Oni. Tak przynajmniej go chciała nazwać umierająca podczas porodu żona pa-



triarchy Izraela, Racheli. „Ben-Oni” miało oznaczać „syn nieszczęścia”. Faktycznie, gdy najmłodszy syn wnuka Abrahama nabierał pierwszego wdechu, ostatnie tchnienie wydawała jego piękna rodzicielka. Imię synowi zmienił dopiero Jakub. Z „Ben-Oniego” miał od tej chwili zwać się „Ben-Jaminem”, czyli „synem szczęścia”.

Zmarłą przy porodzie małżonkę Jakub postanowił pochować na obrzeżu Betlejem. Możemy o tym przeczytać w Księdze Rodzaju: „A Rachela umarła i została pochowana przy drodze do Efrata, czyli Betlejem. Jakub ustawił stelę na jej grobie. Kamień ten stoi na grobie Racheli po dziś dzień” (Rdz, 35: 19-20).

W ten właśnie sposób Betlejem po raz pierwszy pojawia się na kartach Świętej Księgi. Jako miejsce spoczynku żony Jakuba, Racheli. Sam grób jest zresztą, jak mówi Pismo, dostępny do dziś. Nadal poza miastem. Poza murami. Pilnie strzeżony przez pobożne żydówki i żydów. Mogą składać pocałunki na jedwabnej zasłonie starego sarkofagu. Modlą się o płodność i szczęśliwe rozwiązanie. Grób mieści się w środku małego, pobielonego budynku. Własności filantropa i podróżnika sir Mosesa Montefiore.

► Zakaz wstępu

„A ty, Betlejem Efrata, najmniejsze jesteś wśród plecion judzkich! Z ciebie mi wyjdzie Ten, który będzie



Dokładnie w tym miejscu, jak podaje Tradycja, „narodził się Zbawiciel, którym jest Jezus Chrystus”

władął w Izraelu, a pochodzenie Jego od początku, od dni wieczności”.

Trzydziestotysięczne Betlejem. Miasto na wzgórzu. Miasto, w którym Żyd to wróg. Miasto, w którym za izraelskie pochodzenie można dostać kulkę w plecy. A jednocześnie miasto, w którym cały chrześcijański świat czci Tego, którego narodziny oznaczały zbawienie świata. Syna Żyda i Żydówki. Miasto wewnętrznie sprzeczne. Miasto niezgody. Miasto za murami.

Zapieczetowane. Zamknięte. Zaryglowane. Miasto Narodzin Zbawiciela. Miejsce, gdzie Bóg stał się jednym z nas. Stał się człowiekiem.

Dziś miejsce, w którym nie zawsze jest bezpiecznie. Jak choćby wtedy – podczas działań wojennych z jesieni 2001 r. Gdy strzały padały niemal zewsząd. Zza porzucanych samochodów. Zza rogów ulic, po których tak jak dziś walały się śmieci. Gdy na ulicach zawieszano zdjęcia zabitego przed kilkoma dniami chłopca. Ministranta. Zastrzelonego krzyżowym ogniem na placu Żłóbka. Tak niedaleko Miejsca Narodzenia.

Miasto Palestyńczyków. Tych samych, których ujął wizytujący ich miasto papież-Polak. Zwłaszcza wówczas, gdy jako papież Jan Paweł II całował podany do ust fragment betlejemskiej ziemi. Albo gdy przemawiając do przesiedlonych muzułmanów, mówił: „Droddy uchodźcy, nie myślcie, że wasza sytuacja czyni was mniej waż-

nymi w oczach Bożych (...) Pasterze z Betlejem byli prawdopodobnie waszymi przodkami”. Pasterz Pokoju próbował. Dziś mało kto próbuje.

Miasto Arabów. Ludzi takich jak wszędzie indziej. Zarówno dobrych, jak i złych. Smutnych i ponurych. Uśmiechniętych jak choćby ten sprzedawca dewocjonaliów, który zaprasza do swego sklepiku na tyłach Bazyliki Narodzenia Pańskiego. Nalewający potencjalnemu kupcowi ciepłej, słodkiej herbaty i ceremonialnie wręczający kubek. Ironicznych jak pewien początkujący biznesmen, który w trzyma w sklepie przy kasie papugę. Tak wyszkołoną, aby na sam ruch ręki klienta w kierunku sklepowej kasy reagowała głośnym dziobaniem w dłoń.

Ale także opryskliwych i cwanych.

– Musicie mieć przewodnika. – Przed wejściem do Bazyliki Narodzenia Pańskiego zatrzymuje nas dwóch jegomości.

– Nieprawda... – Mieszkający kilka miesięcy w Izraelu Wojtek nie daje po sobie poznać zdenerwowania.

– Musicie... – wyraz twarzy zatrzymującego nas mężczyzny jest coraz groźniejszy.

– To mafia. Mają układ z lokalnymi à la przewodnikami – mówi do nas po polsku Wojtek. By po chwili, zwracając się do tamującego nam wejście jegomością, znów przejść na angielski – Szanowny panie, obydwaj wiemy, że to, co pan tu wyczynia, nie jest legalne.

– Ty dziś tu nie wejdiesz – odpowiada mężczyzna, chcąc prawdopodobnie zachować honor.

– W porządku – szepcze Wojtek, wychodząc z kolejki i dając mi gestem znak, abym wchodził bez niego. Na koniec raz jeszcze patrzy muzułmaninowi w twarz. – Byłem już wiele razy.

Odpowiedź Wojtka kompletnie zbija męczyznę z tropu. Już wie, że dziś na Polakach nie zarobi.

► Japończycy, Rosjanie i mafiosi

„Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszkę i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie. W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą. Naraz stanął przy nich anioł Pański i chwala Pańska zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli. Lecz anioł rzekł do nich: Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: Znajdziecie Niemowlę, owinięte w pieluszkę i leżące w żłobie. I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami: Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania. Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili nawzajem do siebie:

Pójdźmy do Betlejem i zobaczmy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił. Udali się też z pośpiechem i znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie” (Łk 2:6-16).

120 centymetrów wysokości. Są tak niskie, że dorosły, by przez nie przejść, musi się dobrze schylić. To Drzwi Pokory. Główne wejście do Bazyliki Narodzenia. Miejsca, gdzie na świat przyszedł Mesjasz. Miejsca, gdzie witali go pasterze. Miejsca, do którego wejście celowo obniżyli przebywający tu swego czasu krzyżowcy. Wszystko po to, aby do świątyni nie dało się wejść konno.

– Przepraszam, przepraszam bardzo... – W kolejce w dół groty zlokalizowanej na samym końcu świątyni przepycha się agresywnie wysoki siwawy mężczyzna.

– Panie, co pan?! – wymyka mi się nerwowo. Oczekujemy w tej kolejce już ponad dwadzieścia minut. Wokół nas idzie japońska grupa turystów. Pchają się niemiłosiernie. Nie widzą zupełnie nikogo. Można się na prawdę wściec. Tuż za nimi idą Rosjanie. Z krzyczącym w niebogłose przewodnikiem. Jestem w pułapce. Znikąd ratunku. Muszę wytrzymać. O modlitwie w takich warunkach nawet nie myślę. A teraz ten pacan pcha mi się na plecy. – Zwariował pan? Wszyscy tu stoimy! Dlaczego niby mam pana przepuścić?!

– Szanowny panie, bo ja jestem stąd... – Przystojny Żyd daje jednocześnie znak trójce ludzi, aby podążali za nim.

– O nie, nie... Nie ma mowy! – zniżam głos do szeptu, gdyż powoli kolejka zbliża się do miejsca narodzin Jezusa. Ulokowane za prezbiterium schodki prowadzą w dół skalnej groty. Lada chwila będę na miejscu.

– Nie obchodzi mnie pańskie zdanie. Jestem Żydem. Mieszkam tutaj. Mam prawo do tego miejsca. Nie będę stał z moimi ludźmi w kolejce.

– Pan żartuje, prawda? – Gula w moim gardle powiększa się z każdą sekundą. A świadomość bezczelności, z jaką przychodzi mi obcować, wprawia w nie lada zdumienie.

– Nie, nie żartuję – odpowiada, nie patrząc mi już nawet w oczy. Ręką ponagla idących za nim znajomych. – Chodźcie, chodźcie... My nie musimy stać.

Za jakiś czas dowiem się więcej o tym człowieku. To jeden z tych „przewodników”, o których pytał jegomość przed wejściem. Członek nieformalnej palestyńskiej mafii, trzymającej łapę na przewodnickim interesie odbywającym się wokół bazyliki.

Przepychając się między nadal opowiadającym pełnym głosem – mimo nastroju miejsca – rosyjskim przewodnikiem, pozującymi do zdjęć Japończykami a cwanie wypychającym się przed szereg kolejki Żydem, docieram wreszcie do celu. Jestem tuż przed. Podemną utkwiona w posadze gwiazda. Wielkości ludzkiej dłoni. To miejsce narodzin. Tutaj Jezus przyszedł na świat.



Betlejem XXI wieku

Nie potrafię się skupić. Nie potrafię się zachwycić. Wszystko we mnie pulsuje. Stojąca za mną Japonka boleśnie wbija swój łokieć pod moją łopatkę. Boli. Nie odwracam się. Po co? Jeszcze dojdzie do kolejnej kłótniwej dyskusji. W takim miejscu. Chyba lepiej przygryźć wargę. I chociaż spróbować na moment się skupić. Choć o to potwornie trudno.

► Ciepła grot

„Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 7:7).

Jest. Słynna skalna betlejemską grota. I wszystko byłoby pięknie... Gdzie jednak w takim razie ten słynny biblijny żłóbek? Jak to pogodzić z zapisem w Biblii? Jaskinię, groty. Ze żłóbkiem? Nie rozumiem...

Pewien benedyktyński mnich Bargil Pixner, znawca i odkrywca świętych miejsc powiązanych z życiem Jezusa, z którym to ojcem fascynujące rozmowy przywoływał w swojej książce „Ziemia Boga w 20 tajemnicach” Paulo Badde, był twórcą dość odważnej hipotezy próbującej wyjaśnić wątpliwość dotyczącą sformułowania o betlejemskim żłobie. Tak oto wypowiedź ojca cytuje w swoim dziele sam Badde: „Poród podobno miał miejsce na samym końcu jaskini. Istotnie jest tu w głębi groty bardzo stare wyżłobienie w skale, do którego wysypywano karmę dla zwierząt. [...] Istnieją takie kamienne żłoby. Znam jeden na południe od Betle-



fot. Agnieszka Słusarczyk

jem. Pokazuję go chętnie pielgrzymom. Jest niedaleko starej warowni króla Heroda. Po dziś dzień niejedna grotą w tej okolicy służy rozmaitym pasterzom i ich zwierzętom jako schronienie przed nocą i deszczem. W ich ścianach są wyżłobione dość nieformalne niecki o charakterze kamiennych żłobków, dokładnie jak w grocie betlejemskiej, gdzie ta niecka stała się kolebką chrześcijaństwa”.

Może zatem to właśnie tak? Może o to chodzi z tym „żłobem”? Jedno jest pewne. Dzisiejszy kamienny żłobek w skale odbiega nieco od tego, jak wyglądał ponad 2000 lat temu. Przede wszystkim dziś na pewno jest tu znacznie cieplej. Ze stropu groty zwisają przepiękne oliwne lampki. Skądś dociera woń kadzidła. I te oddechy pielgrzymów. Tak, dziś w betlejemskiej grocie nie sposób już zmarznąć.

► Wzajemne oględziny

„Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzelśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon” (Mt 2:1).

Długie, ciągnące się kilometrami kolczaste druty. Czasem podwójne zasieki. Na ich przedzie trupia czacha wyrta na błazanej tabliczce. Mknąca pomiędzy dwoma tak ogrodzonymi terenami asfaltowa nitka jest fragmentami na tyle wążutka, że nie sposób minąć się

z jadącym z przeciwka samochodem bez zjechania na szutrowe pobocze. Wtedy momentalnie podrywają się w powietrze tumany kurzu.

Z czasem osiadą na poszarzałej już ze starości tabliczce z napisem: „Zakaz wstępu! Teren zaminowany! Przejście grozi śmiercią!” I będą tak czekały na kolejne auto mknące wzdłuż niewielkiej odnogi krajowej dziewięćdziesiątki. Aż zmiotą je kolejne wyziewy pustynnego kurzu.

To tereny nadgraniczne między Jordanią i Izraelem. Zaminowane hektary pustyni. Nie do przekroczenia. Nie do ruszenia. Miny mają zabezpieczać buforową strefę między zwaśnionymi krajami.

Dwa tysiące lat temu musieli tędy przechodzić. Innej drogi raczej nie mieli. Przecież szli ponoć z terenów dzisiejszego Iranu. W ilu? Tego nie wiemy. Jedni piszą o trzech, inni o czterech. Jeszcze inni o sześciu bądź dwunastu. Ale są nawet i tacy, którzy obstają przy wersji, że stanowili grupę pięćdziesięciu. Pięćdziesięciu magów, mędrców, króli... W jednym badacze zgadzają się na pewno. Że wędrowali. Że do pokonania mieli wcale niemały dystans, bo blisko półtora tysiąca kilometrów. Za dnia w spiekocie i upale. W nocy w chłodzie i niebezpieczeństwie. Wtedy jeszcze było można.

Dziś części terenów, przez które mogli przechodzić, nawet nie powąchamy. Zza kamiennych wydmy raz na jakiś czas wylania się jakiś koszarowy budynek. Z flagą z Gwiazdą Dawida. Żołnierza też raczej nie zobaczymy. Nie z tej perspektywy. Ujrzymy go tylko wówczas, jeśli sam będzie tego chciał. Lepiej jednak, abyśmy go do tego nie prowokowali.

► W oczekiwaniu

Ziemia Święta XXI wieku. Skoszarowana. Pod łopoczącą flagą z błękitną gwiazdą utwierdzoną na szczycie twierdzy Masada. Symbolu izraelskiej niezłomności. Z wieczną obawą przed zamachami. Z zadżganym przez muzułmańskiego nożownika w miejskiej bramie w dniu mojego pobytu w Świętym Mieście ortodoksyjnym Żydem. Z uśmiechniętymi i usiłującymi żyć po swojemu arabskimi sklepikarzami z Betlejem. Z sennym Nazaretem. Utulonym w ramionach opiekuńczej i dobrej Matki. Z cwaniactwem palestyńskiej mafii pod Bazyliką Narodzenia.

Kilka tygodni po kolejnej rocznicy urodzin Zbawiciela Świata. Nadal taka sama. Od kilkudziesięciu już lat. Z zapachem prawosławnych kadzideł i lamp. Z szelestem przesuwanych powoli paciorków od różańców umocowanych przy franciszkańskich habitach. Ze śpiewem muezina z okolicznego minaretu. Ziemia wciąż oczekująca na ponowne narodzenie. Niemogąca się już doczekać. ■

Tekst jest drugą, ostatnią częścią rozpoczętą w zeszłym numerze opowieści o miejscach związanych z narodzeniem Pana Jezusa.

Olga Doleśniak-Harczuk



Styczniowe obrazki z Berlina

Berlińczycy powoli otrząsają się po zamachu pod Gedächtniskirche, ale trauma pozostanie na długo. Studenci strajkują w obronie funkcjonariusza STASI, w katakumbach Katedry Berlińskiej odnaleziono szczątki żony starego Fryca, a mieszkańcy niemieckiej stolicy nieformalnie podzielili się na klub pro- i antyMerkelowy. I tylko towarzysz Lenin stoi jak stał w holu Muzeum Historycznego Niemiec i lustruje każdy krok odwiedzających.

16 stycznia na Breitscheidplatz, tam, gdzie 19 grudnia ubiegłego roku terrorysta zabrał życie Polakowi Łukaszowi Urbanowi i jednocześnie innym osobom, leżą przypróśzone śniegiem kwiaty. Znicze tlą się słabo, wiatr robi swoje. Co chwila ktoś przystaje, czyta napisy na ścianie oddzielającej znicze i wiązanki od ruchliwej ulicy. Po polsku: „Dla Polaka i innych, którzy zgineli w zamachu. Małgorzata, Sławomir, Małgorzata i Hubert. Spoczywajcie w pokoju”, po niemiecku: „ISIS nie ma nic wspólnego z islamem. To diabelski pomiot”, po angielsku: „Boże, dopomóż, byśmy pozostali zjednoczeni. Baz i Tracey z Anglii”, po hiszpańsku: „Honduras łączy się z wami w żalobie, chcemy świata miłości, pokoju i tolerancji”. Komentarzy jest wiele, różnych. Między kwiaty a znicze powtykano kartki, część słów jest jeszcze czytelna, jak chociażby te: „Łukasz, dziękujemy, pamiętamy. Rodacy”.

19 stycznia, równo miesiąc po zamachu, sprzątanie po ulotnym miejscu pamięci. I nieśmiałe pytanie dwóch niemieckich nastolatków, pewnie turystów: „Proszę pa-

ni, co tu się stało?”. „Zamach terrorystyczny, zginęło kilkanaście osób”. „Aha, dziękujemy”. Kwiaty i znicze są już na tacze gotowe do zabrania. Ale pod wieczór pojawi się tu nowy dywan lampek.

► Klasa średnia broni Merkel

„Rozumiem, że można Merkel nie lubić, ale czy ja naprawdę muszę słuchać utyskiwań na jej politykę nawet w taksówce? Czy ja naprawdę za dużo od ludzi wymagam?” – skarży się pani X, właścicielka dobrze prosperującego przedsiębiorstwa na południu Niemiec. Pani X żyje dostatnio i nie widzi nic zdrożnego w tym, by Niemcy, państwo opływające w dobrobyt, nie miało przyjmować setek tysięcy uchodźców z Bliskiego Wschodu. „Mamy moralny obowiązek, by pomagać, a kanclerz Merkel postąpiła słusznie. Jest twardą kobietą, ale wyczuloną na cierpienie bliźniego. Bardzo ją za to szanuję” – dodaje X. Pan Y, typowy przedstawiciel niemieckiej klasy średniej, włącza się do rozmowy: „Jesteśmy odpowiedzialni za zbrodnie II wojny

światowej, sprawiliśmy wiele bólu milionom ludzi, nie wyobrażam sobie, byśmy mieli odwrócić się teraz na pięcie i zamknąć oczy na cierpienie kobiet i dzieci, które pukają do naszych drzwi. Merkel postąpiła słusznie. Jesteśmy bogaci, możemy sobie na to pozwolić". „A co z zamachami terrorystycznymi, z zagrożeniem islamskiego ekstremizmu, które ostatnio dało o sobie znać w samym sercu Berlina?”. „Sprawca nie był typowym uchodźcą, nie wrzucamy wszystkich do jednego worka” – odpowiada Y, dodając, że w Niemczech nie może być miejsca na ksenofobię. Rozmawiamy o sprawach polskich, teraz to on pyta. „Dlaczego ta Steinbach jest dla Polaków taka ważna? Tutaj nic nie znała, teraz poza CDU praktycznie przestaje istnieć w polityce” – stwierdza. Tłumaczę rolę Steinbach w podgrzewaniu tematu „wypędzonych”. Mój rozmówca kręci głową. „Polska jest naszym przyjacielem, wróg jest na Wschodzie, a nie tutaj, to na Rosję musimy patrzeć z uwagą. Dobrze, że wzmacniamy rubież NATO i robimy to wspólnie, dla mnie jako Niemca to rewolucja, niemiecki żołnierz broniący wschodniej granicy UE jest czymś niesamowitym. Zwrot o 180 stopni, nigdy bym nie pomyślał, że do czegoś takiego dojdzie, że Bundeswehra ruszy na wschód, a miejscowi się ucieszą” – dodaje Y i znowu kręci głową, tym razem jakby nie wierzył własnym słowom.

Nazajutrz rozmawiam z Laurą, nauczycielką niemieckiego ze szkoły dla uchodźców. Opowiada, że po zamachu panowała w klasach grobowa atmosfera, jeden na drugiego patrzył podejrzliwie, wykładowcy mieli trudność, by prowadzić lekcje. Jej znajomy, Peter, pracownik berlińskiego szpitala, jest wściekły na politykę rządu. „Merkel nas niszczy, ale ludziom wmówiono, że ona wszystko czyni dla dobra Niemiec, że za kilkanaście lat inwestycja w uchodźców opłaci się nam ekonomicznie, nie wierzę w to. Będziemy mniejszością we własnym kraju” – kończy.

► Niespełniona żona w podziemiach katedry

17 stycznia w prasie wielkie poruszenie, które na moment odrywa uwagę berlińczyków od Merkel. Od początku: Fryderyk II Wielki, król Prus (1740–1786) zwany starym Frycem miał małżonkę Elisabeth Christine. Małżeństwo to było specyficzne, Fryc nie pałał do żony szczególnym uczuciem, co historycy tłumaczą prawdopodobnie skłonnościami homoseksualnymi władcy. Żonę trzymał na odległość, rezydował albo w poczdamskim Sanssouci albo w Schloss Charlottenburg, Elisabeth zaś mieszkała z dala od dworu – w Schloss Schönhausen. Spotykali się rzadko, w 1763 r., po siedmiu latach niewiedzenia się, król na powitanie małżonki zawołał: „Madame, utylas”, a siedem lat później, przedstawiając ją towarzystwu przy stole, wypalił „Oto moja stara krowa, ale przecież już ją znacie”. W styczniu w podziemiach katedry berlińskiej natrafiono na kości, wszystko wskazuje

na to, że są to szczątki królowej Elisabeth Christine, teraz naukowcy muszą to potwierdzić. Smutna władczyni nawet po śmierci spoczęła z dala od męża. Stary Fryc został pochowany w Sanssouci, gdzie leży ze swoimi ukochanymi charcikami włoskimi, tak jak sobie tego zażywał w testamencie. Koniec historii.

► Stasi na uniwerku

18 stycznia władze Humboldt Universität zwoływały z pracy dr. Andreja Holma, docenta, który zataił w swoim życiorysie epizod ze szkołą oficerską Ministerstwa Bezpieczeństwa NRD. Kilka dni wcześniej Holmowi za współpracę podziękował też berliński ratusz. Sam Holm ma ciekawą historię – jego dziadkowie wyemigrowali za III Rzeszy do Związku Sowieckiego. Ojciec Holma, Hans, urodzony już w Moskwie, znalazł po wojnie zatrudnienie w NRD-owskim Ministerstwie Bezpieczeństwa w Wydziale XX. Andrej jako 14-latek wstąpił do FDJ, a cztery lata później do Socjalistycznej Partii Jedności (SED). Po maturze zgłosił się natomiast do szkoły oficerskiej w wydziale swojego ojca. Za przemilczenie tego faktu w CV wyleciał z pracy. O ile w ratuszu rządzonego przez SPD obydło się bez incydentów, to studenci stanęli murem za Holmem. W dzień ogłoszenia decyzji władz HU młodzi ludzie zaczęli okupację oszklonego budynku Wydziału Socjologii, powiesili transparenty z napisami: „Nie ma HU bez Holma”, „Holm zostaje”, „Studenti z Andrejem”. Wsparcia udzielili protestującym postkomuniści z berlińskiej Die Linke, ponieważ, jak tłumaczy, zwolnienie Holma miało podłoże „polityczne”, a takie decyzje zabijają „krytyczne myślenie”. Studenci mają skłonność do czerwieni nie od dziś, a „krytyczne myślenie” to w tym przypadku spadek po Marksie. Żenujący to teatr, ale pocieszające, że moja Alma Mater nie schodzi jednak do końca na psy, skoro władze obstają przy swojej decyzji.

► Uśmiech Lenina

Wiatr ze Wschodu jest jednak w Berlinie silny. To pewnie magnetyzm trzymetrowej statui Lenina z brązu stojącej w holu Muzeum Historycznego Niemiec. Olbrzym jest dziełem sowieckiego rzeźbiarza Matwieja Manisera (1925), jak głosi miejska legenda, statua trafiła do III Rzeszy w październiku 1943 r. wśród zdobyczy wojennych. Przy rozładunku byli sowieccy pracownicy przymusowi, którzy widząc „wodza”, postanowili go uratować przed przetopieniem. Trudno uwierzyć, by byli w stanie ukryć przed Niemcami brak trzymetrowego kolosa, ale niech będzie i tak. Faktem jest, że Lenin stoi cały i nienadtopiony w holu niemieckiego muzeum, a turyści robią sobie z nim zdjęcia i wrzucają na portale społecznościowe. Pewnie nie czytali Ossendowskiego. Pożyteczni idioci do dziś radują rewolucyjne serce Lenina. Jedni robią sobie selfie z „wodzem”, inni daliby się pokroić za Andreja Holma. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

► Hongkong–Tajwan–Chiny

Wydarzenia z początku stycznia na Tajwanie pokazują, jak Komunistyczna Partia Chin Ludowych wykorzystuje mafie do destabilizacji sytuacji i walki ze swoimi przeciwnikami politycznymi na wyspie i w Hongkongu.

7 stycznia z wizytą na Tajwan przybyła grupa młodych hongkońskich polityków: Nathan Law, najmłodszy deputowany w byłej kolonii brytyjskiej, i Joshua Wong. Obaj byli organizatorami „rewolucji parasoli” w 2014 r., czyli 80-dniowego protestu polegającego na okupacji ulic Hongkongu. Wówczas domagano się wolnych wyborów i protestowano przeciwko ograniczaniu podstawowych wolności przez Pekin.

Po przybyciu na lotnisko w Tajpej hongkońscy politycy zostali zaatakowani przez członków tzw. Stowarzyszenia Patriotycznego i gang Bambusowej Unii. Stowarzyszenie Patriotyczne to organizacja sponsorowana przez Pekin, która za swój główny cel stawia wchłonięcie wyspy przez komunistyczne Chiny. W 2013 i 2014 r. przedstawiciele tej organizacji demonstrowali na ulicach Tajpej z czerwonymi flagami i z głoszącymi komunistyczne hasła banerami. Prokomunistyczne demonstracje stawały się coraz bardziej agresywne, np. ich uczestnicy używali przemocy wobec członków zakazanego w Chinach ruchu Falun Gong, organizującego na ulicach Tajpej wystawy poświęcone handlowi organami w Państwie Środka (na procederze pobierania organów od więzionych członków Falun Gong czy chrześcijan zarabiają liczni oficerowie partii komunistycznej). Rządząca przez lata w Tajpej propekińska partia KMT nie reagowała na te protesty. Dopiero gdy burmistrzem Tajpej pod koniec 2014 r. został niezależny kandydat Ke Wen-je, władze miasta i policja uporały się z brutalnymi demonstrantami.

Gang Bambusowej Unii to jedna z trzech triad (mafii dalekowschodnich – przyp. red.) na Tajwanie. Jego byłym szefem jest Chang An-lo, zwany „Białym Wilkiem”. Przez 17 lat ukrywał się w Chinach przed tajwańskim wymia-

rem sprawiedliwości. W czerwcu 2014 r. wrócił na wyspę, bo – jak twierdzi – doszedł „do porozumienia z ministerstwem sprawiedliwości” będącym wówczas w rękach Kuomintangu. Aresztowany na krótko został zwolniony za kaucją i odtąd często pojawiał się w mediach i organizował wiece, na których promował zjednoczenie Tajwanu z komunistycznymi Chinami. Chang wykonuje zadania zlecone mu przez komunistów z Chin – ma wprowadzać zamęt i strach w społeczeństwie tajwańskim.

► Japonia–Filipiny–USA

Japoński premier Shinzo Abe nie szczędzi wysiłków, by rozwijać relacje z krajami w Azji w obawie przed ekspansywną polityką prowadzoną w regionie przez Chiny.

Wydaje się, że premier Abe realizuje też to, o czym niedawno pisało amerykańskie pismo „The National Interest”. Stwierdziło ono, że japoński przywódca może ponownie uczynić amerykański zwrot ku Azji wielkim (make it great again) i pomóc Waszyngtonowi w naprawie relacji z tymi azjatyckimi krajami, z którymi za rządów Obamy stosunki się pogorszyły.

12 stycznia Shinzo Abe przybył na Filipiny i zaoferował tu kredyty w wysokości 8,7 mld dolarów. Komentatorzy twierdzą, że wizyta ta ułatwi Trumpowi poprawę relacji z prezydentem Filipin Rodrigo Duterte, który od momentu dojścia do władzy prowadzi politykę „separacji” od USA w sferze wojskowej. Takiego sformułowania użył on w październiku zeszłego roku w czasie wizyty w Pekinie. Filipiński przywódca ogłosił wtedy zbliżenie z Chinami.

Filipiny przez prawie 70 lat były sojusznikiem USA. Wiosną 2016 r. Waszyngton i Manila podpisały porozumienie o budowie pięciu nowych baz, w tym na archipelagu Palawan, najdalej wysuniętym na zachód, w kierunku Chin. Jednak gdy w czerwcu 2016 r. rządy objął Duterte, plany te spaliły na panewce. Nowy prezydent Filipin był często krytykowany przez Obamę za krwawą kampanię walki z narkomanią, która przez ostatnie pół roku

pochłonęła już prawie 6 tys. ofiar. Handlarze i narkomani są mordowani przez policję i tzw. szwadrony śmierci złożone z byłych policjantów.

W odpowiedzi na krytykę ze strony administracji USA Duterte ogłosił zbliżenie z Chinami. Trump w odróżnieniu od Obamy nie zamierza ingerować w wewnętrzne sprawy Filipin, bo ważniejsze dla niego jest, by Duterte współpracował z USA.

Wizyta na Filipinach premiera Japonii, sojusznika USA, została dobrze przyjęta w otoczeniu Trumpa, bo jest to sygnał, że można powstrzymać zbliżenie Manili z Pekinem.

Japoński premier był pierwszym przywódcą na świecie, który spotkał się z Trumpem zaraz po jego wygranej w wyborach. Shinzo Abe i Donald Trump dzielą stanowisko dotyczące sukcesywnego dozbrajania krajowych wojsk. Japoński przywódca od momentu dojścia do władzy w 2012 r. zapowiadał odwrót od pacyfizmu, który narzuciła Japonii konstytucja opracowana w 1946 r. przez amerykańskich prawników. W ubiegłym roku wyższa izba parlamentu Japonii przyjęła ustawę rozszerzającą rolę armii, zezwalając po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej na użycie wojska poza granicami kraju w obronie sojuszników. Za rządów Shinzo Abe z roku na rok rosną także wydatki na armię. W tym roku mają one wynieść prawie 50 mld dolarów.

► Chiny

Zuo Chunhe, zastępca dyrektora Biura ds. Kultury, Radia, Filmu, Telewizji, Prasy i Wydawnictw w mieście Shijiazhuang, w prowincji Hebei, został zwolniony, gdy na portalu Weibo (chiński odpowiednik Twittera) nazwał diabłem twórcę komunistycznych Chin Mao Zedonga, a doroczne obchody rocznicy urodzin Mao uznał za „największy przejaw kultu na świecie”. Komunistyczne władze miasta Shijiazhuang stwierdziły, że urzędnik został ukarany, ponieważ „zamieścił niewłaściwe uwagi” w serwisie społecznościowym, co „poważnie narusza polityczną dyscyplinę”. Oświadczono także, że Zuo musi „głęboko zastanowić się” nad swoimi błędami, a jego konto na Weibo zostało usunięte.

Na początku stycznia profesor pracujący na jednej z uczelni w prowincji Shangdong został zwolniony, gdy także na portalu Weibo obwiniał Mao za śmierć milionów Chińczyków w czasie wielkiego skoku naprzód (kampania gospodarcza w latach 1958–1962) i rewolucji kulturalnej (1966–1969). Po opublikowaniu komentarza przez naukowca przed wejściem do uczelni odbył się protest zwolenników Mao Zedonga, którzy nieśli portrety komunistycznego przywódcy i baner z napisem: „Kto sprzeciwia się przewodniczącemu Mao, jest przeciw ludowi”. Od momentu dojścia do władzy prezydent Xi Jinping głosi potrzebę odrodzenia myśli Mao. Jak zapewnia obec-

ny prezydent ChRL, „sztandar z myślami Mao Zedonga powinien być niesiony wysoko”. Stąd karanie tych, którzy krytykują przewodniczącego, i promocja ideologii Mao. Propagowaniu maoizmu ma służyć m.in. stworzenie na jednej z czołowych chińskich uczelni, Uniwersytecie Tsinghua w Pekinie, kursu online „Wprowadzenie do myśli Mao Zedonga”. Ideologia Mao promowana jest także poprzez kulturę. Pod koniec 2015 r. odbyła się premiera sfilmowanej w technice 3D ulubionej opery rewolucyjnej Mao pt. „Dziewczyna o białych włosach”.

Chińska dziennikarka Gao Yu uważa, że fascynacja Xi Jinpinga Mao Zedongiem wynika z tego, iż obecnemu przywódcy Chin zależy na takim zreorganizowaniu kraju, by on sam „mógł mieć w swoich rękach taką samą władzę, jaką dysponował Mao Zedong na początku istnienia komunistycznych Chin”.

► Korea Południowa

Korea Południowa określana jest jako czwarta i najbardziej innowacyjna gospodarka świata. Jest to też kraj, którego dalszy rozwój jest zagrożony m.in. ze względu na niski współczynnik dzietności. W Korei Płd. w 2015 r. wyniósł on 1,24 na jedną kobietę. W celu przeciwdziałania tej tendencji rząd w Seulu stara się zapewnić bodźce ekonomiczne tak, by rodzice byli skłonni mieć więcej dzieci. Władze Korei Płd. zapowiedziały, że w 2017 r. wydane zostaną ponad 22 biliony wonów południowokoreańskich (około 19 mld dolarów) na program zwiększenia dzietności.

W 1960 r. Korea Płd. przyjęła politykę kontroli urodzeń. W tym czasie rząd wysłał funkcjonariuszy odpowiedzialnych za tę politykę głównie w regiony wiejskie, gdzie namawiano miejscową ludność do ograniczenia liczby dzieci do jednej pociechy. Oferowano nawet bezpłatną wazektomię. Ta drażniąca polityka kontroli urodzeń doprowadziła do tego, że współczynnik dzietności spadł z 6,0 w 1960 r. do 2,06 w 1983 r. W 2005 r. osiągnął drastycznie niski poziom 1,08.

Z opublikowanego w 2014 r. raportu sporządzonego przez centrum badań przy seulskim parlamencie wynika, że jeśli zachowane zostaną obecne tendencje demograficzne, to Korea Południowa wymrze do 2750 r., a wcześniej – do 2136 r. – liczba jego mieszkańców skurczy się o 80 proc.

Władze w Seulu i naukowcy mówią już otwarcie, że niski poziom urodzeń jest początkiem narodowej katastrofy. Planowane są działania, które do 2020 r. mają podnieść współczynnik dzietności do 1,5 dziecka na jedną kobietę, a do 2045 r. do poziomu 2,1. Koreańskie władze chcą m.in. wprowadzić przywileje mieszkaniowe dla młodych małżeństw i wspierać z budżetu kampanie promujące życie w małżeństwie. Samorządy mają wspierać inicjatywy matrymonialne dla singli, a także oferować pomoc finansową dla rodzin posiadających więcej niż dwoje dzieci. ■

Krym w mroku. Uciszanie dysydentów

Amnesty International opublikowała w grudniu ubiegłego roku raport o sytuacji na okupowanym Krymie. Organizacja oskarża Rosję o systematyczne prześladowanie społeczności krymskich Tatarów od momentu aneksji w 2014 r. Wprowadzone na półwyspie rosyjskie prawa uderzyły w rdzennych mieszkańców Krymu, zresztą ogólnie ograniczyły swobodę zgromadzeń i wolność słowa. AI pisze o zakazie działalności Medżlisu, o presji na szefów tej organizacji, o zaginięciach Tatarów, wszczynanych przeciw nim sprawach karnych i próbach robienia z nich islamskich terrorystów z Hizb ut-Tahrir. Publikujemy fragmenty raportu, który powstał na podstawie ponad 50 wywiadów z mieszkańcami Krymu.



ГОСУДАРСТВЕН
РЕСПУБЛИК

tłumaczył Antoni Rybczyński

Medżlis Narodu Krymskich Tatarów jest organem wybieranym na nieformalnym zgromadzeniu wszystkich Tatarów krymskich, Kurultaju. Medżlis reprezentuje wspólnotę tatarską wobec władz lokalnych i centralnych. Członkowie Medżlisu, szczególnie jego obecny i były lider, stali się obiektem zastraszania, przymusowej emigracji i postępowania karnego, podczas gdy sam organ został pozbawiony biur, formalnie ostrzeżony przed angażowaniem się w działania „ekstremistyczne” (krytyka nowych politycznych realiów na półwyspie), a ostatnio ogłoszony nielegalną „ekstremistyczną” organizacją. Kilku działaczy związanych z Medżlisem obecnie ma postępowania karne.

15 lutego 2016 r. „prokurator Krymu” wszczął sprawę przeciwko Medżlisowi, zarzucając mu, że jest „ekstremistyczną” organizacją, co ma wynikać z oporu (bez przemocy) jego liderów wobec aneksji Krymu i rosyjskiej okupacji. Wcześniej lidera Medżlisu Refata Czubarowa zmuszono do opuszczenia Krymu, podobnie jak jego poprzednika Mustafę Dżemilewa, weterana walki o prawa człowieka, nieformalnego przywódcę krymskich Tatarów, także przeciwnika okupacji. Medżlis został zmuszony do opuszczenia swojej siedziby w Symferopolu po tym, jak sąd orzekł, że właściciel budynku, charytatywna Fundacja Krym, nie miała prawa go wynająć. Sąd zarządził opróżnienie historycznego budynku, a następnie zajął własność, gdy właściciel nie usunął najemców. 17 marca Sąd Najwyższy Krymu

zaczął przesłuchania w sprawie wytoczonej przeciwko Medżlisowi przez „prokuraturę” twierdzącą, że to „ekstremistyczna” organizacja. Oskarżenie oparło się przede wszystkim na oświadczeniach przywódcy Medżlisu, Refata Czubarowa, który odmówił uznania legalności rosyjskiej aneksji Krymu, wezwał do ekonomicznej i energetycznej blokady półwyspu ze strony głównej części Ukrainy, wielokrotnie wzywał do przywrócenia na Krymie rządów ukraińskich. Proces zakończył się 26 kwietnia orzeczeniem ostatecznego zamknięcia Medżlisu i zakazu jego działalności. Ale już 13 kwietnia „prokurator Krymu” sam zdecydował o zawieszeniu działalności Medżlisu, a 18 kwietnia rosyjskie Ministerstwo Sprawiedliwości wpisało Medżlis do oficjalnego rejestru „organizacji ekstremistycznych”. To zaś oznacza, że członkowie i zwolennicy Medżlisu z lokalnych organizacji na Krymie mogą być poddani postępowaniom kryminalnym jako „ekstremiści”. Tymczasem dwaj pozostający na Krymie wiceszefowie Medżlisu, Achtem Czyjgoz i Ilmi Umerow, stoją w obliczu zmyślonych zarzutów.

► Ilmi Umerow

[...] 19 marca 2016 r. Umerow udzielił wywiadu telewizyjnego w krymskotatarskim języku, w którym podkreślał, że Rosja powinna być „zmuszona do opuszczenia Krymu, Doniecka i Łużańska”. 12 maja, około czwartej po południu, dwaj pracownicy FSB i miejscowy oficer policji pojawili się w domu Umerowa w Baczysa-



fot. Jakub Kamiński/PAP

raju i zabrali go siedziby FSB w Symferopolu na przesłuchanie. Został tam poinformowany, że jest przesłuchiwany jako podejrzany z artykułu 280 kodeksu karnego („zagrażanie terytorialnej suwerenności Federacji Rosyjskiej”). W następnych miesiącach Umerow był jeszcze dwa razy wzywany na przesłuchanie, ale odmawiał składania zeznań. Sąd zakazał mu wyjazdu z Krymu [...] FSB złożyła do sądu wniosek o poddanie Umerowa przymusowemu badaniu psychiatrycznemu, które określi stan jego zdrowia psychicznego. Prawnicy Umerowa złożyli sprzeciw. 11 sierpnia, podczas rozpatrywania w sądzie wniosku FSB, Umerow – który cierpi na wiele dolegliwości, w tym problemy z ciśnieniem, cukrzycę i chorobę Parkinsona – doznał skoku ciśnienia i musiał być zabrany do szpitala. Pod jego nieobecność sędzia zaakceptował wniosek FSB. „18 sierpnia, gdy leżałem w łóżku, agenci FSB przyszli do szpitala i zabrali mnie do Szpitala Psychiatrycznego nr 1 w Symferopolu w celu przymusowych badań psychiatrycznych” – relacionował Umerow. FSB złamała rosyjskie prawo, wsadzając mężczyznę do psychuszki, zanim sąd mógł rozpatrzyć odwołanie od tego orzeczenia. Pierwszego dnia w szpitalu Umerowa natychmiast umieszczono w izolacie dla szczególnie trudnych pacjentów i w związku z tym odmówiono mu kontaktów z prawnikami i rodziną. Pod wpływem międzynarodowej presji, 19 sierpnia Umerow dostał zgodę na ograniczone wizyty bliskich. Spędził w psychiatryku w sumie trzy tygodnie, zanim został wypuszczony 7 września.

► Achtem Czygöz

Po przymusowym wyrzuceniu Refata Czubarowa w lipcu 2014 r., jego zastępca Achtem Czygöz wyrósł na najstarszego rangą członka Medżlisu wciąż przebywającego na Krymie. Został aresztowany 29 stycznia 2015 r. – władze oskarżyły go o zorganizowanie „masowych zamieszek” 26 lutego 2014 r. (konkurencyjne demonstracje zwolenników Ukrainy i zwolenników Rosji przed lokalnym parlamentem), z artykułu 212 k.k., który przewiduje nawet do 15 lat więzienia. [...] Jednak zasadniczo obie demonstracje zachowywały się pokojowo, a dostępna dokumentacja (filmy i zdjęcia) oraz zeznania świadków wskazują, że Czygöz był jednym z tych, którzy starali się uspokoić manifestujące strony. [...] Pierwsze posiedzenie sądu w sprawie przeciwko Czygözowi odbyło się dopiero 2 sierpnia 2016 r., po tym, jak mężczyzna spędził w areszcie ponad 15 miesięcy. Sędzia zgodził się z wnioskiem oskarżenia, żeby Czygöz mógł uczestniczyć w procesie tylko za pośrednictwem łącza wideo – z aresztu w Symferopolu oddalonego od sądu o mniej niż 500 metrów. [...]

Przedstawiciel Amnesty International był obecny na sali rozpraw 27 września 2016 r., oskarżony natomiast, jak zwykle, wyłącznie poprzez Skype'a. Czygöz nie mógł słyszeć wszystkiego, co mówiono w sądzie, a samą rozprawę trzeba było kilka razy przerywać z powodu złej jakości połączenia internetowego. [...] Wiadomo też, że w sprawie przeciwko Achtemowi Czygözowi jest pięciu tajnych świadków, zeznań których do momentu powstania raportu jednak nie było. Zespół obrońców obawia się, że zeznania te mogą być całkowicie sfabrykowane, i to bez możliwości udowodnienia fałszerstwa. Użycie tajnych świadków i nieujawnianych dowodów w tej sprawie są bezpośrednim naruszeniem prawa do uczciwego procesu.

► Erwin Ibrahimow

To byłby członek rady miasta Balczyksaraju i członek Światowego Kongresu Tatarów krymskich, międzynarodowej organizacji skupionej na promowaniu praw krymskich Tatarów i ich kulturowego dziedzictwa, która powstała po aneksji półwyspu przez Rosję w 2014 r. Ibrahimow pierwszy raz zdał sobie sprawę, że jest inwigilowany, w maju 2016 r. Powiedział swoim przyjaciołom 17 maja, że zauważył samochód stojący przed jego domem, który później cały dzień za nim jeździł. Po raz ostatni Ibrahimow rozmawiał ze swoim ojcem przez telefon 24 maja około jedenastej wieczorem. Ojciec znalazł później porzucone auto syna z otwartymi drzwiami i kluczykiem w stacyjce. Nagranie z kamer monitoringu pobliskiego sklepu pokazuje grupę mężczyzn zatrzymujących samochód Ibrahimowa. Widać, że coś do nich mówi, a potem próbuje uciec. Mężczyźni doganiają go i siłą wsadzają do swojej furgonetki, po czym odjeżdżają. 25 maja ojciec Erwina wszedł do biura FSB w Symferopolu złożyć skargę i pokazać nagrania z monitoringu. Oficerowie FSB odmówili zarejestrowania skargi i powiedzieli mężczyźnie, żeby wysłał ją pocztą. Policja w Balczyksaraju wszczęła śledztwo w sprawie incydentu i sprawdziła auto. Ale do momentu publikacji raportu dochodzenie nie przyniosło żadnych rezultatów.

► Oskarżenia o terroryzm

Po aneksji Krymu Rosja rozciągnęła swoje prawo na okupowany półwysep, z naruszeniem swych międzynarodowych zobowiązań jako okupant. Rosyjskie prawo antyekstremistyczne, często używane do prześladowania krytyków władzy w Rosji, zwłaszcza Prawo o Zwalczaniu Działalności Ekstremistycznej, jest używane w połączeniu z prawem antyterrorystycz-

nym, aby postawić określone zarzuty wskazanym ludziom. Co więcej, przesłuchania w sprawach dotyczących zarzutów o „terroryzm” są zarezerwowane tylko dla sądów wojskowych w Rosji. Najbliższy taki sąd to Sąd Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego w Rostowie nad Donem. Wywożenie oskarżonych z Krymu na proces w sądzie wojskowym poza Krymem jest bezpośrednim naruszeniem międzynarodowych zasad regulujących prowadzenie okupacji. W momencie oddania raportu co najmniej 19 osób zostało aresztowanych za rzekomą przynależność do organizacji terrorystycznej Hizb ut-Tahrir. Cztery skazano w Rostowie nad Donem we wrześniu 2016 r. Dostały wyroki 5–7 lat. Pozostałych piętnastu zatrzymanych przebywa wciąż w areszcie śledczym. Ruslan Zejtullajew został skazany na siedem lat za to, że był „organizatorem” komórki, trzech pozostałych mężczyźni dostali po pięć lat więzienia. W związku z ich procesem wyszło na jaw wiele nadużyć. Podczas przesłuchań w sądzie kilku świadków oskarżenia wycofało swoje wcześniejsze zeznania. Jeden z nich, pasterz z Sewastopola, powiedział sądowi, że przesłuchujący go oficer FSB zagroził mu, że jeśli nie podpisze podsuniętego mu pod nos zeznania, skończy w więzieniu [...]. O podobnych formach nacisku mówili też inni świadkowie, którzy odwołali zeznania złożone podczas śledztwa. Według jednego z obrońców w tej sprawie, dowodem ewentualnie potwierdzającym zarzuty, że mężczyźni byli członkami Hizb ut-Tahrir, mogą być nagrania z ukrytej kamery i podsłuchu w domu znajomego oskarżonych, gdy dyskutowali oni na tematy religii. W sądzie odtworzono tylko 10-minutowy fragment z półtorgodzinnej rozmowy, a po tym poprzez łącze wideo zeznanie złożył tajny świadek, który w przeciwnieństwie do niemal wszystkich obecnych na sali świadków, powtórzył wcześniejsze zeznania mocno obciążające oskarżonych.

► Emir-Husajn Kuku

Jest przetrzymywany w areszcie od lutego 2016 r. pod wysoce wątpliwymi zarzutami przynależności do Hizb ut-Tahrir. Emir-Husajn Kuku był lokalnym urzędnikiem w administracjach Jałty i Korejz, gdy zaczęła się rosyjska okupacja. Znano go z aktywności w miejscowej społeczności tatarskiej. Proces jeszcze nie ruszył. Kuku powiedział swojej żonie, że agent FSB przyszedł do niego do pracy w lipcu 2014 r. i próbował zwerbować jako informatora. W następnych miesiącach oficer powtórzył „ofertę współpracy” co najmniej trzy razy. To samo proponowano żonie Kuku, Meriem. Zrobił to ten sam oficer FSB jesienią 2014 r. Po tym, jak na Krymie doszło do serii zaginięć Tatarów, w październiku 2014 r. Kuku zdecydował się przyłą-

czyć do powstającej właśnie Krymskiej Grupy Kontaktowej Praw Człowieka. Założyli ją krewni zaginionych osób w celu zwiększenia nacisku na władze i monitorowania oficjalnych dochodzeń w sprawie zaginięć. Kuku często jeździł, żeby dokumentować nowe przypadki zniknięć Tatarów, brał też udział w publicznych spotkaniach Grupy. 20 kwietnia 2015 r., około ósmej rano, Emir-Husajn Kuku siedł w stronę przystanku autobusowego niedaleko jego domu, miał jechać do pracy. W tym momencie, jak mówią świadkowie, dwaj mężczyźni po cywilu czekali na Kuku w minibusie na pobliskiej ulicy. Tatar uznał to za podejrzaną i skręcił w stronę stacji benzynowej, gdzie było sporo ludzi. Mężczyźni wyskoczyli z busa, dopadli Kuku, rzucili na ziemię i zaczęli kopać w głowę i klatkę piersiową. Gdy zapytał, kim są, odpowiedzieli: „Poczekaj, niedługo poznasz, kim jesteśmy”. Wokół zgromadził się tłum, a oni wciąż bili. Jeszcze dwóch ludzi w maskach i z automatami wysiadło z busa i mężczyźni znęcający się nad Kuku wskazali na nich, mówiąc: „Patz, to nasze identyfikatory”. We czterech wciągnęli Tatara do busa i pojechali na posterunek FSB w Jałcie. Około godziny później Kuku wrócił do domu, tym samym minibusem. Wysiadło za nim ośmiu ludzi w maskach i z bronią automatyczną, wszyscy poszli za utykającym Tatarem do jego domu. Podjechał drugi bus, wysiadło z niego tuzin uzbrojonych ludzi w maskach i otoczyło posesję. Jedyną, oprócz Kuku, osobą bez maski był oficer FSB – ten sam, który tak długo próbował zwerbować Tatara. [...] Przeprowadzono rewizję w domu, zabrano komputery, książki, telefon, ale go nie aresztowano. W sierpniu 2015 r. wezwano Kuku do Wojskowego Komitetu Śledczego w Jałcie i poinformowano, że FSB wszczęła przeciwko niemu sprawę za to, że 20 kwietnia zaatakował dwóch oficerów. 3 grudnia 2015 r. Komitet Śledczy w Jałcie wezwał Kuku i poinformował go, że objęty jest śledztwem w związku z zamieszczaniem w mediach społecznościowych materiałów ekstremistycznych. 11 lutego 2016 r., około 6.45, Emira-Husajna i Meriem obudziło łomotanie do drzwi. Dwaj zamaskowani i uzbrojeni ludzie, dwaj cywile w charakterze świadków oraz pięciu śledczych wkroczyło do środka. Przedstawili się jako FSB i zaczęli rewizję. Po około pięciu godzinach zabrali Kuku, komputer, dwa telefony i tablet. Jeden z oficerów FSB powiedział Meriem: „Twój mąż wziął to na siebie, więc czeka cię dziś niezapomniany wieczór”. Tego samego dnia Emir-Husajn Kuku został oficjalnie uznany za podejrzanego w sprawie kryminalnej o bycie członkiem Hizb ut-Tahrir. Umieszczono go w areszcie śledczym, gdzie pozostawał do momentu publikacji tego raportu. Emir-Husajn Kuku zaprzecza, jako-by należał do tej organizacji. ■



Marcin Wolski

ROKOSZ

Gdyby to, co zdarzyło się w połowie grudnia w Warszawie, uznać za pucz, byłby to najśmieszniejszy pucz w historii (nie bez powodu lud nazwał go „ciamajdanem”).

Tyle że to raczej nie był pucz. Wszystkie bowiem, również te nieudane, opierają się od starożytności na sile militarnej. Najlepszym przykładem Ameryka Łacińska, gdzie wojsko zmiatało kolejne reżimy, przejmowało władzę, z czasem zakładało cywilne garnitury i było obalane przez kolejną juntę. Ale u nas armia trzyma się z dala od polityki, a pułkownik Mazguła, z ubekami-emerytami, może się najwyżej pobawić ołowianymi żołnierzami.

Wewnętrzno-zewnętrzna zadyma na Wiejskiej nie była też ludową rewoltą. Ludu przyszła garstka, a marzenia o poderwaniu milionów roily się co najwyżej w umysłach Kijowskiego lub Wałęsy. A przewrót gabinetowy w stylu nocnej zmiany z 1992 r., która obaliła rząd Olszewskiego? Ba, ale wtedy spiskowcy dysponowali wsparciem Wałęsy (i Wachowskiego), istniał kandydat na premiera (Pawlak) i powstała antylustracyjna koalicja strachu, dysponująca większością głosów. A teraz? Czyżby jakiś geniusz wymyślił sobie, że skusi Kukiza premierostwem i wywrwie kilku niezdecydowanych z PiS-u...? No, to kiego kombinował.

Najbardziej adekwatne wydaje mi się użycie węgierskiego słowa „rokosz”, które przed wiekami oznaczało bunt szlachty przeciwko elekcyjnemu monarchowi, choć podobne tumulty zdarzały się wcześniej, jak skierowana przeciw Zygmunтови Staremu wojna kokosza (1537 r.). Wprawdzie żaden rokosz (Zebrzydowskiego, Lubomirskiego) – mimo przelewu krwi i sukcesów militarnych – nie doprowadził do zmiany władzy (Jan Kazimierz abdykował dopiero po paru latach), wpłynęły za to na powstrzymanie reform i w efekcie przyczyniły się do upadku Rzeczypospolitej. Aż żal, że nie mieliśmy wówczas na tronie despotów, gotowych ścinać i wieszać buntowników... Zresztą z czasem rolę rokoshu, blokowania jakichkolwiek

prób naprawy państwa zaczęło spełniać *liberum veto*. 9 marca 1652 r. działający na polecenie Janusza Radziwiłła poseł z Upity Władysław Siciński po raz pierwszy zerwał obrady sejmiku, nie zgadzając się na ich prolongatę. Gdyby brać szlachecka zdała sobie wówczas sprawę z niebezpieczeństwa precedensu i odstąpiła od niewolniczego trzymania się litery prawa, które na taki czyn zezwalało, nasze dzieje potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Na szczęście poseł Szczerba nie zostanie drugim Sicińskim. Determinacja PiS-u, by kontynuować obrady w innej sali, oddaliła niebezpieczeństwo anarchii. Ugięcie się przed awanturą opozycji zanarchizowałoby doszczętnie życie w kraju. Sejm blokowano by raz po raz (skoro się udało), prestiż Polski by upadł... Najgorsze, że inicjatorzy awantury zupełnie nie brali pod uwagę, że jeśli, prędzej czy później, udaloby im się objąć władzę, sami staliby się obiektem podobnych praktyk.

Dzięki Bogu opanowano sprawę w zarodku, a obóz dobrej zmiany wykazał więcej instynktu politycznego niż ekipa Zygmunta III czy Jana Kazimierza. Władza nie ma zamiaru rejterować, a mając odpowiednie środki, potrafi zmusić poobijaną i podzieloną opozycję do posłuszeństwa. Ta słabnie, a w miarę odcinania od koryta (i wkrótce od regionalnych korytek) będzie słabła jeszcze bardziej.

Trybunał (w większości na urlopiach) już nie pobruździ, a postępową opinią światową ma problemy z „większym złem”, jakim jest dla globalnego lewactwa prezydentura Trumpa, który, jak wynika z inauguracyjnej mowy, zamierza serio (jak Kaczyński) traktować swój program wyborczy.

I mniej nadzieję, że jedynie kilogramy wstydu i kupa śmiechu zostaną (oby) po tym ostatnim rokoshu na Wiejskiej. ■



Tomasz Sakiewicz

Jak reformować media

Rynek mediów to jedno z największych źródeł patologii biznesowych i etycznych. Jest na nie podatny, bo przeplatają się tu trzy sfery władzy: państwowej, ekonomicznej i rządu dusz.

Kto ma media, kontroluje nie tylko przepływ informacji, lecz także ogromne pieniądze i często wprost wpływa na decyzje władzy. Jak do tej pory wszelkie sposoby podwyższania standardów mediów za pomocą decyzji politycznych czy administracyjnych albo zaostrzania kar za nieetyczne zachowania – kończyły się kompromitacją. Źródłem afery Rywina była właśnie jedna z legislacyjnych prób unormowania rynku mediów. Pomysły rozdzielania poszczególnych nośników informacji, na przykład telewizji z gazetami, wtedy trudne do zaakceptowania dla głównych graczy, co zrodziło właśnie korupcję, dzisiaj byłyby zabójcze dla małych

przekazywania informacji na różne sposoby, co zmusza go oczywiście do nieustannego kształcenia. Gdzie więc należy zwalczać patologie?

W Polsce mamy do czynienia z niebezpieczną zjawą rynkową w przypadku wyceny reklam. Brokerzy nie płacą za widzów, którzy przekroczyli 49. rok życia. Oznacza to, że obecnie 60 proc. rynku telewizyjnego nie jest w ogóle objęte wyceną. Po prostu nikt nie płaci za reklamy oglądane przez tych widzów. To rodzi zupełnie dramatyczne konsekwencje dla rynku. Nie opłaca się produkować programu z wyższej półki, szczególnie cierpią kultura i historia. Programy te mają wielu widzów, ale w grupie star-

PROBLEMEM NIE JEST WCAŁE ŁĄCZENIE SIĘ MEDIÓW GRUPY. TO DZISIAJ NATURALNY SPOSÓB ROZWOJU RYNKU INFORMACJI. PROBLEMEM JEST DOMINACJA NA JEDNYM POLU.

i średnich mediów i cofnęłyby nasz rynek o kilkadziesiąt lat. Z drugiej strony, państwo musi bronić się przed monopolami, które same stają się źródłem cenzury i zamykają dostęp do rynku nie tylko konkurencji, lecz nawet całym stronom ideologicznego i politycznego sporu.

Problemem nie jest wcale łączenie się mediów grupy. To dzisiaj naturalny sposób rozwoju rynku informacji. Problemem jest dominacja na jednym polu.

Dzisiaj gazety papierowe nie są w stanie przetrwać bez współpracy z Internetem. Chodzi zarówno o wielkie portale, jak i media społecznościowe, i hybrydy różnych źródeł informacji. Z kolei oferta internetowa nie ma szans bez kontentu (treści) wideo, czyli telewizyjnego. Media to różne sposoby przekazu tej samej informacji. Muszą mieć możliwość wzajemnego wspierania i rozwijania się. Stawia to też szczególne zadania przed dziennikarzem. Dzisiaj nie może on poprzestać na umiejętności pisania tekstu czy realizowania programu. Powinien mieć zdolność

szej. Nikt za to jednak nie zapłaci. Ten objaw patologii, który niszczy polski rynek telewizyjny, do niedawna był korzystny politycznie dla obozu III RP. Teraz jednak szkodzi już chyba wszystkim. Nikt jednak nie ma odwagi tego zmienić.

Zupełnie horrendalne są badania rynku telewizyjnego. Mamy tu monopol jednej firmy, która opiera się na technologiach z lat 70. W efekcie do tej pory niemierzony jest zasięg na przykład rynku telewizyjnego rozchodzący się drogą internetową. A to może być nawet trzecia część rynku. Próba badawcza jest korzystna dla wielkich stacji, a zabójcza dla tych mniejszych. To trzeba szybko zmienić, ale tu na razie nic realnie nie zrobiono. Problemem jest też koncentracja reklam w kilku stacjach. I tu przydałyby się działania antymonopolistyczne. Trzeba jednak to robić ostrożnie, bo wielkie koncerny sobie poradzą z obchodzeniem prawa, a mniejsi znikną bez wielkiego krzyku. Może warto, by przynajmniej ktoś zapytał nas (dziennikarzy) o zdanie w tej sprawie. ■

zależna niezależna niezależna niezależna
a niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna r
zależna niezależna niezależna niezale
niezależna niezależna niezależna r
zależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna r
zależna niezależna niezależna niezale
niezależna niezależna niezależna r
zależna niezależna niezależna niezale

